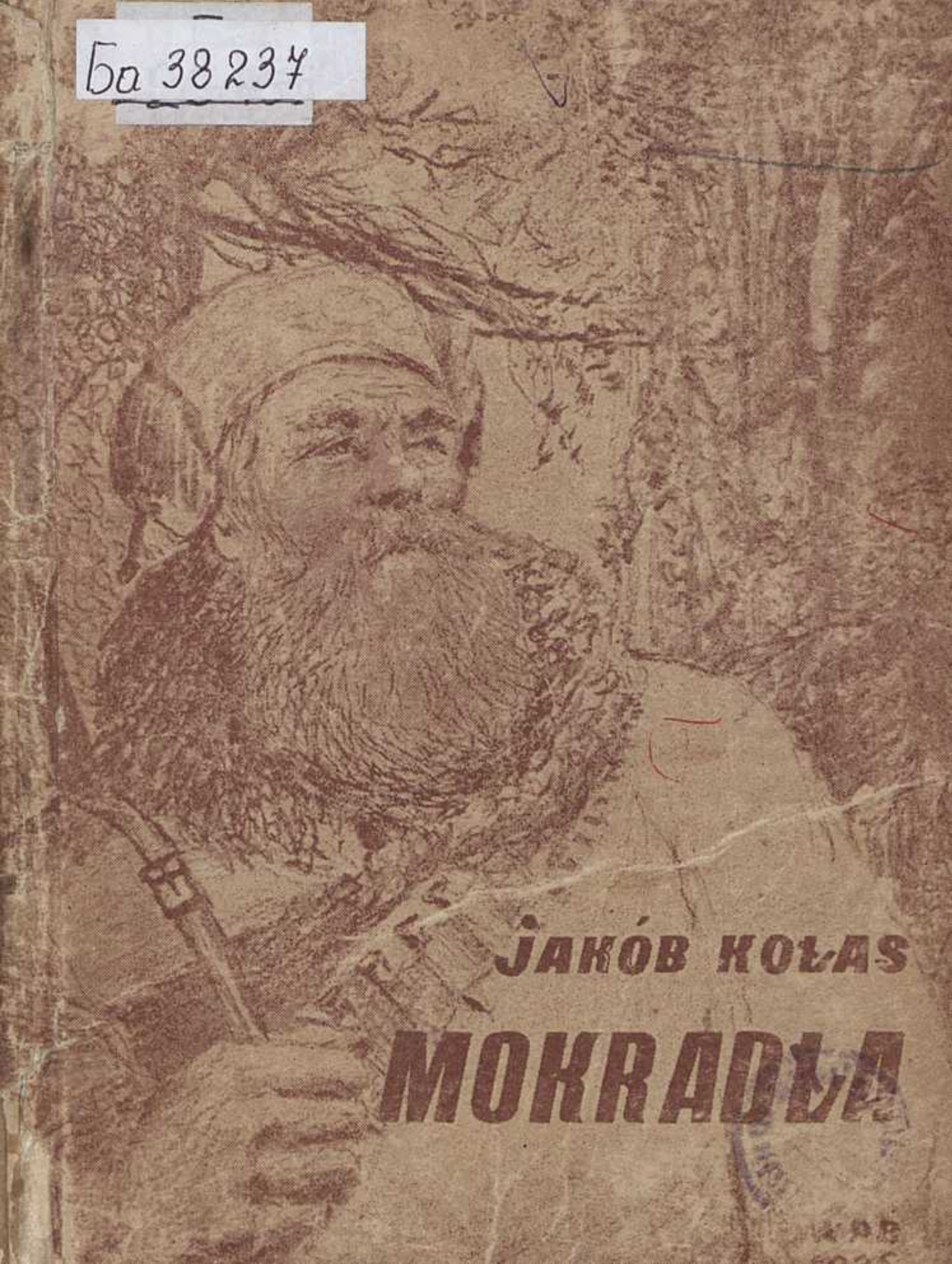


JAKÓB KOŁAS

MOKRADŁA

JAKÓB KOŁAS

MOKRADŁA

WYDAWNICTWO PAŃSTWOWE BIAŁORUSI
SEKTOR MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH
MIŃSK — 1936

ЯКУБ КОЛАС
ДРЫГВА
ДВБ — 1935
Przełożyła z białoruskiego
J. Moszyńska-Heltmanowa.

I

Nad Prypecią, wśród piachów, bagien i lasów tuli się maleńka wioseczka, składająca się z trzydziestu-czterdziestu chat. Chaty w niej niejednakie—jak i ludzie: większe i mniejsze, starsze i nowsze. Chata dziada Tałasza zwraca na siebie uwagę, nietyle swym zewnętrznym wyglądem—ile odosobnieniem. Stoi na uboczu, w bliskiem sąsiedztwie zarośli na skraju bagniska. Obok chaty, zasłaniając ją od promieni słonecznych, wznosi się rozłożysta grusza. Na wiosnę cała w białem kwieciu, strojna, jak młoda dziewczyna, zdobi Tałaszowe podwórko i zachwyca wówczas nietylko dziada Tałasza, ale nawet bociana, co ma gniazdo, sklecone na dziadowej stodole.

Jeżeli się cofniemy o lat piętnaście, to i wówczas już dziad Tałasz był w wieku podeszłym: przeszło siedemdziesiątkę dźwigał na swych barkach.

A jednak, wtenczas to właśnie zasłynął on jako wojak i to nie byle jaki: jako czerwony partyzant i to nie zwykły partyzant, nie szeregowiec!

Do owej chwili niktby dziada Tałasza o talenty wojskowe nie posądził. Zdarzało mu się wprawdzie pięści w ruch puszczać, gdy go, podhumorzonego, jakiś nicpoń rozgniewał. Zazwyczaj jednak był to człek poważny, stateczny i zrównoważony — coprawda, do pewnych granic tylko. Bystre, ciemne, małe jego oczy patrzały wnikliwie

i tylko czasem zapalał się w nich płomyk utajony, gotowy w odpowiedniej chwili pożarem wybuchnąć.

Kocha dziad Tałasz las, bagniska i swą rodzinną Prypeć, po której tak zręcznie czółnem pływał i rybę łowił. Strzelcem też był niezgorszym. Cóżby to za poleszuk był z niego, gdyby strzelać dobrze nie umiał. Toć na to Polesie—bez strzelby obejść się trudno.

Ściśle rzecz biorąc, niezupełnie dziadowa była to chata. Od lat przywykli ją ludzie Tałaszową chatą nazywać. Właściwie zaś chata należała do żony dziada Tałasza, obecnie babki Nasty. Przed sześćdziesięciu laty przyżenił się Tałasz do Nastki Bałygi. Nastka była jedynaczką. W ten sposób Tałasz stał się właścicielem chaty.

Zresztą, mniejsza o to, do kogo należała chata, tem bardziej, że ją dziad Tałasz przebudował, słusznie więc mógł być uważany za jej gospodarza. Ważne było to, że chata stała opodal wioski i nieco na stronie od ludzkiego oka.

Przed przyżenkiem Tałasz był pastuchem we dworze. Co do jego przeszłości, można to jeszcze zaznaczyć, że ojciec Tałasza miał dwanaścioro dzieci. Ośmioro zmarło, pozostało dwie córki i dwuch synów. Jednym z nich jest właśnie dziad Tałasz.

Spokojnie i powoli, jak w zaczarowanym śnie, Prypeć, wtulona w bagniska, niesie Dnieprowi bogatą swą dań. Nie śpieszy się jej oddawać bogactwa poleskich błot. A tyle jest tego, że przy największym pośpiechu, pracy wystarczy jej na długie lata. A może i straciła Prypeć nadzieję wytoczyć kiedykolwiek to morze ciemno-rudych wód z bezkresnych bagien Polesia, może dlatego właśnie taka powolna i flegmatyczna jest Prypeć?

Lecz skoro wicher rozhula się nad zieloną szczeciną lasów, nad kędzierzawemi czapami łóz, nad brodawkowatemi kępami twardej osoki—zachmurzy się wtedy Prypeć groźnie, zadrży, rozkołysze tysiącem fal i gniewnie ciska czółna i łódki-duszehubki, i głośno łka w trzcinach nadbrzeżnych, jak matka nad dzieci mogiłą. Wtedy i dziad Tałasz nie odważa się na swem czółenku na środek Prypeci wyjechać.

Zato, jakże łagodnie i pieszczotliwie rozlewa Prypeć swe wody wśród miękkich brzegów, gdy uspokoi się wiatr i słońce rozbłyśnie nad Polesiem tysiącami promieni. Cisza i spokój panuje wówczas nad zielonym aksamitem lasów i błot. Błyszczącą wstęgą stalową iskrzy się Prypeć i tylko w głębokich, czarnych jej zatokach pluszczą się somy, wywołując na powierzchni srebrzyste pierścienie. A dziad Tałasz, patrząc na te somie igraszki, zsunie z czoła słomiany kapelusz i mruknie do siebie: „A bodajbyś sczezł! Złapaćby ciebie, wałkonia!“

Spokojnie i powoli, jak w zaczarowanym śnie, płynęło również życie na Polesiu. Odgłosy tego, co się działo na świecie, dolatywały tu przygłuszone przestrzenią, albo z takiem nawarstwieniem ludzkiej fantazji, że ziarno prawdy trudno już było z nich wyłuskać.

Aż przyszedł czas.

Rozkołysało się, zatrzęsło Polesie. Było to latem, gdy nadszedł carski rozkaz mobilizacji. Gromadą ruszyli rezerwiści w kierunku najbliższych stacyj kolejowych, walili ławą przy hałaśliwych dźwiękach harmonji i pieśni, przy wtórze rozełkanych lamentów matek i żon. Chociaż spoczątku wojnę prowadzono daleko, jednak groźne jej pomruki coraz wyraźniej, coraz donośniej rozlegały

się po cichem Polesiu. Z dalekiego frontu szły listy do głuchych zakątków poleskich wiosek i często w odpowiedzi rozlegał się gorzki płacz osieroconej dziatwy i młodych wdów. A wojna zagarniała wciąż nowe, a nowe ofiary. I końca jej widać nie było. Niedość na tem—front zaczął się zbliżać. Starzy ludzie ciężko wzdychali, smutnie kiwając głowami. A dziad Tałasz omal że sobie biedy nie napytał. Poniósł rybę na sprzedaż do Pietrykowa. Mocno się zdziwił, gdy mu kupiec zapłatę papierowemi markami odliczać począł. Na markach—portrety carskie. Na jednej z nich był portret Mikołaja drugiego i liczba „dziesięć".

— A cóż to ty mi dajesz?—oburzył się dziad Tałasz, kładąc na dłoni papierową markę.

— Pierwszy raz ją widzisz, czy co?—pieniądze teraz takie są. O, patrzaj: carski portret i nadpis—10 kopiejek.

Tałasz spojrzał na portret i pokiwał głową.

— Wojak z ciebie, bodajbyś sczezł!... Dowojowałeś się, ścierwo, hyclu jeden, do tego, że miedzianego trojaka już nie masz!

Nastawił uszu stójkowy i dalejże do dziada. Ledwo się wyplątał Tałasz z tych tarapatów. To też zanotował sobie w pamięci: wśród ludzi jak na trzęsawisku—byle krok nieostrożny, a zginiesz. Nie spostrzeżesz się—gadzinę nadepczesz.

II

W ostatnich czasach zaszło wiele wypadków. Gdy je dziad Tałasz wspomina, zdaje mu się, że to sen dziwaczny. Wojna, rewolucja, znów wojna. Poco to wszystko?

Zakotłowało się—i wre, jak w odmętach. Czujnie

wsłuchuje się stary Tałasz w poszumy leśne, w niespokojne łkanie szerokich fal Prypeci w oczeretach nadbrzeżnych. Bacznie wpatruje się w milczące bagniska. Coś tajemniczego, przejmującego kryją one w sobie.

I wieś również przycichła. Bo też osobliwe i ciekawe to czasy. Przedewszystkiem—niema żadnej władzy. Już to jedno jest niezwykłe i niepokojące.

Wczoraj jeszcze było tu wojsko czerwone. W Tałaszowej chacie kwaterował naczelnik czerwonych, sam dowódca bataljonu, z czego dziad Tałasz był wielce dumny. Ciekawy to człek, ten dowódca: swój jakiś i rozmowny...

— „Robotnik i chłop,—powiada,—oto kto powinien kierować sam swem życiem i być gospodarzem swego państwa! Panowie, kupcy, popi i rozmaici bogacze—to wrogowie nasi“.

Ale wojska czerwone cofnęły się. Ponoć polacy nacierają i teraz są gdzieś niedaleko.

Nie może dziad Tałasz w chacie usiedzieć, a z chaty też wyjrzeć trudno, tem bardziej, że babka Nasta nie pozwala, nie puszcza starego ani do lasu, ani na Prypeć: czasy niepewne, o wypadek nietrudno. Jednak Tałasz wychodzi z chaty. Do lasu nie pójdzie, na wieś tylko zajrzy, posłucha, co ludzie mówią, dowie się, czy niema czegoś nowego.

W samym środku wsi jest niewielki, nieco zaokrąglony, pagórek. Przecina go wpoprzek jeszcze jedna krótsza ulica, co nadaje całej wsi kształt krzyża.

Tu również, na skrzyżowaniu ulic, prawdziwy krzyż wznosi ramiona ponad słomiane strzechy chat. Tu scho-

dzą się ludzie pogawędzić, poradzić się w różnych sprawach, lub poprostu czas wolny spędzić.

Dwie osoby na placu zwracają uwagę dziada Tałasza. Jedna—to Wasyl Busyga, druga—syn pana Królewskiego, tego samego dziedzica, u którego Tałasz pastuchem był. Młody Królewski ma na sobie uniform carskiego oficera. Tylko czapek takich oficerowie carscy nie nosili... Z czapki można go wziąć za oficera obcych wojsk.

Skąd się tu wziął ten paniczyk?—przemknęło przez głowę Tałasza. Znikł był na czas jakiś. A teraz ta czapka świadczy, że ma on coś wspólnego z wojskiem polskiem.

Wasyl Busyga był kandydatem na wójta gminnego, ale rewolucja i dalszy rozwój wypadków zdjęły tę kandydaturę z porządku dziennego.

Z wyrazu ich twarzy widzi Tałasz, iż są mocno zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy. Chciałby się stary dowiedzieć, o czem ci dwaj rozmawiają z takiem przejęciem, że na niego najmniejszej uwagi nie zwracają. Dziad zwalnia kroku, przybiera pozę mocno zamyślonego człowieka, oczy wdół spuszcza i, krocząc powoli swą drogą, słucha o czem mówi pan Królewski z Wasylem Busygą. Do uszu dziada dolatują poszczególne słowa i urywki zdań, ale można się z tego domyśleć całej rozmowy.

— Barbarzyńcy, psiakrew!

— Takie to już huncwoty, wiadomo!.. Może teraz porządek będzie.

— Naturalnie.... To jest, panie, Europa, kultura!

Gdy dziad Tałasz się zbliżył, umilkli obaj. Stary udał, że go zdziwiło to „niespodziewane“ spotkanie, że

się zląkł nawet. Zdjął czapkę, skłonił się i powiedział „dzieńdobry".

Pan Królewski nie mógł ukryć dobrego humoru i żartobliwie zagadnął Tałasza:

— Czyjżeś ty teraz poddany?

— A niczyj!—odparł stary.

— No, to za trzy godziny będziesz polskim poddanym.

— Polskim?—zdziwił się Tałasz, jakby nic z tego nie zrozumiał.

Ulicą, od chaty Tałasza, biegnie, co tchu w piersiach, wyrostek lat szesnastu. To Panas, najmłodszy syn dziada. Od szybkiego biegu zadyszał się chłopak.

— Ojcze!—woła zdaleka,—polak nasze siano zabiera!

Głos, wygląd i słowa Panasa—tknęły dziada. Zawrócił z miejsca, zapominając i o Wasylu Busydze i o panu Królewskim i o ich rozmowie. Szybkim krokiem, podbiegając chwilami, ruszył ku swej zagrodzie. Starszy syn dziada, Maksym, chmurny i ponury, potwierdził słowa Panasa, choć było to całkiem zbyteczne.

Stożek dziada, zawierający koło pięciu wozów siana, stał niedaleko od zagrody, na skraju bagniska wśród niskich sosenek i krzaków i widać go było doskonale. Stało tam dwoje parokonnych sań, koło których uwijali się dwaj polscy żołnierze. Trzeci był na stogu i zrzucał siano. Dobrą ćwierć siana zabrano już. Babka Nasta, zarzuciwszy na ramiona kożuszek, stała na podwórku i, załamując ręce, lamentowała:

— Czemże teraz bydlątka karmić będziemy?

Bez słowa wetknął stary siekierę za pas—zwykł był to czynić, wychodząc z domu—i ruszył ku stogowi,

gdzie gospodarzyli polscy żołnierze. Za nim, w pewnej odległości, szli synowie.

— Nie wdawaj się z nimi,—ostrzegała Nasta,—zabiją, albo zaaresztują!

Została na podwórku i ze strachem czekała, co będzie dalej. Gdy stary zbliżył się do stożka, Nasta wszczęła lament, opłakując siano, jak nieboszczyka. Płacz jej dolatywał do błota, rozlegał się wzdłuż ulicy, mącąc pozorny spokój wsi. Ludzie wychodzili z domów i wieść o polakach lotem błyskawicy obiegła wioskę.

Dziad doszedł do stożka, skłonił się nisko żołnierzom, uchylił czapki. Ale żołnierze nie zwrócili nań uwagi, nie odpowiedzieli na uprzejme powitanie. Jeden udeptywał siano w sankach, drugi podawał je naręczami, a trzeci burzył stóg.

— Panoczki, co wy robicie? — z przejęciem zawołał stary, — czemu zabieracie siano, ostatnie siano!.. Czemże będę karmił bydlęta?

— Idź do djabła! — odezwał się jeden z żołnierzy. A drugi ze stogu cisnął garść siana tak zręcznie, że czapka zsunęła się staremu na tył głowy, co wywołało zgodny wybuch śmiechu żołdaków.

Dziad nie tylko zniósł w milczeniu zniewagę, lecz nawet schwycił za połę płaszcza tego, co siano podawał, i osunął się na kolana.

— Panoczku! — Nie zabierajcie ostatniego siana... Ludzie mają na zapas, a u mnie... Toć to ostatni stożek!..

— Idź do djabła, stary psie! — zniecierpliwił się żołnierz i pchnął starego w piersi.

Ze zwinnością młodzieńca zerwał się Tałasz z klęczek. Oczy zapłonęły mu nienawiścią i gniewem.

— Psie! — huknął głosem, nabrzmiałym wściekłością. I topór w rękach dziada, błysnąwszy chłodnem stalowem ostrzem, wzniósł się błyskawicznie nad głową żołnierza.

Ten zbladł, jak chusta, i cofnął się, unikając ciosu.

— Opamiętaj się, ojcze,—skoczył do dziada Maksym i schwycił starego za ramię.

Oszołomieni żołnierze zamarli na chwilę. Nagła zmiana w zachowaniu się dziada Tałasza — zaskoczyła ich.

— Bierz go! Wiąż przeklętego azjatę! — oprzytomniał żołnierz na sankach i zeskoczył wdół.

Teraz wszyscy rzucili się na starca i zaczęli go szarpać, starając się powalić na ziemię. Zebrał się w sobie stary, poruszył szerokiemi barami, otrząsnął się i żołnierze rozlecieli się w różne strony, jak liście jesienne. Jeden z nich potoczył się i utknął nosem w śniegu.

— A to, szatan stary!—zawołał wstając i podnosząc z ziemi swą rogatywkę.

Nie czekając ponownej napaści i czując, że zajście przyjmuje zły obrót, jak strzała skoczył dziad Tałasz w haszcze i znikł momentalnie bez śladu. Teraz dopiero przypomnieli sobie polacy, że są żołnierzami i mają broń. Wystrzelili więc kilka razy w tę stronę, gdzie zniknął stary.

Zaczęli zbiegać się ludzie. Pierwsi nadbiegli Wasyl Busyga i pan Królewski.

— Szaleniec! Szaleniec!.. — wyrażał swe współczucie żołnierzom Busyga.

— Bolszewik! — zakonkludował pan Królewski.

Zabrali polacy stóg dziada, a resztę siana, co się nie zmieściła na saniach, kazali Maksymowi dostarczyć na jego własnej furmance.

„Wojaki, bodaj was pokręciło!“ — zaklął dziad Tałasz, gdy wystrzały ucichły, a kule, gwizdnąwszy mu nad głową, z suchym trzaskiem stuknęły w gałęziach drzew i krzewów.

Starcie z żołnierzami polskimi żywo stało mu w oczach, a szczególnie ta chwila, gdy się nań kupą rzucili, on zaś rozmiótł ich, jak wiatr rozmiata suche listowie. To mu dodało otuchy, wyrósł we własnych oczach. Szedł jednak szybko, zagłębiając się w bagna, w gąszcz lasu i dopiero wówczas się zatrzymał i odetchnął swobodniej, gdy się upewnił, że jest już daleko i że niema pogoni. Na szczęście, sypnął śnieg spory a gęsty.

Lecz co robić dalej?

Wybrał miejsce zaciszne, przylgnął do pnia starego świerku pod namiotem obwisłych, przysypanych śniegiem gałęzi, dobył skórzanego kapciucha, nabił fajkę i, skrzesawszy ognia, zapalił. Pyka stary fajeczkę, dym wije się wśród gałęzi, wydobywa się na wolną przestrzeń i rozpływa się w mroźnem powietrzu. A dziad wciąż duma i duma... Tak rozważając przychodzi do wniosku, że się nieco uniósł. Dobrze, że Maksym rękę jego powstrzymał — gorzej byłoby, gdyby ukatrupił żołnierza. Niewiadomo co się tam stało z synami i z babką Nastą... Ot, dranie! I przyniosłoż ich licho na jego głowę. A co miał robić? Prosił, błagał ich, jak kogo dobrego, na klęczkach, a oni tylko szydzili z niego, jakby człowiekiem nie był.

Skoro tylko dziad Tałasz zaczął przypominać, jak się z nim żołnierze obeszli, wściekłość go ogarniała na nowo, i żałował, że łba nie roztrzaskał rabusiom.

Z rozmyślań tych wyłonił się niepokój: co się dzieje w domu z synami i żoną i jak oceniają oni postępek Tałasza.

Podczas gdy dziad Tałasz tak siedział i rozmyślał pod świerkiem, we wsi, pan Królewski urabiał opinję publiczną, przechylając ją na stronę polskiej okupacji, polskiej władzy i państwowości. Skupił dokoła siebie najbardziej poważanych gospodarzy, bawiąc się z nimi w demokrację. Wasyl Busyga był jego wiernym pomocnikiem. O ile pan Królewski grał rôlę pierwszego swata polskości, to robota Wasyla Busygi polegała na roli pańskiego szczekacza.

Pan Królewski uważał siebie za znawcę chłopskiej psychologji i starał się przemawiać ich językiem. Nastrój miał podniosły i z upojeniem mówił o polskiej kulturze, o polskiej demokratyczności, o misji Polski, jako przedmurza europejskiej kultury wobec nawały bolszewickiej. Tylko Polska zdolna jest zapewnić ludziom wolność i równość narodową.

Wasyl Busyga ilustrował pańskie tezy bolszewickiej dzikości i łupiestwa zmyślonemi przykładami niby to z życia, mającemi świadczyć, jakto bolszewicy niszczyli mienie ludzkie, jakto uciskali nawet chłopów, zabierając każdemu, co żył trochę zamożniej, konie, krowy, wydzierając ziemię, nabytą w pocie czoła i oddając ją różnym hultajom, co koło niej chodzić nie umieją. Wspomniano tu Tałasza, jego „dziki“ postępek i potępiono go w sposób najbardziej stanowczy. Nie bez powodu przecież kwaterował w jego chacie czerwony dowódca!

A dziad Tałasz obmyślał tymczasem dalszy plan działania. Wyszedł ze swego ukrycia, posłuchał, rozejrzał się.

W wierzchołkach drzew smętnie szumiał wiatr, rozwieszając wśród gałęzi i na konarach białą śnieżną sieć. Wdole było cicho i głucho. Skądciś w lewo od wsi dolatywał głuchy odgłos wystrzałów, a może tak się tylko Tałaszowi zdawało.

Postał chwilę i zwolna ruszył ku domowi. Szedł nie śpiesząc się, wybierając głuche leśne ścieżyny, które znał tak dobrze, szedł brzegiem bagnistych wód, kryjąc się wśród nagich krzaków łozy i uporczywie wpatrywał się w białą mgłę śnieżnych puchów. Miarkował trafić do zagrody o zmierzchu, by łatwiej się ukryć od ludzkiego oka.

Tegoż dnia przed wieczorem ukazała się we wsi grupa polskich żołnierzy. Weszli cichaczem, nieznacznie, starając się nikogo nie nastraszyć. Pan Królewski, widocznie wtajemniczony, miał rozmowę z dowódcą, poczem i żołnierze i pan Królewski znikli ze wsi. Po pewnym zaś czasie wkroczył cały pluton z oficerem na czele. Szli dziarsko z miną zwycięzców. Młody, buńczuczny oficerek wydawał rozkazy zwięźle i ostro. Część żołnierzy poszła pełnić służbę, reszta zaś rozbiegła się po chatach.

Strach ogarnął babkę Nastę, gdy ujrzała na podwórku żołnierzy. W chacie był z nią tylko Panas. Żołnierze skierowali się ku chacie. Było ich trzech. Weszli bez powitania i rozejrzeli się po izbie.

— A gdzie to, stara, twoja synowa?

— Do ojców poszła, panoczku! — ze strachem odpowiedziała Nasta.

— A nie kłamiesz? — znów spytał żołnierz.

Babka nie zrozumiała i milczała.

— A tyś się zadawał z bolszewikami? — znienacka zwrócił się inny żołnierz do Panasa.

— Nie! — odparł chłopak.

— A bolszewicy kwaterowali u was? — dopytywali się żołnierze.

— Stali po wszystkich chatach. Wszędzie byli.

— A czemuż to komisarz bolszewicki waszą właśnie chatę wybrał?

— Bo ja wiem? — wzruszył ramionami Panas.

— Ach wy bolszewicy, psia wasza mać! A ojciec gdzie?..

Hałasując i grożąc żołnierze opuścili chatę. Jeszcze większy strach ogarnął Nastę: trzęsła się, jak w febrze. Co będzie ze starym? gdzie on? Może go już schwytano?

Wkońcu, uradzono odszukać dziada i uprzedzić go, by nie wracał do chaty.

IV

Nie odrazu dziad Tałasz poszedł do swojej zagrody. Coś go ciągnęło tam, gdzie stał stożek, gdzie się odbyła jego batalja z żołnierzami. Przyczaił się w zaroślach i patrzy czujnie przed siebie. Stożka już niema. Sterczą tylko poczerniałe żerdzie. W tej chwili, nagle coś mignęło opodal. Przygląda się dziad Tałasz — postać ludzka. To zlewając się z mrokiem, to występując na jaśniejszem tle, sylwetka nieznajomego posuwa się w stronę Tałasza. Tam gdzie był stóg, człowiek przystanął nasłuchując. Potem ruszył w krzaki. Któżby to mógł być?

— Ho — hop! — rozległo się po chwili nieśmiałe wołanie.

— Hop! — odhuknął Tałasz, poznając głos Panasa.

Ojciec i syn zeszli się w zaroślach.

— A ja tu na was, ojcze, czatuję, — cicho przemówił Panas.

— A bo co? — ozwał się stary, zauważywszy coś niezwykłego w głosie syna.

— Polacy we wsi! Was szukają...

Milczeli chwilę.

— Wy dzisiaj, ojcze, nie nocujcie w domu, — pierwszy przerwał milczenie Panas.

Stary podrapał się w głowę.

— A jak matka? — zagadnął.

— Tak sobie. Nastraszyli ją żołnierze. Boi się, żeby was nie wzięli. Powiada, żebyście do domu nie wracali teraz... Tu macie chleb i słoninę.

Panas zdjął z pleców sporą torbę parcianą, odwieczny symbol chłopskiej doli. Czas jakiś stary milczał i rozważał. Potem bez słowa wziął torbę.

— A siano... wszystko zabrali?

— Wszystko... Zostało ździebko, i to Maksymowi odwieźć kazali.

— A bodajże ich morowe powietrze!.. Czemże my gadzinę karmić będziemy?..

Rozgoryczony stary pokiwał głową i spytał:

— Maksym nie wrócił jeszcze?

— Nie...

Umilkli.

Gęsty mrok zawisnął nad Polesiem. W obnażonych krzakach pogwizdywał wiatr i smętnie szemrały, przy-

sypane śniegiem, rude badyle traw. Wieś przyczajona — milczała. Słychać było tylko gniewne a wrogie ujadanie, lub przeciągłe wycie psów, rozdrażnionych wtargnięciem nieproszonych gości.

— Wróci Maksym, niech w te pędy do Prytek pojedzie i od Łabuzy siana pożyczy.

— Nie kłopoczcie się, ojcze, potrafimy jakoś bydlątka przekarmić, — starał się pocieszyć ojca Panas: — siana dostaniem, naścinamy gałązek, młodych pędów... Nie zamrze gadzina z głodu, nie!

— Otóż to! Postarajcież się, synku...

— A wy, ojcze, idźcie do Makusz i tam u Paraski ostańcie. Przylecę do was, jakby co do czego...

Paraska, była to zamężna córka Tałasza.

— At, — machnął ręką Tałasz, — mniejsza o mnie, synku... Powiedz-no lepiej, czy dużo tu polaków?

Widocznie myśli starego inny przybrały kierunek.

— Siła ich!.. — zniżył głos Panas, — nie mniej, niż dwustu. Powiadają, że w Wieprach ćma ich nieprzejrzana.

Stary nakazał być ostrożnym i przepytywać, co się dzieje u polaków. Potem, naznaczywszy czas i miejsce spotkania, ojciec i syn rozeszli się.

Zaczęły się dla dziada Tałasza i jego rodziny dni, pełne niepokoju i troski. Martwiła się babka Nasta. Trzebaż, by takie licho wdarło się w ich życie. I gdzie tu sprawiedliwość na świecie! Za co stary skazany jest na tułaczkę? Wadził to komu? Czy komu w drogę wchodził, że jak bezdomny musi teraz po lasach się ukrywać i cudze kąty wycierać! Szkoda starego! I rozpłakała się rzew-

nie. A tu, w dodatku, Maksyma z koniem niewiadomo gdzie pognali. Własną krwawicę zmusili jakimś darmozjadom odwozić, a bydlątka niech z głodu zdychają! I czy przynajmniej puszczą wolno Maksyma? Czy wróci? Życie rodzinne rozbite i niewiadomo co i jak ma być.

Siedzi babka Nasta samotna w chacie. Lampka naftowa tli się na przypiecku. A w chacie tak cicho! Tak milcząco i nieprzychylnie zagląda w okna czarna noc i zcicha skowycze w kominie wiatr, jakby wtórował niewesołym dumkom starej.

Stukanie do drzwi spłoszyło te myśli.

Babka przedewszystkiem przez okienko wyjrzała.

— To ja!—rozległ się głos pode drzwiami.

Babka Nasta odsunęła skobel.

— No, jakże?—spytała Panasa.

— Widziałem się z ojcem. Oddałem mu strawę.

— Dokądże poszedł?

— Poszedł... Powiadał, żeby się nie troskać o niego. Pewno u Paraski zostanie.

Babce Naście ulżyło na sercu. Rozmowa przeszła na polaków.

Nic dobrego nie spodziewaj się po nich. Nie po ludzku sobie poczynają. Lichota... Do babki przychodziła Agata Smyga. O różnych bezeceństwach polskich żołnierzy mówiła. Zaczepiają dziewczęta i młódki, po komorach szperają, biorą, co się pod rękę nawinie. To jajecznicę im smaż, to słoniny uskwarz... o byle co do bata się biorą.

Późno w nocy powrócił Maksym i przywiózł trochę siana. Poprostu „odkradł" je polakom. I wieści przy-

wiózł niewesołe. Rozprawiają się władze polskie z każdym, co mienie z pańskich dworów zabierał, albo las pański rąbał. A pana Królewskiego komisarzem powiatu zrobiono, po gminach wójtów ponaznaczano.

— Czyżby tu oni osiedli na naszą głowę? — westchnęła babka Nasta.

Ponury nastrój zapanował w chacie Talasza.

Po rozstaniu się z synem stary zwolna poszedł przez błota, wsłuchując się w szmery i dźwięki poleskiej nocy. Markotno mu było samemu w mroku i ciszy leśnej. Siekiera za pasem dodawała mu nieco odwagi. Sam sobie sprawy nie zdawał, czego się więcej obawia: nieczystej siły, w którą wiara tliła się jeszcze gdzieś w zakątkach jego duszy, dzikiego zwierza, czy też złego człowieka w postaci polskiego żołnierza?

Noc, samotność i strach skierowały myśli starego ku broni. Jakże inaczej czułby się teraz, gdyby miał przy sobie wiernego druha — dobrą strzelbę! Coprawda dziad strzelbę ma... Ukryta jest w tym samym lesie wraz z prochem, pistonami, śrutem, kulami, grankulkami i wszystkiem co potrza. Nie na rękę mu było trzymać broń w domu w taki niepewny czas. Przypomina sobie stary, że broni schowanej po lasach jest dużo i to prawdziwej, dobrej broni. Może przyjdzie taka chwila, że przyda się ludziom ta broń...

Tak rozmyślając zbliża się stary do tego miejsca, gdzie ukrył był swą strzelbę. Błądził jednak trochę zanim po nocy natrafił na dziuplaste drzewo, któremu powierzył swą starą przyjaciółkę. Wydobył ją z dziupli, obejrzał, odwiódł kurek, sprawdził. Dobrze jeszcze służy wierny towarzysz jego leśnych wycieczek. Zarzucił przez ra-

nię skórzaną torbę myśliwską na szerokim pasie, dostał ładunki z prochem, wsypał sporą porcję prochu do strzelby, dobrze wszystko ubił kłakiem. Założył ze sześć grankulek i, kiedy wszystko było gotowe, nasadził piston. Teraz pewniejszym już krokiem skierował się do Makuszy.

V

Na drogach ku Prypeci armja polska zmuszona była zatrzymać się. W ciągu kilku dni toczono w tej okolicy zacięte walki. Wobec znaczenia pozycji nad Prypecią, polacy usiłowali przeprawić się przez rzekę, by potem swobodnie już rozwinąć dalsze natarcie na Armję Czerwoną. Lecz wszystkie próby polskich legjonów posunięcia się naprzód — spełzły na niczem. Bojowy zapał polaków ostygł znacznie. Śniegi i mrozy, co nagle skuły Polesie, przerwały wogóle działania wojenne na szeroką skalę. Obie strony ściągały posiłki i odwody, bacznie śledziły się wzajemnie. Umocniono zdobyte pozycje, szykując się do dalszych decydujących starć

Znaczna część Polesia, cała niemal Pińszczyzna, część ziemi Mozyrskiej i Rzeczyckiej były już zagarnięte przez białopolaków.

Okupacja polska wywołała nowy gwałtowny zwrot w stosunkach polityczno-społecznych.

Gdzieś z głębi wieków powstawały, dawno zapomniane przez lud i zatarte w jego pamięci, porządki, tradycje i administracyjne funkcje wskrzeszonej państwowości polskiej. Powstawały, jak widma z mogił, działając odpowiednio na psychikę szerokich mas ludu. Jeżeli zaś cokolwiek z tych zarządzeń żyło jeszcze w pamięci ludzkiej, wywoływało to w wyobraźni wyłącznie czarne chwile

przeszłości, związanej z polską szlachtą, panami i pańszczyzną. Województwa, starostwa, komisarze powiatu, wójtowie, posterunki — już samo brzmienie tych wyrazów zmuszało podejrzliwie nastawiać uszu i patrzeć na wszystko sceptycznie, wrogo, beznadziejnie. Istnieli jednak i tacy, którym okupacja białopolska była na rękę. Do nich należał również Wasyl Busyga.

Nabrał otuchy Busyga, jakby mu skrzydła u ramion urosły. Trzymał się prościej, głowę wyżej nosił. Tylko czasami, i zwłaszcza spocządku, oblatywał go strach przed możliwym powrotem bolszewików.

Ale dni upływały za dniami, bolszewicy nie wracali, wątpliwości bladły i przed Wasylem Busygą przyszłość w różowych kolorach rysowała się coraz wyraźniej, coraz pewniej. Rozprawy, czynione przez władze polskie w obronie „świętego prawa własności prywatnej“, nie wzruszały go wcale. Owszem, Busyga widział jasno, iż rząd polski wprowadza porządek, prawo, daje pewność jutra.

To też ze szczególnem upodobaniem obmyślał sposoby ulepszenia swej gospodarki. Otwierały się przed nim możliwości znacznego jej rozszerzenia. Snuły mu się po głowie plany dokupienia ziemi. Sprzyjała i ta okoliczność, że pana Królewskiego mianowano komisarzem powiatu Jak to dobrze, że on, Wasyl Busyga, umie żyć w zgodzie z takimi ludźmi, jak pan Królewski!

To ostatnie skłania Busygę do złożenia wizyty nowemu komisarzowi. Zrobić to łatwo — pretekst, uzasadniający taką wizytę, z łatwością się znajdzie. Przyczyn złożenia wizyty jest dużo. Po pierwsze — trzeba uporządkować sprawy rolne. Nie można ich przecie pozostawić w takim stanie, jak je porzucili bolszewicy! No i we wsi

czas już inne porządki wprowadzić. Wykazać zaś inicjatywę — nigdy nie zawadzi.

Busyga starannie rozczesał swą czarną brodę, przywdział na czarno wyrobiony, wcięty w pasie kożuch, podpasał się wspaniałym szerokim pasem, misternie utkanym rękami jego Jagny, kobiety urodziwej i powabnej.

I kiedy Wasyl, wystrojony wedle wszelkich prawideł, stanął przed Jagną, by się jej pokazać w tym wspaniałym stroju, kobieta zawołała:

— Ho, ho! To ci frant z ciebie!

Pan Królewski siedział w swym gabinecie w wygodnym miękkim fotelu. Na zielonem suknie stały przybory do pisania i różne drogie cacki, przeznaczone specjalnie do upiększenia biurka. Leżały tu również kupy papierów. Wszystko to miało dodawać powagi panu komisarzowi powiatu. Na ścianach wisiały portrety polskich generałów, nieprzystępnych i surowych. Wśród tych wojskowych rzucał się w oczy portret biskupa z wszelkiemi biskupiemi akcesorjami, ostrzyżonego i wygolonego. Spojrzawszy nań, Wasyl pomyślał: „I poco tu wlazła ta pała?“ Ale głośno nic nie powiedział, gdyż Busyga był to człek polityczny i przebiegły.

Naczelne miejsce zajmował portret generała o surowem wejrzeniu i długich, szpakowatych wąsach, zwisających wdół, jak u morsa. Na piersiach miał całe muzeum krzyży, orderów, medali i różnych świecidełek, wiodących swój początek z owych zamierzchłych czasów, gdy wodzowie plemion przodków naszych paradowali w fartuszkach i skurach zwierzęcych.

I biskup i wszyscy ci generałowie i biurko z cackami podkreślały jeszcze bardziej powagę osoby pana komi-

sarza. Odczuł to doskonale Busyga i powitał pana Królewskiego bardziej uniżenie, niż zazwyczaj.

Pan komisarz raczył skinąć głową, a skinienie to pełne było powagi i godności.

— Co powiesz?

Pan Królewski mówił teraz po polsku i głos jego miał ton chłodny, oficjalny, zwierzchniczy.

Wasyl Busyga nie był mocny w języku polskim, chociaż niektóre słowa umiał wymawiać. Dotychczas rozmawiał przeważnie z pisarzami gminnymi, z popami, uriadnikami, czasem — z prystawem. Od nich nachwytał słów rosyjskich, chociaż wymawiał je z wrodzonym sobie poleskim akcentem.

— Przyszedł ja do gaspadzina pana kamisarza wywiedzieć się o nowinach, bo my żyjem zaraz jak haróch przy drodzy, niczego nic nie wiedzący.

Pan Królewski spojrzał na Busygę. Chciał zrobić uwagę, co do poprawności jego mowy, ale zamiast tego zapytał go:

— A jaki jest stosunek wieśniaków do polskich władz?

— Które gospodarzy stateczne, proszu pana, te bogu dzieńkujon: ład, porzondek nastał, można spakojnie żyć i pracować...

— A reszta?

— Różnie bywa, proszu pana kamisarza... Trudno coś rzec pokiel niema blisko nijakiego naczalstwa, cob ciekawiłosia temi sprawami.

Wasyl Busyga nie wypowiedział do końca swej myśli: instynkt samozachowawczy ostrzegał go przed zbyt otwartem wywnętrznianiem się. Ale co do „naczalstwa" napomknął zręcznie: był przecież kandydatem na wójta.

Na tem pogadanka się urwała, bo na podwórku wszczął się zgiełk; rozlegały się głosy ludzkie i okrzyki żołnierstwa, podobne do szczekania psów.

Pan Królewski wstał z krzesła i zbliżył się do okna. Wasyl również zwrócił głowę w tę stronę.

Podwórko pełne było poleszuków, przeważnie ludzi młodych, lub w średnim wieku. Otaczał ich łańcuch polskich legjonistów.

Kosmate czapy rozmaitego kształtu i barwy, długie i krótkie znoszone kożuszki, czarne i szare sukienne sukmany i kurtki, na nogach łapcie i wysokie owijaki parciane—stanowiły odzież gromady. Skórzane torby i brzozowe kobiałki, przerzucone przez ramię, dopełniały ubioru. Twarze ludzi zamknięte były, poważne i surowe.

Gorliwi żołdacy wprowadzali porządek w tym pstrokatym tłumie, starając się ustawić w szeregu ludzi, spędzonych tu niewiadomo skąd i za co. Wymyślali im przytem, potrącali i odgrażali się.

Nienawykły do tego naród, czując wstręt do tych kapralskich porządków, odgryzał się i opierał, dzięki czemu wybuchały nieporozumienia, gotowe w każdej chwili wywołać groźniejsze odruchy.

— Czego się pchasz, pańska podeszwo? Bo jak cię potrącę, to kości swych nie pozbierasz!

Wysoki, barczysty i muskularny poleszuk spod zsuniętych gniewnie brwi rzucił ostre spojrzenie na żołnierza, który go był popchnął. Spotkawszy groźne spojrzenie siłacza, legjonista cofnął się lękliwie.

— Milcz, ścierwo!—krzyknął, przezornie odsuwając się jeszcze dalej od rozgniewanego olbrzyma.

— A toć to Marcin Ryl!—Busyga poznał w siłaczu

poleszuka z sąsiedniej wsi Wiepry i dreszcz nerwowy przebiegł mu po ciele. Jednocześnie to niespodziewane odkrycie ucieszyło go mocno.

— Zgromadzonych chłopów poprowadzono za róg domu, gdzie była ciupa, przerobiona z jakowegoś budynku. Po chwili ukazał się kapral i zameldował panu Królewskiemu o przybyciu partji złoczyńców, buntowników przeciwko nowej władzy, sprzyjających wyraźnie bolszewikom, barbarzyństwu i anarchji.

Zapewniony przez pana Królewskiego, że zostanie wójtem, Wasyl Busyga rozmyślał po drodze do domu o swem wójtostwie i tych obowiązkach, jakie nań spadały, dzięki tak wysokiemu stanowisku. Myślał również o Marcinie Rylu. Lecz kwestja, czy ma powiedzieć Jagnie o areszcie Marcina, czy też nic nie mówić — nie została rozwiązana przez przyszłego wójta.

VI

Kimże był ów Marcin Ryl, że jego areszt tak poruszył nowego wójta? I dlaczego wahał się Busyga, czy ma o tem powiedzieć swej Jagnie? Musimy się cofnąć o jakie lat dziesięć i zajrzeć do wsi Wiepry, żeby znaleźć odpowiedź na te pytania.

Przed dziesięciu laty nie było w Wieprach bardziej interesującej dziewczyny niż Jagna, obecnie żona wójta Busygi. Wesoła, żywa, dowcipna, swawolna, pierwsza do zabawy i żartów — oto jaką była Jagusia Kublik. Lubiła z chłopakami pożartować, a żartowała tak, że każdemu z nich się zdawało, jakby on był tym wybranym, na którego zwróciła swe oczy uroczne.

„Narwie się dziewucha", — mawiały o niej stateczne kobiety i młódki, gdy gawędy o jej wybrykach dochodziły ich uszu. Ale Jagna żartowała — jednak granicy w swych wybrykach umiała nie przekroczyć. Bywała też stateczna i poważna. Oczy jej, ciemne jak lekki zmrok jasnych czerwcowych wieczorów, spoglądały wówczas surowo i myśląco. I trudno było określić kolor tych oczu, co świeciły, jak dwie jasne tafle podłużnych jezior w obramowaniu gęstych trzcin. Można je było uważać za piwne, zlekka pociągnięte zielonkawą mgłą, czasem zaś zdawały się być szaro - zielone. Być może mieniły się one, zależnie od marzeń dziewczęcych, wypełniających w danej chwili jej głowę i kołyszących jej dziewicze serce. Jedno było pewne: oczy te wabiły, nęciły — jak wabi i nęci swoboda i radosny przestwór wiosny, pełen muzyki, śpiewu, dźwięków i głosów życia, i pochłaniały, jak chłonie nadbrzeżne grzęzawisko, gdzie zwodniczym szeptem gawędzą wysokie szumiące trzciny i wonne ajery.

Lecz oczy te uroczne nie miały, zda się, żadnej władzy nad Marcinem Rylem i nie Jagusię wyróżniał on wśród gromady dziewcząt w Wieprach. Jagusia sama od czasu do czasu przy sposobności zaczepiała Marcina. Nic jednak w tem osobliwego nie było, jeśli wziąć pod uwagę charakter dziewczyny i jej żartobliwość. Marcin udzielał jej tyle tylko uwagi, ile tego wymagała grzeczność i nic ponadto.

— Podobasz mi się, Marcinku, — mówiła raz Jagusia do niego, a w oczach jej tańczyły płomyki żartobliwej ironji.

A Marcin jej na to, jakgdyby nic nie zauważył:

— I ty mi się, Jaguś, podobasz.

I w tonie słów najmniejszego wzruszenia.

— A dlaczego ja ci się podobam, Marcinie?

— A dlatego właśnie, że ja się tobie podobam.

— A gdybyś mi się nie podobał?

— No, to co z tego?

— A wiesz, za co ciebie można polubić?

— Nie wiem. — No, powiedz?

— Za to, żeś wysoki, że widocznie będziesz miał czarne wąsy. A oczy masz szare i gdy niemi spoglądasz, to strasznie się robi. A ja lubię, gdy spojrzenie chłopca zmusza zadrżeć ze strachu. Ale zamąż za ciebiebym nie poszła: gdy zmężniejesz, kozią brodę mieć będziesz.

I zanosi się Jagusia śmiechem srebrzystym. Marcinowi niemiły jest ten jej śmiech i takie zakończenie rozmowy. Czuje się trochę dotknięty. Nim się wybrał odpowiedzieć jej ostro, Jagusia zdążyła już umknąć i zapomniała prawdopodobnie, że w Wieprach jest barczysty, wysmukły i zgrabny parobek Marcin. Ale i Marcin prędko zapomniał o tem spotkaniu. I dopiero wieczorem, gdy się do snu układał, stanęła przed nim Jagusia, jak żywa. Jej spojrzenie wabiące i cała z nią rozmowa stoi mu w oczach. Jednocześnie przypomina sobie i „kozią brodę", co ma mu wyrosnąć, gdy zmężnieje. I poco ta broda? Poco ona ją tu przyplątała... Nieprzyjemnie myśleć o tem. Marcin zastanawia się nad każdem słowem dziewczyny. Coprawda, powiedziała mu więcej miłych słówek, niż przykrych. Co zaś do tego, że nie poszłaby zamąż za niego, to Marcin wcale nie ma zamiaru z nią się żenić i wogóle o żeniaczce nie myśli. Zresztą, tak się tylko mówi... Może właśnie słowa jej należy odwrotnie rozumieć? Tylko znowuż

„kozia broda“ psuje wszystko. Marcin splunął, przewrócił się na drugi bok i zasnął młodym zdrowym snem.

Marcin Ryl z fuzją płynie czółnem wzdłuż brzegu Prypeci. Trzyma się wpobliżu trzcin, żeby się lepiej podkraść do dzikich kaczek. Poszczęściło mu się, zastrzelił ich z pięć sztuk. Od przeciwległego brzegu mknie łódka. Na dziobie leży naręcz świeżej trawy i spory snop puszystych oczeretów. W czólnie bieleje gibka postać dziewczęca w kraśnej chusteczce, związanej stylu głowy. Szybko miga wiosło w jej jędrnych dłoniach i czółno żwawo i równo ślizga się po szerokiem łonie spokojnej Prypeci. Minąwszy środek rzeki, czółno gwałtownie skręca w stronę Marcina. Marcin umyślnie płynie wolno i pilnie wpatruje się w zatoczki, gdzie lubią żerować kaczki. Nie patrzy na czółno z dziewczyną, choć już dobrze wie, kto płynie. Ale jest mu przyjemnie.

— A ja ci wszystkie twoje kaczki wypłoszę,—rozlega się dźwięczny dziewczęcy głos, i natychmiast leci jej okrzyk:

— A sio - ha! A sio - ha, kaczki!

Dźwięczny plusk wiosła po wodzie zwiększa hałas i echem leci po rzece. I rzeczywiście, kilka spłoszonych kaczek zrywa się z zatoki i świst ich bystrych skrzydeł wyraźnie słychać w powietrzu. Kaczki lecą wprost na Marcina. Marcin zmierzył... Echo wystrzału leci nad Prypecią i milknie w trzcinach i trawach nadbrzeżnych. Jedna kaczka chybnęła się, zniża lot, niezgrabnie macha osłabłemi skrzydłami i, zatoczywszy półkole, nagle z pluskiem spada do wody.

Jagusia zręcznie zawraca swą łódkę. Cała jej gibka postać podaje się naprzód. Na wodzie, po każdem ude-

rzeniu wiosła, z cichem przeciągłem szemraniem tworzą się małe lejkowate wiry.

Marcin nagle ożywia się. Wyminie Jagusię, wyprzedzi ją i perwszy dopłynie do zabitej kaczki! Wiosło gnie mu się w potężnej dłoni, i czółno jak strzała mknie do określonego punktu. Ale łódka Jagny jest bliżej. Ma ona szanse dopłynięcia wcześniej. Marcin zaczyna żałować, że poszedł z nią w zawody. Ale cofnąć się już zapóźno, a zresztą, nie jest on takim, by bezsilnie złożyć wiosło i uznać się za zwyciężonego. Jeszcze mocniej gnie się wiosło w jego rękach, jeszcze prędzej rozcina wodę ostry dziób łódki. Marcin zdjął spencer i cisnął go na mokre dno.

Jagusia widzi, że Marcin zwycięża. Ale to jej nie martwi. I cóż z tego, że ją Marcin wyprzedzi, jeśli siły ma tyle, co spory wół. Ale i ona nadziei jeszcze nie traci. Szybciej miga wiosło w rękach dziewczyny. Twarz jej zarumieniła się, jak kwiat maku. Dwa długie ciemnozłote warkocze wysunęły się spod chusteczki i końce ich zanurzają się w wodzie, gdy dziewczyna nalega na wiosło i cofa się nagle. Zabita kaczka już jest niedaleko. Napewno ją Marcin podniesie. Jagna wpada na pomysł i, zawracając w miejscu łódkę, przecina drogę Marcinowi. Chwila zamieszania. Lecz nie zdążył Marcin nawet pomyśleć o wyminięciu przeszkody, jak w ich oczach zaszedł dziwny wypadek: kaczka zanurzyła się gwałtownie, a woda nad nią uniosła się wypukłem półkolem, jakby ją coś przemocą wypchnęło, a potem rozprysła się kołami aż do samego brzegu.

— Marcinku, gdzież się kaczka podziała?

W oczach Jagusi odbija się strach i zdumienie. Marcin spojrzał na nią i roześmiał się.

— Ani ty, ani ja nie dopłynęliśmy... a kaczkę schwycił som.

Jagusia milczała. Nie w smak jej był ten wypadek

— Wracajmy!

Zawrócili łódki, zetknęli je bok o bok, i tak popłynęli na swój brzeg.

— Pewno gniewasz się na mnie, żem ci kaczki spłoszyła?

— Nie... Wcale się nie gniewam...

— Chciało mi się popatrzeć na ciebie.

Marcin naprawdę nie gniewa się. Ostatnie zaś słowa zupełnie go udobruchały. Nagle przypomina mu się kozia broda. Marcin staje się obojętny i obcy.

— Nie masz nic lepszego do roboty, jak patrzeć na mnie?

— Boś mi się udał,—odpowiada dziewczyna, wabiąc go swemi uroczemi oczami.

— Tobie się każdy bodaj chłop udał... — z odcieniem ironji odpowiada Marcin.

— Abo to źle?

— Nie wiem.

— Ale z ciebie strzelec zręczny, — zmieniła temat rozmowy dziewczyna.

Marcina to gniewa. Wolałby się dalej przekomarzać z Jagusią.

— Jeden dobrze z fuzji strzela, a inny oczami.

— A któż to oczyma strzela?

— Są tacy strzelcy...

— Ależ oczyma kaczki nie można zastrzelić!

— To też nikt do kaczek oczyma nie strzela.

Jagusia parska śmiechem.

— Dobrze żeś nie kaczka, bobym ciebie dawno ustrzeliła.

Marcin chciał się przyznać, że jeśli nie został zastrzelony, to przynajmniej czuje się trochę podbity, ale zamiast tego, niespodziewanie dla siebie i dla Jagny, wypalił:

— Przyjdę dziś wieczór do ciebie.

Serce dziewczyny uderzyło mocniej.

— A przyjdź... Będę czekała...

Czółna przypłynęły do brzegu. Marcin wyciągnął czółno Jagny i swoje, przywiązał je do palików. Potem wziął naręcze trawy, ona snop trzciny i poszli.

I wszystko było dobrze, dopóki nie spotkali Konrada Busa. Widocznie czekał na Jagnę. Gdy się z nim zrównali, podszedł do dziewczyny i ujął ją wpół. Jagusia położyła mu rękę na ramię i poszli, nie zwracając uwagi na Marcina, który włókł się za nimi z wiązką trawy, kaczkami i z fuzją. Chciał cisnąć trawę, lecz nie wypadało mu okazywać złego humoru. Szedł więc jeszcze chwilę.

— Weź, Jagusiu, trawę. Ja tu naprzełaj przez ogrody pójdę.

Nie patrząc jej w oczy, oddał trawę, a sam ruszył śpiesznie ku swojej zagrodzie.

Wieczorem Jagna czekała, lecz Marcin nie przyszedł.

Takich spotkań i rozmów było dużo. Pierwiej Jagusia szukała chłopaka, potem Marcin szukał Jagusi, potem szukali się wzajemnie. Bywały między nimi sprzeczki i nieporozumienia, zdarzały się też chwile miłej zgody. Były słodkie wieczory zbliżenia się i przyjaźni. Czyż nie może

istnieć przyjaźń między mężczyzną a kobietą? Ludzie nieraz w takich wypadkach ukrywali pod płaszczykiem przyjaźni coś znacznie większego, niż przyjaźń.

I oto wtenczas, gdy wieprowscy chłopcy stracili nadzieję na Jagusię, a wieprowskie dziewczęta na Marcina — zaczął się pokazywać w Wieprach Wasyl Busyga, chłop okazały, syn bogatych rodziców. I jego również zwabiły Jagusine oczy. Serce Marcina uderzyło mocniej. Wasyl — przeciwnik niebezpieczny. Marcin — biedakiem jest. Maleńka zagroda, pochylona chatka. Co Marcin posiada? Fuzję, sieci rybackie i dorodną postać? Trzymał się Marcin w garści, drażnił Jagnę Wasylem. Jagna czasem kpiła z Wasyla, czasem chwaliła go i mocniej garnęła się do Marcina. Widocznie, żal go jej było.

Któregoś dnia mówił Marcin do Jagny:

— Nie masz serca, Jagusiu. Niedobra jesteś i nieszczera. Pocoś mi kłamała? Poco mię zwodziły twe oczy!

— A co ci do moich oczu! Ciebie kochałam i kocham. I będę kochać, — dodała.

— To samo mówisz Wasylowi?

— Nie, tego mu nie mówię, a jeśli mówię, to tylko tak sobie.

— Więc czemuż zamąż idziesz za niego?

— Tak trzeba, — cicho i niepewnie szepcze dziewczyna.

Marcin milczy i myśli: bogactwo jego — oto gdzie przyczyna. Ale chce mu się dokuczyć Jagnie.

— Czyżbyś już tak blisko być z nim zdążyła, żeś w ciążę od niego zaszła?

Co miała mu odpowiedzieć? Że żadnego zbliżenia nie

było? A może przyznać się do tego, czego nie było? Nie, tego nie zrobi!

— Oh, jak mi ciężko, Marcinku! I sobie i tobie wrogiem jestem. A zbliżenia żadnego nie było, nie było, wierz mi, Marcinie. Jestem fałszywa i zła — mówiłeś prawdę.

I tuli płonącą twarz do jego policzka. On bierze ją w ramiona, jak dziecko. Ona owija mu szyję rękami i lgnie i tuli się do niego.

Marcin jest jak pijany. W głowie mu się kręci, zimny dreszcz przebiega po ciele. I po raz ostatni po tem wszystkiem spytała Jagienka:

— Wierzyszże mi teraz?

On tulił ją, całował i szeptał:

— Jaguś najmilsza, ukochana...

— Odczep się ode mnie! Idź precz!

Ze złością odtrąciła go od siebie i poszła.

Co się jej stało?

I Marcin zdumiony i niepewny patrzał jej wślad.

Wkrótce pochłonął ją mrok lipcowej nocy, a Marcin zawrócił do siebie.

Pustkę czuł w sercu i w głowie.

Wyszła zamąż Jagna za Wasyla Busygę. Ożenił się Marcin, wziął niebieskooką Ewę Garbar, dziewczynę zgrabną, stateczną i rozumną.

Ale oczy Jagusine głęboko zapadły w jego myśli i serce. I nie może Marcin dotychczas uwolnić się od ich uroku. Marcin i Jagna spotykali się już potem, gdy on był żonaty z Ewą, a ona była żoną Wasyla Busygi. I każde takie spotkanie wytrącało ich z równowagi. I on i ona

rozumieli niedorzeczność tych spotkań, ale serce nie chciało słuchać rozumu.

Razu pewnego zagadnął Marcin:

— A pamiętasz, Jagno, jakeśmy się ścigali, kto pierwszy do zabitej kaczki dopłynie? A kaczkę połknął som. Ani ty, ani ja nie dopłynęliśmy do niej...

Jagna westchnęła.

VII

Dziadowi Tałaszowi zaczynała dokuczać tułaczka i włóczęga poza domem. Czas jakiś mieszkał u córki w Makuszach. Wieczorami plótł chodaki dla wnucząt i opowiadał im bajki.

Ale położenie było takie, że tego rodzaju spędzanie czasu nie pociągało Tałasza. Trzeba było znaleźć jakieś wyjście z tej niewyraźnej i przykrej sytuacji.

Pogłoski o rozprawianiu się władz polskich z każdym, na kogo padało podejrzenie, rozchodziły się po tych wszystkich zakątkach Polesia, gdzie rozpościerał skrzydła biały orzeł polski. I nic dobrego nie było w tych pogłoskach, co gorsza — fakty je potwierdzały.

Z domem Tałasz kontaktu nie tracił. Łącznikiem był Panas. Od niego dowiedział się stary, że Wasyl Busyga jest wójtem, że przez wójta polacy kazali zebrać z każdej zagrody po dziesięć pudów siana i słomy. A przedtem zbierali rozmaite zapasy żywności: kury, prosięta, jaja, słoninę. Ileż to lamentu i hałasu było we wsi. Wszelki sprzeciw karany był surowo, a rozprawiano się niezwłocznie, na miejscu. Szły w ruch nahajki i stemple. „Dwadzieścia pięć" — wykrzykiwali brutalni kaprale.

We wsi zaczęli pojawiać się jacyś ludzie, snuć się jak

cienie, podsłuchiwać, co kto mówi, wypatrywać, co gdzie się dzieje. Chodziły pogłoski, że polacy ogłoszą mobilizację.

Panasa rozpytywał wójt, gdzie się podział ojciec.

Lecz Panas nie głupi, żeby powiedzieć mu prawdę. Słowem, dziad Tałasz wrócić do domu nie może — taki był stały refren Panasowych nowin.

Słuchał stary tych nowin i własna jego krzywda malała, a stożek, zabrany przez polaków, zdawał się być okruszyną, co się gubiła w natłoku jego myśli. Rzecz się miała daleko gorzej, a na pierwsze miejsce wysuwała się wspólna niedola chłopskiej biedoty. I co tu począć? Nadzieja, że polaków wypędzą, — nikła, a ich zjawienie się, uważane przed kilku jeszcze dniami jako gwałtowna, lecz krótkotrwała napaść, grozi ustaleniem się obcej władzy na długo, może na zawsze. I czyżby naprawdę droga do własnej chaty została dla Tałasza zamknięta? A jeśliby pójść uznać swą winę? Tylko gdzie ta wina, na czem ona polega? Toć jego skrzywdzono i znieważono, a on ma iść im się kłaniać? A na pohybel im, niedoczekanie!

Dziad Tałasz był zacięty i hardy, jak dziki orzeł.

Stało się to tego dnia, gdy stary Tałasz przyszedł na umówione miejsce schadzki z Panasem. Zwykle Panas przychodził pierwszy i pogwizdywał, oczekując ojca. Tymczasem pierwszy przyszedł dziad Tałasz. Wsłuchał się — złowieszcza cisza panowała dokoła. Może się pośpieszył? Dziad usadził się pod starym, przysadzistym, rozgałęzionym dębem. Czas mijał. Panas nie przychodził. Poczekał dziad godzinę, dwie. Głuchy niepokój zakradł się do jego serca. Co przeszkodziło Panasowi przyjść tutaj? Stary przypomina ostatnie spotkanie z synem. Czy nie mogła

zajść pomyłka co do miejsca spotkania? Nie—omyłki niema. Gruby dąb na skraju Suchego Pola. Tałasz dobrze to pamięta. Dźwięczą mu nawet w uszach słowa Panasa:

— A więc, pod grubym dębem koło Suchego Pola!

Dziad podniósł oczy wgórę na potężne konary dębu, jakby od niego czekał odpowiedzi na swe wątpliwości. Dąb stał poważny, nieruchomy, trzymając w swych rozgałęzionych konarach potężną zaspę śniegu. Zmartwiałe pole stało się jak biały obrus. Ciemno-szafirową ścianą występowała nieruchoma sylwetka lasu. Zaczajona cisza przywarowała, podchwytując najlżejszy szmer, każdy szelest i dźwięk. Tylko dzięcioł zawzięcie i rytmicznie kuł dźwięczne drzewo, nie zwracając uwagi na dziada Tałasza.

Markotno było staremu. Wyobraźnia nasuwała mu szereg najgorszych wypadków, które mogły spotkać Panasa, Maksyma i babkę Nastę. A każda chwila oczekiwania wbijała się, jak ostra drzazga w serce starego. Wyczerpała się jego cierpliwość: trzeba gdzieś iść, coś robić.

Na Polesie szybko spływał zaklęty w milczeniu wieczór, wiodąc z sobą liczne niepodkupne swe straże i spowijając ciemną płachtą i las, i dalekie bagniska, i suche pola. Krzaki i drzewa na polu straciły wyraźne kontury i zmieniały się w niejasne rozpływające się sylwetki.

Dziad Tałasz wyprostował plecy, wygodniej poprawił fuzję na ramieniu, rzucił okiem raz jeszcze dookoła i już chciał ruszać i wszystko jedno dokąd, byle nie trwać tutaj w bezpłodnem oczekiwaniu, gdy nagle zamarł na miejscu: z głębi lasu dało się słyszeć stąpanie po śniegu i przygłuszony trzask suchych gałązek pod nogami. Stąpanie było równomierne i rytmiczne — raz-dwa! Chwilami rytm się zmieniał, ale naogół zachowywał równomierne tempo.

Były to więc kroki człowieka, lecz nie były to kroki Panasa: szedł ktoś dorosły, ociężale i wolno. Dziad ukrył się za dębem i wpatrzył się w tę stronę, skąd dolatywał odgłos kroków nieznajomego. Wysoka ciemna postać mignęła pod nawisłemi konarami drzew i ukazała się w mroku na polanie, zarysowując się coraz wyraźniej na ciemniejszem tle. Dziad Tałasz oczekiwał w naprężeniu. Zawołać nań, czy nie? Co to za człek? I nagle nieoczekiwanie zawołał:

— Kto idzie?!

Wysoki człowiek zatrzymał się i cofnął lękliwie, badawczo patrząc przed siebie.

— Kto pyta? — rozległ się głuchy bas nieznajomego. Dziada Tałasza, ukrytego za dębem nie było widać.

— Pytam się ja! — ozwał się Tałasz.

— Ktoś ty?

— A ty kto?

Po głosie i z wymowy poznał dziad Tałasz, że to człek swój, tutejszy. Pierwszy strach minął, ale dziad i nadal postanowił zachowywać incognito. Nastąpiło przydługie i niezręczne milczenie. Wreszcie odezwał się Tałasz.

— Tutejszy jestem!..

— Sam jesteś? — dopytywał się ostrożny nieznajomy.

— I sam i nie sam... Strzelba jest ze mną.

— No, to ją rzuć: strzelbę ja również mam i napewno lepszą, niż twoja — dumnie zahuczał z lasu bas nieznajomego tonem, nie pozwalającym wątpić, że jego fuzja jest stokroć lepsza, niż fuzja dziada.

Tałasz wychylił się z ukrycia, a wysoki nieznajomy śmiałym krokiem ruszył w stronę dębu.

O trzy kroki olbrzym zatrzymał się zdumiony. Takież zdumienie odbiło się na twarzy Tałasza.

— Dziad Tałasz! — zagrzmiał bas.

— Marcin! A bodajżeś przepadł! — radośnie zawołał dziad i rzucił się do Marcina Ryla.

Był to istotnie ten sam Ryl, który groził potrącającemu go legjoniście, że jak go popchnie, to kości swych nie pozbiera.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

— Kogoż to wy tu, ojcze, pilnujecie?

— Kogo pilnuję, gołębiu mój? Tak jakoś się złożyło, że sam siebie pilnuję. A ty? Jak widzę, chłopcze, porządnie musiałeś strachu się najeść?

— Oj, i nawet nie pytajcie się, ojcze. Z polskiej niewoli się wyrwałem. I nie ja sam. Trzydziestu sześciu nas uciekło.

— Co ty mówisz? — zdziwił się Tałasz. — Jakże to tak?

— A no, cofnęli się czerwoni, przyszli polacy. Przyszli i dalejże wyłapywać a chwytać tych, którzy do rewolucji się garnęli, albo pańskiem mieniem pożywili się. I zaczęli porządki wprowadzać, mścić się i grzechy różne wypominać. A naród nasz... sam wiesz, różny naród bywa... Bogacze panom schlebiać zaczęli i dalejże donosić, grzechy biedoty wyciągać. W taki to sposób i ja im w łapy trafiłem: aresztowano mnie. A w innych miejscach więcej takich jak ja nachwytano. W taki sposób nazbierali całą gromadę. Zebrali do kupy i pognali. A chłopcy wszyscy — na schwał: zuchy, chwaty. Przygnali nas do powiatowego komisarza, zamknęli w jakiejś piwnicy czy

stodole. Myśleliśmy, że skończą tam z nami. Tymczasem zaczęli gadać, że nas gdzieś dalej pognają. Dokąd i poco — nie wiemy. A był wśród nas Marko Bałuk spod Cierniszcz. Chwacki chłop. Człek obrotny, przebiegły. Żołnierzem w carskiej armji był. Ten ci powiada:

— Cóżto, mam się włóczyć z nimi jak aresztant jaki, czy co? A bodaj ich wciórności. Z niemieckiej niewoli uciekłem, a tu, w domu u siebie, cierpieć mam. Niema głupich! Dość tego!

Widzimy, po rozum do głowy człek poszedł. Obstąpiliśmy go.

— Jakże ty to zrobisz? — pytamy.

— Przysięgnijcie, że mnie słuchać będziecie, to i was oswobodzę! — powiada.

Widzimy, wymiarkował coś chłop. A któżby z nas nie chciał na wolność się wydostać. Czemuż nie przysiąc? Wówczas on tak powiada:

— Przysięgaliśmy Mikołajkowi na ewangelję, ale mu ta przysięga nic nie pomogła. Wy wszyscy przysięgnijcie mi na nasz chłopski chodak, na zwyczajny łapeć lipowy. Przysięgnijcie, że będziecie mnie słuchać, a zamiast krzyża, niech każdy łapeć swój pocałuje.

Poważnie mówi, nie żartuje.

— Łapeć, — powiada, — to znak naszej doli chłopskiej.

I wiecie, ojcze, co? Dalejże my każdy swój łapeć całować na nodze. Dalibóg — prawda. Kto żartem, a kto i na serjo. Wtedy on rzecze:

— No, więc słuchajcie, chłopcy. Skoro nas pogonią, a odejdziemy już z pięć - sześć wiorst, a może i więcej — miejsce sam wymiarkuję — czekajcie mego znaku. A znak

mój taki będzie: „Stój! łapeć spadł!“ Gdy posłyszycie te słowa, rzucajcie się błyskawicznie na eskortę i rozbrajajcie żołnierzy. Wszystko zależy od gwałtowności i szybkości napadu. Dwuch - trzech nieuzbrojonych ludzi łatwo da radę jednemu uzbrojonemu, jeżeli tylko zrobić wszystko szybko i zgrabnie.

Podobała się nam ta strategja. Omówiliśmy, obmiarkowaliśmy każdy szczegół, podzieliliśmy się na grupki. Rozmawiamy szeptem, żeby nikt nie słyszał naszej zmowy.

Wyprowadzono nas. Patrzymy, dwunastu żołnierzy jest w eskorcie, a trzynasty, dowódca. Trzęsie nas febra, ale po sobie nie okazujemy, co mamy na myśli. Udajemy, żeśmy bardzo osłabli, ledwo nogi włóczymy, chwiejemy się. Ustawili nas w szeregi. Kapral skomenderował i sam naprzód ruszył. Pięciu z eskorty idzie z jednej strony, pięciu — z drugiej. Dwaj pozostali — stylu. Ja idę w pierwszym szeregu. Z kaprala oczu nie spuszczam, nie tyle z kaprala, co z jego fuzji: spodobał mi się jego karabin. A w uszach cały czas trzy słowa mi huczą: „Stój! łapeć spadł!“ A dowódca nasz w ostatnim szeregu idzie. Minęliśmy miasteczko, w pole wyszliśmy. Furmanki spotykamy, ludzie przechodzą. Żołnierze popędzają nas, pokrzykują i tak brzydko nam wymyślają, że słuchać mdli. Płoniemy z niecierpliwości. Już ze dwie godziny idziemy tak. A nasz przywódca — milczy. I dopiero gdyśmy z lasu na polanę wyszli, jak ci huknie nasz Marko: „Stój! łapeć spadł!“ I co się w tym momencie stało — powiedzieć trudno. Zakotłowało się wszystko, splątało się w jeden kłębek, cicho, bez krzyku, chrypienie i sapanie rozlegało się tylko. Nie pomnę, jakem się znalazł przy kapralu; leży on na śniegu z rozdartem uchem, sam biały jak śnieg, oczyma

łypie, na mnie spogląda. „Leż, nie wstawaj!“ — powiadam mu. A w ręku mam jego strzelbę, ot — tę samą — karabin zagraniczny na siedem nabojów. I rewolwer jego mam i szablę. Rzucam się innym na pomoc, a tam już pomoc zbyteczna.

— Słuchaj mego rozkazu! — huknął Marko, obnażoną szablą machnął, a w drugiej ręce rewolwer ma.

— „Marsz do lasu i eskortę prowadzić!“ — Wystraszeni, bladzi jak śmierć, pokornie idą żołnierze. Teraz nie oni nas eskortują, ale my ich.

— Dosyć od bydła nam wymyślać! — Odeszliśmy o stajań pięć. — „Stój“, — skomenderował Marko. Zatrzymali się.

— Zdejmujcie buty, panowie!

Żołnierze zdjęli buty.

Marko wybrał sobie najlepszą parę, resztę podzielili między siebie łapciarze nasi. Trzynaście osób wciągnęło buty, a łapcie żołnierzom oddali. I porzuciliśmy ich tam w lesie żywych, jeno nieco poturbowanych. Broń ich podzieliliśmy między siebie: kto rewolwer dostał, kto karabin, a kto — szablę. Na pożegnanie powiada nam Marko:

— Ruszajcie, chłopcy, kto gdzie chce! Ale od przysięgi nie zwalniam was. A wy, hycle, wolni jesteście, — powiada do żołnierzy. — Odpocznijcie tu sobie trochę i idźcie, dokąd wola wasza. — I ruszył swoją drogą, a my też — w różne strony.

— O, do jasnej cholery! Że też mnie tam z wami nie było! No i karabinek zdobyłeś sobie, Marcinku. Fajny karabin! — cmokał z zachwytem dziad Tałasz, oglądając broń Marcina.

VIII

Nie wiedział wyrostek Panas, że jego osoba interesuje nie byle kogo, jeno samego wójta Busygę. Wójt powinien wiedzieć, co w trawie piszczy. Wójt musi wyśledzić, dokąd znikł dziad Tałasz i co ma na myśli. Wójt — to władza. A władza miewa takie myśli, że nie każdy podwładny może je znać, osobliwie zaś nie powinien o nich wiedzieć taki rozbestwiony człowiek, jak Tałasz. Dziad Tałasz niema na grosz szacunku dla panów i zwierzchności, na cudze mienie jest łasy. Wogóle dziad Tałasz jest wrogo usposobiony do takich gospodarzy, jak Wasyl Busyga, Konrad Birka i inne wielce szanowne osoby. To on właśnie trąbił wśród biedoty, że do bogaczy trzeba się wziąć ostro i podzielić ich pola. W chacie dziada Tałasza kwaterował bolszewicki dowódca. Wreszcie tenże dziad Tałasz rzucał się z siekierą na polskich żołnierzy. Krótko mówiąc, dziad Tałasz nietylko nawąchał się bolszewizmu, ale i przesiąkł bolszewickim duchem. Ot i teraz, napewno spiknął się z bolszewikami. Kto może ręczyć, że dziad nie naprowadzi tu czerwonych? Nie! Dopóki dziad Tałasz włóczy się niewiadomo gdzie, i niewiadomo co zamyśla, dopóty pan wójt Wasyl Busyga spokoju mieć nie będzie. Nie znaczy to wcale, żeby on, wójt, miał się obawiać Tałasza. Nie, — ale wójt jest władzą i stoi na straży prawa i porządku. Nie naprożno przecie ma rozkaz od pana komisarza powiatu, żeby śledził a notował sobie, kogo opętał duch nieposłuszeństwa i buntu. Co zaś do czerwonych — to Wasyl Busyga jest spokojny. Polak nie jest osamotniony. Za jego plecami Francja i Anglja stoją. Nie! Bolszewicy już sprawę przegrali! Ale kłopotów dużo mogą jeszcze sprawić, tem bardziej, że do uszu wójta dochodzą

wieści: po lasach ludzie nieznani wałęsają się, zmawiają się, do czegoś się przygotowują, ważą się na coś. Ostrożność tu nie zawadzi. I niema nic dziwnego, że zwierzchnia władza nie jest w tych warunkach zbyt łatwą rzeczą, jak to napewno ze strony się zdaje.

Przedewszystkiem do dziada Tałasza trzeba się zabrać.

To, że chata dziada Tałasza stoi na uboczu, ma swoją dobrą stronę: każdy kto idzie tamtędy lub stamtąd wychodzi, bardziej się w oczy rzuca. Ale jest tu i zła strona: jeśli zechcesz nieznacznie koło chaty się kręcić, to również każdemu w oczy się rzuci.

Śledząc chatę Tałasza i jej mieszkańców, pan wójt zauważył, że od czasu do czasu Panas dosyć długo nie bywa w domu. Ciekawe — dokądże to on chodzi? Domyśla się wójt, że Panas właśnie jest tym kluczem, którym można otworzyć ukryte miejsce przebywania Tałasza. Od Panasa też zacząć należy. Ale jak? Polecić chyba komukolwiek wyśledzić go, dać mu specjalnego opiekuna? Pomyślał Wasyl Busyga i uznał ten projekt za chybiony; wplątać tu kogoś trzeciego — to ryzyko. Ten trzeci może być świadkiem przeciwko samemu Busydze. Pozatem, skąd pewność, że się uda to wszystko utrzymać w sekrecie? Wasyl Busyga inny plan sobie ułożył. Doniesie, gdzie należy, wskaże jak i przez kogo można dostać języka o Tałaszu, a tam — niech sobie robią, co im się zamarzy. I wilk syty — i koza cała.

W przeddzień tego dnia, kiedy to Panas miał się spotkać z ojcem pod grubym dębem koło Suchego Pola, nagle w nocy rozległo się stukanie do drzwi Tałaszowej chaty.

Pierwsza obudziła się babka Nasta. Przerażona pod-

niosła głowę, przysłuchując się. Dobijanie się do drzwi powtórzyło się jeszcze gwałtowniej.

— Ojej! Któż to tam tak stuka?! — ozwała się Nasta wystraszonym głosem.

Maksym, narzuciwszy kożuch, boso wybiegł do sieni.

— Kto tam?

— Otwieraj! — rozkazująco i gniewnie wołał ktoś z podwórka.

— A kto tam? — dopytywał się Maksym.

— Otwórz, Maksymie. To panowie „władza polska".

Maksym po głosie poznał sąsiada Mikitę Cielecha i odsunął skobel.

Kilka par nóg zatupotało w sieni i przez otwarte drzwi wpadł do chaty cały snop jaskrawego światła. Opasły rudowąsy człowiek, ze zwierzęcym wyrazem na szerokiej twarzy, trzymał w ręku elektryczną latarkę, oświetlając chatę i jej ubogie sprzęty.

Maksym zapalił naftową lampkę. Czarne cienie zgęstniały jeszcze bardziej koło ścian i po kątach niziutkiej izdebki. Ośmielone nocną ciszą karaluchy tłumnie rzuciły się w stronę pieca, kryjąc się w szczelinach. Wypłoszył je ów straszny pan swą elektryczną latarką.

Nieproszonych gości było czterech: trzech polaków w wojskowym uniformie, a czwarty Mikita Cielech, wzięty na świadka.

Babka Nasta, trzęsąc się jak w febrze, narzuciła na siebie zgrzebną kieckę i wystraszonemi oczyma spoglądała ze zdumieniem na wojskowych. Panas leżał nieruchomo, ogarnięty nieokreślonem przeczuciem i strachem.

— Kto tu nocuje? — zapytał rudowąsy.

Pytanie było tak nieoczekiwane i niedorzeczne, że nikt nie umiał na nie odrazu odpowiedzieć.

— Kto tu nocuje? — domagał się odpowiedzi wąsal. Przestrach i popłoch obecnych zdawał się jeszcze bardziej dodawać mu swady.

— Wszyscy... swoi, — jąkając się ze strachu, odezwał się nareszcie Maksym.

Tymczasem drugi wojskowy, zwinny i ruchliwy, również zapalił latarkę elektryczną i oświetlał nią kąty, zaglądając pod piec, na zapiecek i pod tapczan. Trzeci w milczeniu słuchał i patrzył.

— Wszyscy nocują? — przepytał rudowąsy Maksyma. I nikt się w chacie nie odezwał.

Wtedy rudy wąsal zbliżył się do łóżka Panasa i trącił go pięścią w ramię.

— Hej, ty! Wstawaj! — rozkazał.

Panas posłusznie usiadł na pościeli.

— Chodziłeś do ojca na schadzkę?

Pytanie to, jak nożem, uderzyło Panasa. Przez głowę szybko-szybko zaczęły przelatywać myśli. Jeżeli rudy tak pyta, to znaczy wie, że on, Panas, chodził do ojca. Pierwszy atak strachu już minął.

— Chodziłem! — głośno, po krótkiem milczeniu, odpowiedział Panas.

Rudowąsy pochwalił go za prawdomówność i już łagodniej zapytał:

— A gdzie jest twój ojciec?

— Nie wiem.

Wąsal surowo spojrzał na Panasa i pokiwał głową.

— Jakże to nie wiesz? — A dzisiaj w dzień wybierałeś się iść do ojca?.. Co?

Co miał odpowiedzieć Panas? To prawda, miał dziś iść do ojca. Ale skąd on może o tem wiedzieć? Czy nie bierze go na kawał ten rudy djabeł? Teraz Panas skolei weźmie rudego na kawał.

— Ja w dzień do ojca nie chodzę.

— Łżesz! — krzyknął wąsal. — A dokądże to ty chodzisz w dzień?

Zdawało mu się, że przyłapał chłopa, ale Panas śmiało odpowiedział:

— Chodzę na bagnisko po gałązki i młode pędy. Gadzinę karmić trzeba. Siano odebrano nam.

Ta odpowiedź zmieszała rudego.

— A co ci ojciec mówił?

— Mówił, żebym do niego więcej nie przychodził.

— A gdzieś ty się z ojciem spotykał?

— W lesie.

— O czem żeście rozmawiali ze sobą?

— O wszystkiem: o bydlętach, o karmie...

— A co jeszcze mówił ojciec?

— Mówił, że do wiosny do domu nie wróci.

— Łżesz, łajdaku! — zagrzmiał rudy.

— Panoczku! — ozwał się Maksym, — ojciec nasz już jest stary, siedemdziesiąt lat ma. Pogorączkował się, sam strachu się najadł i do domu wrócić się boi.

— A, psiakrew! boi się! A czemu to u was bolszewik na kwaterze stał?

I, podnosząc głos jeszcze bardziej, rzucił w twarz Maksymowi:

— Gdzie jest ten stary pies?!

Babka Nasta jak kula stoczyła się z pieca i runęła do nóg rudemu panu.

— A panoczku! A mój złocieńki! A za cóż to na nas napaść taka? Ostatnie siano zabrali, gadzina z głodu mrze. Stary z chałupy uciekł. A przecież on nic nie winowaty. Jegoż to bili i turbowali... A za cóż wy nas tak dręczycie, panoczku!

Wąsal lekceważąco zwrócił zbójecki pysk w całej swej okazałości w stronę babki Nasty i na jego godnem obliczu odbiło się uczucie pogardy. Nie odpowiedział nic, jakby babka Nasta nie warta była tego, by z nią rozmawiać. A kiedy kobieta znowu go błagać poczęła, krzyknął krótko:

— Milczeć!

Potem spokojnie i szorstko zwrócił się do Panasa.

— No, chłopcze, zabieraj się z nami.

A gdy, uprowadzając Panasa, wychodzili z chałupy, powiedział twardo i dobitnie:

— Przyjdzie do nas ojciec, uwolnimy chłopaka.

IX

Dziad Tałasz i Marcin Ryl, opowiedziawszy sobie wzajemnie swe przygody, poczęli się naradzać, co robić dalej i dokąd iść. Dziada niepokoiła troska o dom, o Panasa. Pytanie, dlaczego syn nie przyszedł, nie wychodziło mu z głowy i wywoływało w nim tysiące przypuszczeń. Niepokój o syna jak ciężki kamień legł na jego serce i przytłoczył stare barki.

Marcin Ryl również myślał o swoim domu, o żonie, dzieciach i gospodarce. I jeden i drugi powinni byli na coś się ostatecznie zdecydować, coś przedsiębrać, skończyć odrazu z tą męczącą niepewnością.

Marcin Ryl spotykał różnych ludzi i wszyscy jak jeden

prawili o ucisku polskich wojaków, o ich surowem bezlitosnem postępowaniu. A ta surowość wywołuje ogólne oburzenie osobliwie tam, gdzie stosunek władz do biedoty i do osób, podejrzanych o udział w bolszewickiej rewolucji, jest jeszcze bardziej nieludzki.

To oburzenie na panów i wojsko znajduje czasem ujście w powstaniu zbrojnem, i polacy stosują wszelkie środki, żeby wykorzenić ducha buntu.

Wypadek z rozbrojeniem oddziału polskiej eskorty, w czem właśnie brał udział Marcin Ryl, jeszcze bardziej rozwściekli władze polskie i skieruje na drogę jeszcze większego ucisku i bezlitosnej zemsty na osobach, podejrzanych o sprzyjanie bolszewizmowi.

Dziad Tałasz słuchał i ogarniała go wściekłość na panów, na ich porządki, na wojsko polskie, na niesprawiedliwość, która się działa wszędzie. Ta nienawiść i wściekłość rozpalała mu krew w żyłach i wypełniała wszystkie zakątki Tałaszowej duszy. Słów mu brakowało, by wyrazić tę nawałnicę gniewu i oburzenia.

— Rznąłbym ich, strzelał, na wolnym ogniu przypiekał!

Ale stan rzeczy był taki, że trzeba było mieć się na baczności, a trzymać się ostro, żeby niebacznie w pańskie ręce nie wpaść.

Wiepry, gdzie mieszkał Marcin Ryl, były po drodze do wsi dziada. Do wsi zaś Tałaszowej było stąd kilometrów ze cztery. We dwuch poręczniej im było i raźniej, szczególniej, jeśli wziąć pod uwagę Marcinowy karabin. To też obaj zgodzili się na taki plan: wstąpią do Tałasza, dowiedzą się co słychać, odpoczną tam i przenocują, jeśli się da. A tam już lepiej obmyślą, co robić dalej.

Przez ciemność nocy i mrok lasu, głuchemi ścieżynami i ukrytemi drogami skierowali się dwaj wygnańcy ku swoim wsiom.

O półtora kilometra od wsi, obeszli bagienko, co pod samą wieś dochodziło, znacznie nałożyli drogi i zwolna skierowali się ku Tałaszowej chacie, przystając a nasłuchując po drodze.

Była już noc głęboka, pogrążona w głębokiem milczeniu. Tu i owdzie po chatach pobłyskiwał mdły płomyk lampki, niepewny i chwiejny. Na przeciwległym końcu wsi donośnie rozlegało się ujadanie psa w mroku pustych opłotków. Ta pustka i zaklęta cisza zimowej nocy nadawały jakiś rozpaczliwy odcień bezustannemu szczekaniu rozdrażnionego psa. Po chwili przyłączyły się do niego głosy innych psów, wysokie i przeraźliwe, grube i ochrypłe. Doszedłszy do połowy wsi, gdzie był okrągły plac, psi harmider zaczął zacichać i nareszcie złowroga i przyczajona cisza znowu ogarnęła wieś.

Tałasz i jego towarzysz zatrzymali się w milczeniu dopóki nie ucichł psi koncert. Stali w haszczach, wśród których rysowały się niewyraźnie budynki Tałaszowego obejścia.

— Postójże, gołębiu mój, tutaj, a ja pójdę przepytać, jak tam i co i dam ci znać.

Marcin pozostał w krzakach, a stary zniknął mu z oczu, jakby się rozpłynął w ciemności. Ostrożnie zbliżył się do niziutkiego okienka swej chaty, posłuchał i cichuteńko zastukał w zamarzniętą szybę.

Babka Nasta nie spała, martwiąc się o Panasa i Tałasza. To delikatne pukanie przeraziło babkę Nastę i wywołało szybkie bicie serca. Takie pukanie słyszała nieraz w

ciągu długiego swego pożycia z Tałaszem i znała je doskonale. Z szybkością, na jaką pozwalała jej starość, podbiegła do okna i również zapukała trzy razy. Trzykrotne ciche pukanie rozległo się w odpowiedzi z podwórka.

Babka Nasta nie wahała się dłużej. Narzuciła kożuszek na ramiona, wsunęła bose nogi w chodaki i po drodze szturchnęła Maksyma.

— Ojciec przyszedł! — i rzuciła się otwierać drzwi, starając się nie robić hałasu.

Przestąpiwszy próg swej chaty, stary zatrzymał się.

— Co słychać? — zwrócił się do Nasty.

Babka chwilę milczała.

— Panasa polacy zabrali, — głucho odpowiedziała wreszcie.

Ostry ból ścisnął serce Tałasza, nogi i ręce starego zatrzęsły się.

— Kiedy? — rzucił krótko.

— Wczoraj w nocy. Wdarli się do chaty, trzęśli, przewracali wszystko. Dopytywali się—gdzie ty.

— A czemuż to jego zabrali?

— Doniósł ktoś, że do ciebie do lasu chodził,—odpowiedział Maksym, przyodziawszy się naprędce.

— Ciebie szukali, o ciebie dopytywali się ciągle,—tłumaczyła babka Nasta.

Nie odważyła się powiedzieć straszną prawdę, że Panasa wtedy wypuszczą, gdy przyjdzie do nich ojciec.

Pustkę odczuł w swem sercu Tałasz. Milczenie, ciemność i smutek napełniały chatę.

Babka Nasta zaczęła grzebać się na przypiecku, żeby zapalić lampę.

— Pozawieszaj wpierw okna,—zwrócił uwagę Tałasz.

Wałęsanie się i ukrywanie po lasach zrobiły go ostrożnym.

— Ze mną jest Marcin Ryl. W krzakach został. Tula się, jak i ja. Pójdę, zawołam go. A ty, Maksymie, idź, pilnuj na dworze.

W chacie została tylko babka Nasta. Szczelnie pozawieszała okna, rozniecila ogień na przypiecku, by wieczerzę ugotować niespodzianym gościom. Ogarniał ją strach: a nuż przyjdą polacy? Strach ten nie opuszczał jej cały czas, dopóki stary i Marcin Ryl byli w chacie.

A ci dwaj siedzieli przy stole i jedli.

Wiadomość o aresztowaniu Panasa głęboko wzruszyła dziada Tałasza. Siedział ponury, ściągnąwszy brwi na zmarszczonem czole i myślał.

— Jedyny sposób uratować Panasa, to samemu oddać się w ich ręce,—rzekł wreszcie.—Dlatego oni właśnie tak z nim postąpili.

Babka Nasta ciężko westchnęła, potwierdzając tę gorzką prawdę.

Ponure milczenie zapanowało w chacie.

— Jest też inny sposób uwolnić chłopca,—przerwał ciszę Marcin Ryl, — i o tym sposobie należy pomyśleć.

Stary ożywił się nagle.

— Masz rację, Marcinie! — i dziad Tałasz porywczo potrząsnął Marcina za ramiona, — ale powiedz, jakże to zrobić?

— Trzeba pomyśleć, — uchylił się Marcin od bezpośredniej odpowiedzi, ale, widocznie, miał jakiś plan w głowie.

— Wiecie co, ojcze Grzegorzu, — mówił, patrząc w oczy Tałaszowi, — iść do nich nie trzeba. Do kogoż to

pójdziesz? Do tych łajdaków? Wsadzą ciebie napewno, a chłopca wypuszczą, czy nie wypuszczą, kto to wie? Nie można tym draniom wierzyć. Pójść, to znaczy ukorzyć się przed nimi. A bodaj ich cholera!

— Otóż i ja tak miarkuję, gołębiu mój. Czy tak, czy owak, a żyć nam spokojnie nie dadzą... Ani ty, ani ja pozostać w domu nie możemy.

Zniżywszy głos do szeptu stary mówił ze wzruszeniem:

— Do lasu trzeba się przenieść, ale nie poto, żeby tam siedzieć bezczynnie ręce złożywszy i przyglądać się spokojnie ze strony, jak oni tu gospodarzą, a rozporządzają się nami.

Ani Tałasz, ani Marcin nie dopowiedzieli swej myśli do końca, ale zrozumieli się doskonale.

— Nic innego nam nie pozostaje, ojcze Grzegorzu.

— Eh, strzelby dobrej nie mam!—z żalem westchnął stary.

Ryl zbył skargę starego milczeniem. Niezręcznie mu było, czuł się jakby winien wobec Tałasza, że ma taki chwacki karabin, z którego można wypalić siedem razy raz po raz.

— Ale ja sobie zdobędę dobrą strzelbę, prawdziwą!— stary huknął pięścią w stół.

Po chwili przemówił, jakby swym myślom odpowiadając:

— Ale jednej fuzji mało jeszcze... Mało, bracie, jednej nawet bardzo dobrej fuzji!

— Masz rację, ojcze Grzegorzu!—potakiwał głową Marcin Ryl.

Do izby wszedł Maksym.

— Cisza i spokój wszędzie,—zameldował.

Mężczyźni naradzali się.

Znużenie skłaniało ich do zanocowania w chacie z tem, żeby jutro przed świtem powędrować gdzieś dalej. Tak też zrobili.

Maksym znów stanął na warcie, a Tałasz i Ryl pokładli się, nie rozbierając się.

Chociaż mocno znużony, nie odrazu jednak zasnął stary. Pogawędził trochę z babką Nastą, potem samotnie rozmyślał o Panasie, o wyzwoleniu go z pańskiej niewoli i jeszcze o tem, jakby tu zdobyć porządny karabin. Rozigrała się fantazja starego i swawolnie przekraczała granice realnych możliwości. Wreszcie zasnął snem mocnym.

Szarzało, gdy opuścili chatę i poszli w gęstwinę leśną. Wnętrza lasów poleskich i bagien będą teraz ich schronieniem i domem.

X

Nieruchomo stał gęsty zmartwiały las. Olbrzymie korony drzew szczelnie przylgnęły do siebie. Przeplotły się potężne konary. Posplatały się giętkie gałęzie, pokryte białą szatą kruchego, łamliwego szronu. Nic nie zakłócało spokoju zimowego poranku — ni zwierz, ni ptak, ni człowiek. Mróz tylko sucho strzelał w gęstwinie, przeskakując z drzewa na drzewo.

Zaczynało świtać. Wyłaniały się z mrozu śmigłe osiny, potężne świerki, przysadziste krzepkie dęby, kudłate pokrzywione brzozy, a między niemi, jak poczwarne ludzkie postacie, pnie zwalone, lub rozszczepione piorunem, albo zgoła spiłowane ręką człowieka. Tu i owdzie widniały zgrabne, stożkowate lub zaokrąglone śnieżne kurhany.

Przemarznięty śnieg ostro skrzypiał pod nogami Tała-

sza i barczystego Marcina. Szli nie śpiesząc się. Wybierali najgłuchsze zakątki i ścieżyny, omijali niebezpieczne miejsca. Szli w milczeniu, pogrążeni w swe samotne myśli.

Stary Tałasz — to człek w sobie zamknięty. Nie będzie się byle z kim dzielił swemi myślami. Rozważa je samotnie, gruntownie, szczególnie, jeśli sprawa jest wielkiej wagi. Z planem swoim dziad nosi się długo. Lecz jeśli się już na coś zdecyduje, coś już obmyśli, nie ustąpi, nim swego nie dopnie. Tak jest i teraz. Wypiastował niespokojną swą dumkę, jak matka dziecinę. Spocżątku świtała mu ona nieśmiało i niewyraźnie, potem przybierała kształty coraz bardziej określone i coraz częściej zakłócała spokój starego, coraz natarczywiej domagała się wcielenia w życie. Wypadek z Panasem wymagał przyśpieszenia sprawy. Dojrzała potrzeba pomówienia o wszystkiem z żywym człowiekiem, z takim, któryby go zrozumiał i przyszedł z pomocą. Bo plany dziada Tałasza były tego rodzaju, że wymagały pomocy odważnych ludzi.

— Jak myślisz, Marcinie, — przerwał milczenie stary, zaczynając zdaleka, — czy można dobrać porządnych chłopców... no, coś w rodzaju małego oddziałku wojska?

Marcin spojrzał na Tałasza. Domyśla się, do czego stary zmierza. Zaciekawia go jednak, jak sobie stary Tałasz tę sprawę ułożył.

— Poszukać, to ludzie się znajdą, — twierdząco huczy jego bas. — No, choćby ty i ja — ot, dwuch już mamy.

— Aha! — odpowiada stary i oczy jego patrzą gdzieś daleko przed siebie.

— Ludzie, ojcze Grzegorzu, są. Trzeba ich tylko pozbierać, na dobrą drogę skierować i dobrego przywódcę im dać.

— Otóż to, gołębiu mój, i ja o tem samem myślę.

Umilkli obaj i myślą. Marcin czeka, żeby stary wypowiedział swoje myśli do końca.

— Kiedy będą ludzie, to człek, co nimi dowodzić potrafiłby, znajdzie się.

— Czasem jeden człowiek więcej jest wart, niż dziesięciu.

— Tak, to tak! Ale jeden człek bez gromady — to mała siła, mała...

Znowu umilkli na krótką chwilę.

— A słyszałeśże ty, że po lasach dużo broni jest, jeszcze z czasów wojny niemieckiej, kiedy to żołnierze front porzucili?

— Chodzą takie wieści... Pewno, że jest broń. Powiadają, że kulomioty też są schowane. Dużo tej broni porozciągali, po zagrodach chowają.

— Żeby ludzi zebrać do kupy, to i bróń znalazłaby się, — kończy dziad Tałasz swą myśl. Zniżając głos i zmieniając ton, przystępuje Tałasz do najważniejszego momentu swej przemowy.

— Słyszysz, gołębiu mój! Tułamy się my, jak wyklęci, jak karaluchy w szczelinach się kryjemy, do własnej chałupy, jak złodzieje się zakradamy. A cośmy złego zrobili? W czem nasza wina? Za cóż będą nas turbować i prześladować? Za co? Hę?

— Poczekajcie, ojcze Grzegorzu, przyjdzie wiosna. Ożyją, zakołyszą się trzęsawiska na bagnach, zaszumi las, i tak zaszumi, jak jeszcze nigdy nie szumiał!

— Ale samo przez się nie dokona się to, Marcinie!

I, zniżając głos do szeptu, dziad Tałasz krzykiem gtę-

bokim, co gdzieś z głębi zbolałego serca mu się wydarł, mówił dalej.

— Do roboty zabierzmy się, Marcinie!

— Brać, to się brać! Jam temu nie krzyw... Tylko nie wiem, coście wy, ojcze, umyślili?

— Naród zbierać, podburzać go na wielkie powstanie przeciwko tym katom, ciemiężcom! Czego my się teraz spodziewać możemy, czego oczekiwać? Czekać, aż nas po jednemu wyłapią? Bo co my znaczymy każdy zosobna, co? Tyle, co ten liść uschły, albo kurz, co go wiatr po polu przegania. A pierwsza sprawa, którą chcę załatwić i o pomoc cię proszę — to mój Panas. Toć to dzieciuch jeszcze, — głos starego załamał się. — Za cóż on cierpi? Spokoju nie zaznam, nie odstąpię, choćbym głową nałożyć miał, póki jego z ich podłych rąk nie wydrę. A jak go wyzwolić? Siłą! Ludzie, ludzie potrzebni tu! Choćby z dziesiątek odważnych uzbrojonych ludzi. Ja pójdę dziś szukać tych ludzi, ale szukaj i ty. I niech cię bóg broni wroga o tem powiadomić! Przeklnę cię ojcowskiem przekleńciem i zginiesz.

Marcin spojrzał na starego i uczuł mimowolną trwogę. Dziad Tałasz nie mówił na wiatr. Oczy płonęły mu ogniem złowieszczym i brały Marcina w swą władzę, paraliżowały jego wolę.

— Ojcze Grzegorzu! Za pięciu ludzi ręczę, znajdę ich. Powiedzcie tylko, gdzie mam was znaleźć i kiedy?

Tałasz zsunął czapkę z czoła, jakby mu ona myśleć przeszkadzała, brwi ściągnął, wzrok utkwił gdzieś daleko, jakby chciał przewidzieć bieg wypadków najbliższych dni i po krótkim namyśle rzekł:

— Odlicz od dzisiejszego ranka trzy dni. Na trzeci

dzień, gdy dobrze się ściemni, bądź przy Długim Brodzie i czekaj, aż wilk zawyje: to ja będę wył. (Stary doskonale udawał wycie wilka). Zawyję trzy razy, z przerwami. Oto jak mnie znajdziesz. Zakarbujże to sobie, jak należy.

— Od dzisiejszego ranka odliczę trzy dni. Na trzeci dzień, kiedy dobrze się ściemni, mam być przy Długim Brodzie, czekać, aż wilk zawyje. Wilk będzie wył trzy razy, z przerwami. Wtedy pójdę do was, ojcze Grzegorzu.

— Aha, tak! — i spojrzał przeciągłym badawczym wzrokiem w oczy Marcina. Marcin również odpowiedział mu przejmującem wejrzeniem, lecz odczuł nad sobą władzę ciemnych oczu starego i spuścił swoje.

— Czemu to, ojcze, tak patrzycie na mnie?

— Chcę się co do ciebie upewnić i oczy twoje mi mówią, że nie łżesz.

Marcin w milczeniu skinął głową.

— A jeśli nie usłyszę wycia wilka koło Długiego Brodu? — spytał.

— Wtedy czekaj na mnie gdzie chcesz. Sam ciebie znajdę, jeżeli nie zdążę załatwić wszystkiego do tego czasu.

— Dobrze.

— No, gołębiu mój, ostań zdrów i niech ci się poszczęści. Bądź ostrożny, bo cię już pewno szukają. Polegam na tobie. Idź-że, dowiedz się, co u ciebie w domu słychać i pamiętaj, o czem mówiliśmy. A więc, na trzeci dzień o zmierzchu... Długi Bród. Wilk zawyje.

Marcinowi zaczynało robić się nieswojo, gdy słuchał tych słów starego, wypowiedzianych stanowczym głosem. Dziad, mocno jak kleszczami, ścisnął potężną dłoń swego współtowarzysza i spiskowca. Dawał mu do zrozumienia,

jaką siłę zachowała jeszcze twarda i szorstka jego stara ręka.

Dopiero gdy przysadzista postać dziada Tałasza znikła wśród szorstkich pni, Marcin pomyślał:

— „Dokądże to on poszedł? I czemu nie spytałem go o to?“

XI

Dziad Tałasz znowu wędruje sam. Idzie wnętrzem lasów, przez ciemne puszcze, idzie w określonym celu. Stary chce tu znaleźć oddział czerwonych wojsk, których dowódca kwaterował w jego chałupie.

Plan jego prosty: wyjść na linję Armji Czerwonej. Tam przepyta, gdzie jest dowódca bataljonu, który był na postoju w ich wsi. Wymieni wówczas nazwę wsi. Na szczęście pamięta również nazwisko dowódcy — Szałochin. Opowie mu o swej biedzie, o swej ojcowskiej niedoli. Opowie również o wojsku białopolskiem. Wie o niem cośniecoś stary Tałasz. Zna niektóre miejsca postoju, dużo wie o zachowaniu się polskich legjonistów i ich oficerów. Przecież takie wiadomości zainteresują dowódcę oddziału? I więcej jeszcze zrobi Tałasz: zaproponuje swe usługi, jako wywiadowca, będzie dostarczał wiadomości o rozlokowaniu legjonistów. Kto lepiej od niego wskaże drogę wśród lasów i błot? A najważniejsze, co ma do powiedzenia Tałasz, że ma zamiar, i już poczynił kroki w tym kierunku, zorganizować powstanie przeciwko zaklętym wrogom wśród szerokich warstw chłopskich mas pracujących. O cóż będzie prosił za to dla siebie? Poprosi dowódcę, by pozwolił pójść z nim na ochotnika dziesięciu dzielnym czerwonoarmistom dla dokona-

nia napadu na pana komisarza powiatu, na więzienie, w którem siedzi Panas. I jeszcze, dla siebie, poprosi Tałasz o dobry, prawdziwy karabin żołnierski. Jeżeli mu się uda zdobyć strzelbę na polakach, to ten pożyczony karabin dziad zwróci. Wyłoży swój plan napadu, śmiały i prosty— strat w ludziach nie będzie... Czyż nie skłoni dowódcy na swoją stronę?

Oto z jakiemi dumkami kroczy dziad Tałasz niedostępnemi ostępami puszczy.

Przeszedł już większą część drogi. Miał jeszcze ze sześć kilometrów, by wyjść na Hųdarowy łęg. Za tym łęgiem stoi wojsko czerwone we wsi Wysoka Rudnia. Do tej wioski właśnie idzie dziad Tałasz.

Długa i uciążliwa wędrówka przez leśne bezdroża zmęczyła starego. Zatrzymał się pod grubem drzewem, zmiótł rękawicą śnieg z gładkiego pnia i przysiadł odpocząć i posilić się nieco, bo głód mu zaczął dokuczać. Zdjął z ramienia strzelbę i torbę myśliwską, do której babka Nasta troskliwą ręką wsunęła półbochenek chleba i kawał słoniny. Wziął fuzję między kolana, oderżnął kawał chleba i słoniny i posila się pomaleńku. Skończył śniadanie i wydobył przybory do palenia: po jedzeniu smakuje fajeczka.

Głuchy szmer w lesie zmusił starego nastawić uszu i rozejrzeć się bacznie. I widzi Tałasz — olbrzymi dzik powoli wychodzi z gęstwiny leśnej i brnie po brzuch w śniegu, nie zwracając na dziada uwagi. Zbliża się dzik do zgrabnego, jakby wytoczonego ręką zdolnego majstra, stożkowatego mrowiska, gładko przysypanego śniegiem, i dalejże je burzyć swym ryjem, uzbrojonym w ostre kły. Każdy ruch potężnego ryja wysoko wyrzuca wgórę kawały śniegu wraz ze śmieciem, zgromadzonem przez

mrówki w ciągu długich lat uporczywej pracy. Dwie czarne bróździy szybko zarysowują się na nieskalanej bieli śniegu. Dzik ryje powoli i systematycznie, coraz bardziej zagłębiając ryj w ziemię. Tałasz bez ruchu wpatruje się w dzika. Dzik jest o jakie pięćdziesiąt kroków od niego, ale pochłonięty robotą, nie zwraca na starego najmniejszej uwagi, nie widzi nic i nie słyszy.

Nie słyszy również i stary Tałasz, że z takiegoż gąszczu skrada się wilk i również śledzi dzika. Dopiero, gdy wilk podpełzł do dzika o jakie piętnaście kroków, Tałasz zauważył rozbójnika leśnego. Dzik zarył się tak, że ledwo grzbiet jego widać nad ziemią.

— Omamienie, czy co, — myśli Tałasz. I z jeszcze większą ciekawością czeka, co z tego będzie.

W miarę jak dzik się zagłębiał, wilk pełzał coraz bliżej ku niemu. Aż w pewnej chwili, gdy był zupełnie blisko, rzucił się błyskawicznie i wraził ostre zęby w brzuch dzika. Sam zaś równie szybko uskoczył wbok. Dzik ryknął przeraźliwie, wyskoczył z jamy i runął na śnieg z rozprutym brzuchem, z którego wypadły krwawe jelita. Cielsko drga w przedśmiertnej agonji. A wilk opodal spogląda pożądliwie na swą obfitą zdobycz.

Takiego rozwiązania nie oczekiwał Tałasz. Złożył się szybko i donośne echo wystrzału przerwało ciszę leśną. Triumfujący wilk podskoczył dogóry, opadł, jak worek, i utknął nosem w skrwawiony śnieg.

Głębokie zadowolenie moralne wywołał w Tałaszu ten udatny wystrzał. I pierwszą myślą, co mu przemknęła przez głowę, była myśl o sprawiedliwej zapłacie.

Nagle dziad sam obejrzał się dokoła, jakby go coś tknęło: to powikłanie wydarzeń leśnego dramatu, w któ-

rym on sam brał udział, jak karząca ręka sprawiedliwości, wywołało w nim myśl, czy i jego również nie śledzą jakie złe oczy.

Ale cisza i spokój panowały w lesie. Dziad Tałasz nabił strzelbę, wsypał szczodrze porcję prochu, i na ten raz założył do lufy ołowianą kulę. Dopiero wtedy zbliżył się do zrujnowanego mrowiska, gdzie leżał wypatroszony przez wilka olbrzymi dzik ze straszliwemi trójgraniastemi kłami oraz, zabity przez dziada, duży chuderlawy wilk.

Całe to zdarzenie nabierało w oczach starego znaczenia jakiegoś symbolu i dopiero teraz przypomniał sobie setki tysięcy maleńkich mrówek, na które nie zwrócił był pierwiej uwagi. Nie widać ich tutaj. Głęboko zapełzły gdzieś w swe podziemne nory. Może nie słyszały nawet, co się stało z ich domem. I tylko na wiosnę, kiedy śnieg stopnieje, a z wilka i dzika pozostaną tylko nagie kości, rozejrzą się mrówki i spostrzegą barbarzyńskie zniszczenie swego gniazda. Zgodną gromadą, nie martwiąc się długo, zabiorą się do odbudowania zniszczonej siedziby, nad którą uporczywie pracowały przez cały szereg ciepłych miesięcy.

Zadumał się stary, głową pokiwał i szepnął:

— A ciekaweż to bywają na świecie zdarzenia.

Wreszcie filozoficzny nastrój dziada ustąpił praktycznym rozważaniom. I dzik, i wilk — zdobycz cenna. Z wilka można skórę zdjąć, a dzika poćwiartować i do chaty dostarczyć. Ileżby to strawy z tego było! Dziad się zamyślił... Eh, niema czasu tym się zajmować. Nagle inna myśl strzeliła mu do głowy. Z wilka, póki nie zastygł, skórę zdejmie: będzie to jego trofeum myśliwskie, a dzika ofiaruje czerwonym żołnierzom. To niezła myśl!

I zabrał się stary do pracy. Skórę z wilka zdjął, ręce śniegiem wymył i połą kożuszka je wytarł, skórę złożył i przez ramię przerzucił. Poczem dumnie, jak szczęśliwy myśliwiec, skierował się ku Wysokiej Rudni.

Nareszcie las się skończył. Dziad wyszedł z lasu, zatrzymał się, by się rozejrzeć. Przed nim leżało zaokrąglone pole, otoczone ścianą gęstego lasu, a pośrodku widać było białe strzechy chat, smukłe sylwetki klonów i wiązów z budynkami gospodarskiemi od strony wygonu i sylwetkami wiatraków po wzgórkach. Wzdłuż wysokiej czarnej ściany lasu ciągnęły się młode zarośla, sosnowy zagajnik. Tam to właśnie mignęła i skryła się postać ludzka. Bystre oczy starego poznały w niej wojskowego, tylko nie wiedział Tałasz, swój to, czy obcy. Na wszelki wypadek cofnął się nieco bliżej ku lasowi. Nagle posłyszał groźny okrzyk:

— Stój! Kto idzie?!

Dziad stanął. Głos i słowa uspokoiły go. Zadowolony był nawet ze spotkania z czerwonoarmistą, bo mu to ułatwiało jego zadanie.

— Swój! — ozwał się natychmiast.

Z sośniaku wyłonił się młody czerwonoarmista z karabinem, z ładownicą przy jednym i kilku granatami przy drugim boku. Wyglądał dosyć groźnie, co niezupełnie pasowało do jego łagodnych szarych oczu, któremi od stóp do głowy zmierzył Tałasza i dziwaczne trofeum, zwisające mu z ramion omal że nie do pięt. Wyglądał stary jakby jakiś człowiek pierwotny.

— Dokument! — rzucił czerwonoarmista.

— A jakiż, gołębiu mój, może być dokument u ta-

kiego włóczęgi, jak ja? Nie tutejszy jestem: od polaków się ukrywam. Któż mi może dokument dać?

— A dokąd idziesz? — wciąż jeszcze oficjalnym tonem pyta czerwonoarmista.

— Do was, towarzyszu, idę, do czerwonych. Specjalnie do was.

Dziad Tałasz sam czuł, że mówi dobrze, szczególnie to „specjalnie" udało mu się.

Widzi czerwonoarmista — człek ciekawy, od którego cośniecoś dowiedzieć się można. Ale służbowego tonu nie zmienia, chociaż mówi nieco łagodniej.

— Zaraz zawołam naczelnika placówki. U nas taki porządek.

Przeraźliwe gwizdnięcie ostremi tonami rozpływa się po chojaku i milknie. Czas jakiś milczą, nasłuchują, czekają. A kiedy w sośniaku zarysowała się postać dowódcy, czerwonoarmista zapytał, wskazując oczami skórę wilka:

— Wilkaście upolowali?

Stary wie, że historję tej skóry będzie musiał dokładnie opowiedzieć, ale wobec tego, że audytorjum tymczasem składa się z jednego słuchacza i że się zbliża dowódca placówki, — ogranicza się krótką odpowiedzią:

— Aha!

Dowódca placówki, człek zahartowany w bojach i już nie pierwszej młodości, z twarzą spaloną od wiatru, jednym rzutem oka ogarnął Tałasza i wzrok dłużej na wilczurze zatrzymał.

Czerwonoarmista meldował:

— Dokumentów nie ma. Twierdzi, że idzie z polskiej strony specjalnie do czerwonych... Do sztabu pułku trzeba go zaprowadzić, towarzyszu dowódco!

Dowódca spojrzał badawczo na Tałasza.

— Co zmusiło was, ojcze, iść do nas?

— Nie mogłem już żyć w domu, towarzyszu naczelniku, po lasach się tułam: polacy mnie ścigają

— Za co?

— A tak, towarzyszu naczelniku. Przyjechali ostatnie moje siano zabierać. Prosiłem, błagałem — na nic. Jeszcze potrącać mię, a naigrawać się zaczęli. Tom się wściekł i rzuciłem się na nich z siekierą. Żeby nie syn, uśmierciłbym któregokolwiek gada napewno. Oni napadli na mnie. Związać chcieli. A było ich trzech, uzbrojonych żołnierzy. Tom się otrząsnął, wyrwałem się im z rąk i do lasu. Nawet z rewolweru strzelali do mnie. Ot i zaczęli się mścić. W dodatku czepiali się, że to u mnie bolszewik kwaterował, dowódca bataljonu. Syna mego, wyrostka nieletniego, zabrali jako zakładnika. Powiadają, żebym sam do nich przyszedł. Ja, towarzysze, do was z biedą i nieszczęściem mojem przyszedłem... Myślę znaleźć dowódcę, tego co u mnie na kwaterze był... On mnie zna...

— A z jakiej wsi jesteś?

Stary wymienił swą wieś.

— A jakiż to dowódca był u was?

— Wedle rozkazu, dowódca towarzysz Szałochin, — trochę na stary żołnierski sposób odpowiedział Tałasz.

Czerwonoarmista i dowódca placówki spojrzeli jeden na drugiego. Odpowiedź starego usunęła podejrzenia co do jego osoby.

— A skądże ta wilczura? — zainteresował się dowódca.

Dziad opowiedział historję z dzikiem i wilkiem i zakończył ją temi słowy:

— Ja, towarzysze, postanowiłem podarować tego dzi-

ka wam, czerwonym bojownikom. Wieprzak ładny, pudów osiemnaście zaważy. Dostańcie furmankę, pojadę z wami, pokażę. Toć to nawet niedaleko stąd.

To opowiadanie ostatecznie rozwiało resztki niepewności i na starego poczęto patrzeć, jak na swego człowieka, zachwycając się jego dzielnością.

Poszli do placówki. Dowódca wysłał dwuch ludzi na wieś po furmankę.

Nad wieczorem wjeżdżał dziad Tałasz z czerwonoarmistami do Wysokiej Rudni i z wielkim triumfem wiózł na saniach olbrzymią tuszę dzika. Wsławił się stary w całej Wysokiej Rudni, a dla nadania jeszcze większej wagi swej osobie, dźwigał wilczurę, zarzuconą na barki.

Gdy go spytano, poco to robi, odpowiedział dwuznacznie.

— Ho-ho! Jeszcze nawet zawyję, jak wilk. — Ludzie się śmieli, a stary myślał swoje.

XII

W sztabie polskiej dywizji, schylony nad wojskową mapą poleskiego rejonu, siedział podstarzały, opasły, siwowąsy pułkownik.

Pułkownik przygotowywał dla dywizji bojowe zadanie i rozkaz wznowienia zaczepnych działań operacyjnych przeciwko Armji Czerwonej po zimowej przerwie.

Pan pułkownik Dembicki puścił wodze swej strategicznej twórczości, starannie wyznaczając na mapie punkty najważniejszych odcinków głównego uderzenia, które, wedle jego obliczeń, zdruzgocze opór Armji Czerwonej. Wielki strateg zapomniał, że podczas walki sytuacja się zmienia, i że ostateczny wynik tej walki zależy od tysiąca

drobiazgów, których żaden sztab nie może przewidzieć. Pan pułkownik Dembicki nie liczył się wcale z tą okolicznością, że w sztabie jego przeciwnika nie zawsze kierowali działaniami operacyjnemi zawodowi gensztabiści starej szkoły wojskowej, lecz brali w swe ręce inicjatywę uzdolnieni robotnicy, ludzie, których bezpośrednio wysunęła rewolucja i czasy wojenne. Tem niemniej pan Dembicki starannie umieszczał na obranych odcinkach rozmaite oddziały i rodzaje broni, wyznaczając im określone role.

Nie mógł jednak pan pułkownik całkowitej uwagi poświęcić swym strategicznym praktykom i sprawdzić prawidłowość swego planu choćby tylko na mapie wojskowej. Co chwila uwagę jego odrywał telefon. Z różnych miejsc postoju dywizji meldowano mu o wrogim ruchu miejscowej ludności, skierowanym przeciwko wojsku polskiemu, niosącemu do głuchych zakątków Polesia „europejską kulturę".

Pan pułkownik wściekał się, że go odrywają od ważnej roboty, rozkazywał zwracać się do żandarmerji i policji, prosząc, by nie zaprzątano mu głowy takiemi drobnostkami. Jednak, gdy mu zameldowano o rozbrojeniu wojskowej eskorty przez bezbronnych jeńców-poleszków, pan pułkownik podskoczył na krześle, jakby mu kto szydło wraził zdołu.

— Co, co, co? — zawołał, czerwieniejąc i trzęsąc się z gniewu.

Oburzenie jego nie miało granic.

— Taka zniewaga dla polskiego wojska!

Pan pułkownik wydał surowy rozkaz przedsiębrać stanowcze kroki, wręcz do rozstrzału i konfiskaty mienia

uczestników wszelkich „bandyckich" wystąpień, skierowanych przeciwko dzielnemu wojsku polskiemu. Eskortujących zaś żołnierzy, którzy pozwolili siebie rozbroić, oddał pod sąd polowy.

Rozkaz ten był mocno nie na rękę Marcinowi, który właśnie zbliżał się do wsi, oraz jego towarzyszom pod rozkazami bywałego żołnierza Bałuka spod Cierniszcz. Już przed wieczorem, w ten dzień, gdy Tałasz nieoczekiwanie zetknął się pod grubym dębem z Marcinem Rylem, ludzie ze wsi Wiepry zauważyli oznaki czegoś niedobrego. Czasy wojenne, pełne niebezpieczeństw i niespodzianek, zmuszały ich mieć się na baczności.

Przed wieczorem rozniosła się wieść, że w okolicach wsi ukazali się konni polscy legjoniści. Był to zapewne ich wywiad, sądząc z tego, jak się starali, by ich nie zauważono. Mieszkańcy Wieprów mieli już sposobność oglądać na ulicach wsi i w swych chatach wojsko polskie. Ale wówczas polacy przenocowali tylko, a nazajutrz, zabrawszy co w rękę wpadło, żywność dla siebie i dla koni, ruszyli gdzieś w inne miejsce. Jakoś po trzech dniach przyjechali żandarmi i zabrali Marcina Ryla. Trzej gospodarze: Mikita Samek, Kuźma Łodyga i Konrad Bus, sprzyjający bolszewikom i agitujący za władzę radziecką, uciekli ze swych chat i przychodzili do domu na krótko, ryzykując wpaść w łapy polskiej policji lub kontrwywiadu.

To też, gdy przyszła wieść o ukazaniu się legjonistów, popłoch zapanował we wsi i ludzie czekali znowu jakiegoś licha. Ale noc przeszła spokojnie, a poranek przyniósł lepszy nastrój i niemal pewność, że nic strasznego się nie stanie. Ludzie czuli się raźniej i śmielej, jak zwy-

kle we dnie. I właśnie rankiem nieznacznie podkradli się legjoniści, otoczyli wieś, zajęli wszystkie drogi i wyjścia.

Mieszkańcy wsi zauważyli ich dopiero wtedy, gdy cały oddział jazdy galopem pomknął przez wieś. Spocżątku ludzie nie wiedzieli, poco przyjechali polacy. Przerażenie ogarnęło wieś dopiero wtedy, gdy legjoniści, podzieleni na kilka oddziałków, wdarli się na podwórka koło chat.

Obejście Marcina zajęte było najpierwiej. Dwaj legjoniści, zeskoczywszy z koni, rzucili się do chaty Marcina. Kilku ludzi skoczyło ku stodole.

— Gdzie jest aresztowany, — zagrzmiał legjonista, przestępując próg chaty. Zmartwiała ze strachu żona Marcina szeroko otwartemi oczami patrzała na legjonistę.

Nie otrzymując odpowiedzi, legjoniści zaczęli wszystko przewracać, pruć bagnetami poduszki i pościel. Zrobili prawdziwy pogrom, ciskali wszystko na ziemię, tłukli kolbami garnki i miski.

Troje małych dzieci, śmiertelnie wystraszonych, z krzykiem uczepiło się matki, drżąc jak w febrze. Zgrzybiały dziaduś Mikołaj, ojciec Marcina, nic nie rozumiejąc, przerażony tulił się do ściany i patrzył na dziki gwałt rozbestwionych żołdaków.

— Gdzie jest aresztowany?! — huknął na starca legjonista. Wtedy dziad Mikołaj odparł.

— Samiście go zabrali, bodaj was kolki sparły!

— Śmierdziuchu stary! — wrzasnął legjonista i zdzielił dziadka pięścią w twarz. Stary uderzył się głową o ścianę, a z ust i z nosa chlusnęła krew. Oniemiał stary, stoi ogłuszony i milcząc wierzchem dłoni ociera krew z ust, rozmazując ją po twarzy i rzadkiej siwej brodzie, co jak mech drzewny zwisa mu na nagą, rozchełstaną pierś.

— O, psiakrew! — klnie legjonista. — Pokażemy wam, co to jest porządek i poszanowanie dla polskiego żołnierza.

Uczyniwszy pogrom, powybijali okna w chacie i wyszli na podwórko.

To samo działo się po innych chatach chłopów, którzy popadli w niełaskę i wydali się podejrzani policji i wojsku.

Konrad Bus, usłyszawszy tętent jazdy polskiej, złapał kożuch i czapkę i rzucił się w stronę opłotków, by stamtąd umknąć do lasu. Nogi ma lekkie, lat ze trzydzieści — nic dla niego nie znaczy przebiec wiorstę do lasu. Żołnierze wjeżdżali już w jego podwórko w chwili, gdy wybiegał z opłotków w otwarte pole. Wybierając wgłębienia, kryjąc się koło krzaków, Konrad zgiął się i biegł co tchu w piersiach. Zapadał w głęboki śnieg, nogi mu grzęzły, śnieg przeszkadzał szybkiemu posuwaniu się naprzód.

Konny polski legjonista zauważył z podwórka, że do lasu ucieka człowiek. Żołnierz był doskonałym jeźdźcem, koń jego był lekki i bystry. Myśliwski duch oraz instynkt psa gończego zbudziły się w jeźdźcu. Przesadził niski płot i przez otwarte wrota obejścia pomknął wślad za Konradem.

Od strony lasu przeciął zbiegowi drogę polski żołnierz. Spostrzegłszy jeźdźca, żołnierz zatrzymał się: jeździec dał mu znak szablą, żeby się nie ruszał.

Obejrzał się Konrad i zadrżał w strachu śmiertelnym. Błyskawicą przeleciała mu myśl przez głowę: „Zginąłem". Z pośpiechu, nie myśląc, biegł prosto. Las był już niedaleko. A las — toć jego ratunek. Ale przestrzeń między nim a jeźdźcem zmniejszała się gwałtownie. Konrada

opuszczały już siły. Był cały zziajany od szybkiego biegu. Serce biło silnie, jakby miało pęknąć. Nogi i ręce mu drżały, a gardło ściskał suchy spazm. Jeździec dopędzał Konrada i już trzymał w pogotowiu szablę. Chciało mu się poprostu wypróbować swą zręczność i siłę ramienia. Ale w decydującej chwili przednie nogi konia trafiły na dół, zasypany śniegiem, i rumak runął, przyciskając prawe kolano jeźdźca. Ręka z wzniesioną szablą ugrzęzła w śniegu. Ani koń, ani jeździec bez pomocy nie mogli się wydostać z tej pułapki.

Konrad był o kilkanaście sążni od lasu. Grupa polskich żołnierzy wybiegła z lasu i przyglądała się pogoni. I, kiedy jeździec upadł, a człowiek gotów był umknąć do lasu, żołnierze rzucili się z pomocą jeźdźcowi. Po drodze zatrzymali się i podnieśli broń. Huknęły wystrzały i Konrad Bus runął na śnieg. Pozostał tam gdzie padł, jak zagnane i trafione zwierzę. Poczem żołnierze rzucili się na ratunek jeźdźca.

Ale tu zaszła nieoczekiwana przeszkoda: z lasu również huknął wystrzał i jeden z polskich żołnierzy wypuścił z ręki karabin, przysiadł i złapał się obu rękami za nogę. Czterej pozostali zatrzymali się w niepewności. Rozległ się drugi wystrzał i kula gwizdnęła nad głową jednego z żołnierzy. Ci padli na śnieg i zaczęli ostrzeliwać niewidocznego przeciwnika, cofając się przytem, i szukając osłony.

Strzelanina i wypadek z jeźdźcem zaniepokoiły polaków we wsi. Wysłano stamtąd patrol konny celem oskrzydlenia nieznanego wroga. A wróg ten posłał jeszcze dwie kule i jedna z nich przebiła na wylot czaszkę leżącego na śniegu żołnierza. Więcej wystrzałów z lasu nie dano.

Przybyli ze wsi wyciągnęli konia z dołu. Jeździec zwichnął nogę i odmroził rękę. Zabrano zabitego i rannego w nogę żołnierza.

A Konrad Bus leżał samotnie na śniegu. Teraz wszystko mu było obojętne. Nawet, gdy we wsi Wiepry zapłonęło kilka chałup, a w ich liczbie zagroda Busa, Konrad leżał nieruchomo z zastygłą, spokojną twarzą.

W taki to sposób wskrzeszali polscy wojacy honor i sławę polskiego oręża.

XIII

W izbie pełno było dymu. Dym papierosów i tytuniu rozmaitych gatunków, wił się, snuł i jak gęsty obłok wisiał pod niskim pułapem chłopskiej chaty. Gdy otwierano drzwi, powłoka sinawego dymu kołysała się, jak fale jeziora, poruszone napływem wiatru, wyrywając się przez otwarte drzwi na świeże powietrze.

Ludzie, siedzący przy stole i na ławach, byli to przeważnie dowódcy, zaczynając od plutonowego, a kończąc na dowódcy bataljonu towarzyszu Szalochinie. Żadnych odznak nie mieli ani na ramionach, ani na kołnierzach. Siedzieli jak się dało: i w czapkach i bez czapek, w pomiętych starych szynelach, które dużo widziały i przeszły. I wcale nie widać było, że są tu szeregowcy i dowódcy rozmaitych stopni. Siedzieli i rozmawiali wesoło, nie wyciągali się jak struna jeden przed drugim, ćmili swobodnie papierosy.

Dowódca bataljonu siedział pośrodku przy stole. Obok plutonowy Bukrej — niezgrabny i szeroki, jak szafa. Dwaj dowódcy kompanji stanowili resztę gromadki, gawędzą-

cej przy stole. Na niezasłanym stole leżały kromki chleba, a pośrodku stała wyrudziała donica z miodem. Dowódca bataljonu, jako gospodarz, zapraszał każdego kto przyszedł na chleb z miodem. Dla wygody miód rozgrzano w piecu i ludzie jedli go razem z woskiem i pszczołami, wychodząc z założenia, że żołądek żołnierski strawi mutrę, śrubę i smar karabinowy. Gwarno było i ludno. Zapominano o wojnie, gawędzono na różne tematy, odbiegając od niej daleko. Bataljon był na postoju, więc mógł sobie nieco odpocząć.

Drzwi się otwierały i zamykały. Chłodne powietrze wpadało do izby. Kołysały się pod pułapem szare kłęby dymu.

Drzwi się otworzyły szerzej niż zwykle i na progu ukazała się oryginalna postać cywila z fuzją myśliwską przez ramię, nawpół pokryta wilczurą, przerzuconą przez plecy. Za tym człowiekiem wszedł czerwonoarmista.

Gdyby to był nie Tałasz, lub nawet Tałasz, lecz bez wilczej skóry, niktby na niego nie zwrócił uwagi. Ale wilcza skóra sama przez się rzucała się w oczy i wyróżniała oryginalną postać dziada. Tałasz ubrany był w krótki kożuszek, w spodnie sukienne ze skórzanem podszyciem, na nogach miał skórzane chodaki.

I jak tu można było nie zwrócić uwagi na tego poleskiego insurgenta?

Dziad Tałasz głośno powiedział „dzieńdobry" i bystrem ostrem spojrzeniem przebiegł po twarzach zgromadzonych wojskowych. Gdy spostrzegł przy stole Szalochina, ruszył żywo ku niemu, i przyjazny uśmiech rozchylił mu usta. Równie przyjazny uśmiech rozjaśnił twarz dowódcy.

— A, stary przyjacielu! Jakaż burza zagnała was tutaj?

Potrząsnął mocno rękę starego i usadowił go obok siebie przy stole.

— To mój stary druh, dziad Tałasz, u którego kwaterowałem kiedyś,—odezwał się do wojskowych.

— Cóż u was nowego? — zwrócił się do Tałasza.

— Oh, towarzyszu dowódco, — westchnął Tałasz, — nowego dużo, ale nic dobrego niema!

— Cóż to — z polakami do ładu nie doszliście?

— Grabieżcy, gwałciciele, bodaj ich bagno pochłonęło! — i stary beznadziejnie machnął ręką.

Tu dziad Tałasz zaczął opowiadać swe przygody. Mówił o stożku siana, o swem uniżeniu się wobec polskich żołnierzy, o ich kpinach i znęcaniu się, o wściekłości, co w nim nagle wybuchła do tego stopnia, że stała się przyczyną starcia.

Zależnie od charakteru zdarzeń zmieniał się i ton opowiadania. Gdy stary mówił, jak to on błagał polaków, by nie zabierali ostatniego siana — cała jego postać wyrażała pokorę i uniżoność. Lecz gdy doszedł do starcia z żołnierzami, oczy mu błysnęły złowrogim ogniem, zebrał się w sobie, zacisnął pięści, jak młodzieniaszek zerwał się z ławy i, dobitnie gestykulując, pokazywał, jak to on cisnął polaków, jak się ci rozlecieli na strony, a on się im wyrwał i pognał do lasu.

— Brawo, ojcze! — pochwalili go słuchacze.

— Czyżeś to naprawdę taki krzepki? — z odcieniem niedowierzania spytał barczysty Bukrej.

Stary zatrzymał na nim swe ostre spojrzenie i przez chwilę wpatrywał się w niego.

— A no, dawaj, spróbujmy się! — rzekł powoli i twardo, z widoczną gotowością zmierzenia się siłą z Bukrejem.

Wojskowi zgodnie i wesoło klasnęli w dłonie.

— Zuch stary! A to ci dziad dopiero!

Barczysty Bukrej zmuszony był stuszować się przed nim przy akompanjamencie hałaśliwej wesołości wojaków.

Stary zaś, z jeszcze większym zapałem opowiadał dalej o wypadkach ostatnich dni, o swem tułaniu się po lasach i cudzych kątach, o spotkaniu z pokrzywdzonymi ludźmi, o różnych epizodach z ich życia.

Wreszcie zatrzymał się — i to było kulminacyjnym punktem opowieści — na znęcaniu się polskich okupantów nad ludźmi, sympatyzującymi z władzą radziecką, na aresztowaniu swego Panasa. Gdy mówił o synu, o jego więzieniu i męce młodzieniaszka, głos starego drżał, czuć w nim było głęboki ból ojcowski. Wreszcie zakończył swą opowieść temi słowy:

— Gdzież mam szukać sprawiedliwości? Do kogoż się udam, jeśli nie do was, towarzysze czerwoni wojacy? Oto przyszedłem prosić o radę i pomoc.

Jakiś młodzieniec, ubrany nawpół po wojskowemu, napoły jak cywil, w milczeniu i uważnie słuchał opowiadania dziada, ale żaden nerw nie drgnął na jego, jak z kamienia wykutej, twarzy. Teraz zbliżył się do Tałasza.

— Bardzom rad, żem was poznał. Dzielny z was człowiek, ojcze! — i mocno uścisnął dłoń dziada. Potem zwrócił się do wojskowych:

— Towarzysze! Trzeba dopomóc staremu. Trzeba uwolnić jego syna. Trzeba! — podkreślił ostatnie słowo.

Twarz dziada rozjaśniła nadzieja. Z głęboką wdzięcz-

nością spojrzał na nieznajomego młodzieńca. — Kimże on jest tutaj?

— Ja, towarzysze, zostanę tu z wami, i będę wam pomagał, bo tam niema teraz miejsca dla mnie,—gorąco przemówił Tałasz. — Ja znam las i bagna, rzeczki i jeziora. Przejdę z wami tak, że żaden pański djabeł się nie dowie. I jeszcze o jedno was proszę, dajcie mi prawdziwą strzelbę wojskową. Choćby pożyczcie, jeśli dać nie możecie. Zdobędę na polakach, zwrócę wam, towarzysze.

Ta bezpośredniość, naiwność i chęć posiadania wojskowego karabina rozweseliły czerwonoarmistów i jeszcze większą sympatję wzbudziły w nich do dziada.

— Trzeba dziada zaliczyć do szeregów Armji Czerwonej i wydać mu karabin, jako czerwonoarmiście, — półserjo, półżartem zauważył jeden z dowódców.

— Karabin staremu damy, — powiedział dowódca bataljonu, — ale niechże pierwiej naszego miodu spróbuje. No, raczcie się, ojcze! — zwrócił się do dziada Tałasza.

Narazie dziad Tałasz trochę się ociągał, ale wojacy zaczęli go kupą zapraszać. Bukrej podał mu kawał chleba

— Jedz, ojcze, razem wojować będziemy!

Dopiero wtedy dziad zrobił kilkakroć wycieczkę do miski z miodem.

— No, towarzysze, trzeba pomyśleć, jak dopomóc staremu, — odezwał się znowu dowódca bataljonu. — Podług mnie, nie zawadzi przy sposobności za jednym zamachem nieco głębiej polskie pozycje zlustrować... Cóż wy na to, towarzysze?

— Sprawa słuszna!

— To jest myśl!

Zgodnie podtrzymano projekt dowódcy.

— Proszę o głos, towarzyszu dowódco!

— Mów, Bukreju!

— Dziś wieczorem zluzujemy trzeci bataljon. Dziś również należy wysłać patrol wywiadowczy i to głębiej. Dobrać ze trzydziestu — na ochotnika... Jeśli mnie powierzycie tę sprawę, omówimy ją z dziadem, a ja sam idę na ochotnika.

Bukrej znany był w bataljonie z odwagi i dzielności, chętnie więc powierzono mu organizację i wywiad na tyłach polskich wojsk. Tałaszowi postanowiono wydać karabin i rozkazano być przewodnikiem wyprawy.

— Powojujemy, ojcze, co? — zwrócił się do starego Bukrej i położył mu dłoń na ramieniu.

Uradowany i wzruszony dziad Tałasz, oburącz potrząsnął rękę Bukreja.

Gdy dziad wyszedł z chaty, nieznajomy młodzieniaszek wysunął się za nim.

— Chciałbym z wami pogawędzić trochę, — powiedział, — wy dokąd?

— A tutaj... do jednego znajomego.

— Chciałbym wiedzieć, czy gdyby was osobiście polacy nie pokrzywdzili, powstalibyście przeciwko nim?

— Nie ruszyliby oni mnie, i jabym ich nie ruszał.

Po chwili dodał z namysłem:

— Zresztą, nie wiem, jakby tam było.

Nieznajomy milczał.

— No, a czy wiecie, co niesie z sobą polska wojna? I kto z nami wojuje?

— Widać, miarkują, chcą oni swoją Polskę odbudować.

— No, a gdyby tak Polskę zbudowali, to wam, biedocie chłopskiej, i nam, robotnikom, co oni dadzą?

Dziad Tałasz spojrzał w oczy nieznajomemu.

— A powiedzcie, któż to wy jesteście?

Surową twarz nieznajomego rozjaśnił miły uśmiech.

— Jestem robotnikiem z Homla. Mam nazwisko, jak każdy człowiek, ale ono jest mi tu zbyteczne. A jeśli chcecie mnie zawołać, to mi mówcie Niewidny.

Zdziwił się dziad Tałasz.

— A jabym raczej nazwał was — Dziwny.

„Niewidny" uśmiechnął się.

— Nie, nic tu dziwnego niema, — powiedział. — Chodzi o to, że ja tu prowadzę tajemną, albo jak się to mówi, nielegalną robotę z ramienia naszej partji bolszewików. I jeżeliście słyszeli, że to tu, to owdzie wybucha powstanie, to jest w tem także trochę mojej roboty.

Wtedy dziad Tałasz wyznał przyciszonym głosem:

— Otóż to! I ja również taką robotę zacząłem.

— Ja odgadłem odrazu, że z was człek potrzebny i cenny, ale musicie na świat spojrzeć trochę inaczej i trochę szerzej.

Ciekawe rzeczy opowiadał Niewidny Tałaszowi, i nie mógł się stary nie zgodzić z prawdą, co była w jego słowach.

XIV

Dziad Tałasz jest nietylko przewodnikiem wywiadu Bukreja. Sam on jest prawdziwym wojakiem: posiada prawdziwy karabin wojskowy i 45 naboi, oraz ma pod swemi rozkazami ośmiu ludzi—chłopów ze wsi Wysoka Rudnia. A naród to zręczny i odważny. Zebrać taki od-

dział niełatwo było. Ale stary nie żałował barw ni słów, żeby rozgrzać krew w żyłach swych wojaków i pchnąć ich do walki przeciwko zaklętym wrogom — okupantom.

— Czyż doprawdy będziecie, towarzysze, wylegać się na zapiecku a czekać, aż do was dobierze się polak i zdzieli was pałką przez łeb? Nie ulitują się panowie nad wami. Wypomną każdy dębczak, w lesie wycięty, każdy rogal wydłubany z ziemi na sochę. I pole pan wam odbierze, parobków swoich z was zrobi, obedrze was do ostatniej nitki. Powinniśmy pomóc Armji Czerwonej, żeby nie panowie gospodarzami tu byli, lecz my sami, biedota chłopska i robociarze do spółki z towarzyszami bolszewikami. Żebyśmy po swojemu życie tu sobie budowali.

Nie pośledną rolę grało tu również opowiadanie dziada o rozbrojeniu polaków, eskortujących chłopów, a osobliwe wrażenie wywierał karabin Marcina Ryla, zdobyty przez niego w czasie walki. Marcina znało tu wielu. Poprostu, chciało się ludziom zobaczyć ten karabin. Najskuteczniejszą pomoc okazał Tałaszowi Niewidny, gdyż był on specjalistą w tych sprawach.

O zmierzchu wyruszyły dwie grupy: trzydziestu czerwonoarmistów z Bukrejem na czele i ośmiu włościan pod wodzą Tałasza. A był to drugi dzień z owych trzech, po których upływie dziad Tałasz i Marcin Ryl mieli się spotkać przy Długim Brodzie. Stary dobrze o tem pomiętał. Mieli przed sobą długą zimową noc i krótki dzień — dosyć więc czasu, by stawić się wporę na umówione miejsce.

Pogoda się zmieniła. Jeszcze z wieczora na południu pokryły niebo drobne obłoczki, a nad odległemi lasami

zawisła lekka błękitna smuga, zwiastun odwilży. Jaskrawe kolory nieba bladły i na ziemię szybko spływała noc.

Kierunek wyprawy zawczasu przewidziany był przez Bukreja i Talasza przy żywym udziale powstańców-partyzantów, stanowiących oddział starego. Oni również uzbrojeni byli w karabiny żołnierskie. Pierwszy postój wyznaczony był w folwarku Wirkucie.

Bukrej—to człowiek z bogatą praktyką wojenną. Nie raz odbywał takie wywiadowcze marsze, nie raz brał udział w bitwach w wojnie domowej oraz na froncie wojny imperjalistycznej. Był na Uralu, i pod Astrachaniem, i w szerokich stepach Ukrainy. Czerwonoarmiści lubili go i ufali mu. Obecnie wydał dryżunowym rozkaz ubezpieczenia kolumny podczas marszu. Zostały wysłane szpice i straż boczna, nawiązano łączność między żołnierzami pełniącymi służbę ubezpieczenia i maszerującym oddziałem.

Dziad Tałasz przyglądał się Bukrejowi, studjował jego rozkazy i wszystko to sobie notował dobrze w pamięci. Jako przewodnik, na którym spoczywała odpowiedzialność uchowania wojska przed rozmaitemi niespodziankami podczas marszu, okazywał troskliwość i staranność, dbając, by wszystko poszło jak z płatka. Stary to pozostawał w pewnej odległości za oddziałem, to wysuwał się naprzód, lub zbaczał, żeby nie słyszeć tupotania nóg. Wówczas zatrzymywał się i czujnie łowił najlżejsze szmery leśne i odgłosy nocy zimowej.

Przyjemnie mu było, że mu do ramienia przylgnął zgrabny karabin żołnierski z dobrym bagnetem, z którym nie strasznie sam na sam nawet z niedźwiedziem się zmierzyć. Wszystko co widział i przeżył w Wysokiej Rudni odeszło gdzieś na dalszy plan, a powstawały

przed nim obrazy przyszłości — spotkanie z Rylem, plan wyzwolenia Panasa i wszystko co wywoływała wyobraźnia, którą mu trudno było podporządkować swej woli. Stary czuł teraz w sobie siłę i pewność. W znacznej mierze dodawał mu tej pewności karabin. Gdy był sam na uboczu, „składał się" z nowej broni, próbował stanąć w pozycji „na bagnety" tak, jak go pouczał Bukrej: brał karabin prawą ręką poniżej zamka, lewą podtrzymywał go zdołu na odległości łokcia, sam zaś przysiadał, przyklękał, wysuwając nieco naprzód lewą nogę. Wyraz twarzy miał wtedy groźny, jak człowiek, co gotów jest zadać cios śmiertelny swemu wrogowi. Ale to wszystko nie przeszkadzało mu w pełnieniu swych obowiązków, by szczęśliwie doprowadzić kolumnę do celu.

Do folwarku Wirkucie było jeszcze koło trzech wiorst. Stary zcicha przywołał do siebie dwuch ludzi ze swego oddziału—Kupryjańczyka i Nupreja i kazał im pójść przodem do folwarku, dowiedzieć się, czy niema tam polaków. Kupryjańczyk i Nuprej oddzielili się nieznacznie i rozpłynęli się w mroku leśnej głuszy, a kolumna bez hałasu w porządku maszerowała dalej. Marsz cały czas odbywał się lasem, drogą, lub bezdrożem naprzełaj. Wkrótce las się kończył i kolumna miała wejść na szerokie pole wśród lasów, gdzie był właśnie folwark Wirkucie.

Tałasz podszedł do Bukreja.

— Zbliżamy się do folwarku,—szeptem powiadomił stary,—trzeba się zatrzymać.

Bukrej wydał odpowiedni rozkaz i kolumna stanęła.

— Na wszelki wypadek trzeba wysłać ludzi na zwiady,—przemówił Bukrej.

— A jużem posłał swoich,—zameldował stary.

— Słusznieście, ojcze, zrobili!—pochwalił go Bukrej.— Podczas marszu wywiad i łączność mają olbrzymie znaczenie,—pouczał dziada.

Po chwili wyłoniły się z mroku trzy postacie. Byli to Kupryjańczyk, Nuprej, a z nimi ktoś trzeci.

Wywiadowcy starego zameldowali:

— W folwarku polacy! Spytajcie się tego oto, on wie o nich więcej,—wskazali na przyprowadzonego człowieka.

Bukrej począł go badać.

— Kim jesteś?

— Jestem Zerwideska.

— Zerwideska czy Urwideska—mniejsza o to,—zauważył Bukrej.—Coś ty za człowiek? czem się zajmujesz?

— Człowiek sobie jestem...—i Zerwideska beznadziejnie machnął ręką,—a zajmuję się całkiem nie tem, co należy.

— Gdzieście go wzięli?—zwrócił się dziad Tałasz do swych wywiadowców.

— Toć to parobek z Wirkucia... Podpił sobie trochę.

— Aha, parobek,—zgodził się dziwaczny Zerwideska,— i wypiłem... otóż to... podpiłem sobie!...

— A z kim piłeś?—dopytywał się Bukrej.

— Żołnierz mi ofiarował buteleczkę. Polak... Tam, bracie, polacy zjechali się... Panowie, panienki, oficerowie... Piją i zabawiają się! Ho, ho!.. A do mnie żołnierz, co go na warcie postawili, powiada: „Przyprowadź-no mi, kochanku, dziewuchę“. Jak boga kocham, tak powiedział!

Parobek zaczynał mówić ciekawe rzeczy.

— A dużo tam oficerów?—pytał Bukrej.

— Trzech... no tak... trzech.

— A żołnierze są?

— Są i żołnierze, pewno że są.

— A ilu ich?

— Ze sześciu będzie... No tak, sześciu!

Przebiegły i sprytny Bukrej natychmiast ułożył sobie plan działania. Punktem wyjścia była dziewucha.

— Ot co, bracie Zerwideska, słuchaj i dobrze to sobie zakarbuj: przyprowadzisz wartownikowi dziewczynę.

Zerwideska wpadł w rozpacz.

— A skądże ja mu wezmę tę dziewczynę? No, skąd?

— Słuchajże mnie: tą dziewczyną będę ja.

— Ha-ha-ha!—zaniósł się ze śmiechu parobek:—taka dziewucha tak ci go kopnie, że to ha!

Otoczyli ich czerwonoarmiści i partyzanci. Pomysł Bukreja wywołał wesołość.

— Przyjdziemy tam,—rozwijał swój plan Bukrej,—ja poczekam gdziekolwiek na podwórku, a ty pójdziesz i powiesz: „przyprowadziłem dziewuchę". Recht?

— Recht! Ha-ha-ha!

Bukrej odwołał na stronę drużynowych i Tałasza i wydał rozkaz kto, gdzie i co ma robić.

Po obu stronach drogi, niemal od samego lasu ciągnęła się stara aleja lipowa. Kolumna podzieliła się na dwie połowy i ruszyła ku folwarkowi, kryjąc się za grubemi pniami stuletnich lip. Bukrej i parobek szli na czele. Za nimi dziad Tałasz i dwaj jego wywiadowcy. Nie dochodząc do dworu—kolumna zatrzymała się. Bukrej zdjął szynel, oddał go Tałaszowi, sam zaś przywdział jego kożuszek. Któryś z partyzantów dał chustkę, co mu jako szalik służyła. Zamiast sukni dziad Tałasz owinął Bukreja

wilczurą. W ciemności podobny był Bukrej do poczwarnej baby, wywołującej śmiech, bez względu na powagę chwili.

Bukrej i Zerwideska oddzielili się od kolumny. Za nimi, w pewnej odległości, szedł dziad Tałasz i dwaj partyzanci. Bukrej wybrał miejsce w głuchym zakątku podwórka, koło jakiegoś budynku i przygotował na wszelki wypadek nagan.

Żerwideska poszedł ku stajniom z raportem do wartownika. Tu go nie było. Szyldwach poszedł bliżej ku domowi, gdzie jasność biła z okien, zasłoniętych przejrzystemi firankami. Przez szybę widział szyldwach młodego oficera, przystojnego bruneta, który siedział przy fortepianie i przebierał palcami klawisze. Dźwięki fortepianu ledwo dolatywały do uszu żołnierza. Koło fortepianu stała młoda wysmukła blondynka i jak zaczarowana słuchała muzyki, nie odrywając oczu od grającego. Co czuła ta powabna dziewczyna? Chwila ta napewno wrazi się w jej serce i panienka długo będzie wspominać ten pamiętny wieczór, tę melodję i tego przystojnego bruneta-oficera, z utajonym smutkiem w roziskrzonych czarnych oczach.

Żołnierz ze swej strony nie odrywał oczu od blondynki i wzdychał od czasu do czasu. Spragniony był towarzystwa i kobiet. Właśnie zbliżył się Zerwideska i musiał trącić żołnierza, żeby go przywołać do rzeczywistości z krainy marzeń.

— Dziewuchę przyprowadziłem,—tajemniczo szepnął Zerwideska.

— Gdzież ona?—zapytał poruszony żołnierz.

— Koło stodoły czeka, wstydzi się sama tu iść.

— Młoda?

— Aha, jak dębczak. No, pewnie. Ogień, nie dziewczyna.

Żołnierz, przejęty, podkręcił wąsa i szybko pomaszerował za Zerwideską, podśpiewując sobie dla otuchy z mazurska.

Umarł Maciek, umarł,
Juz lezy na desce!
Zeby mu zagrano,
Podskocyłby jesce!

„Zobaczymy, jak ty podskoczysz!", myślał sobie parobek, prowadząc kawalera.

„Dziewucha" jeszcze mocniej przylgnęła do ściany i cofnęła się zawstydzona. Parobek zwolnił kroku i zatrzymał się, a żołnierz chwacko ruszył ku dziewczynie.

— Nie lękaj się, moja duszko!

Postawiwszy karabin pod ścianą, żołnierz otworzył ramiona i przygarnął „dziewczynę" do siebie. W mgnieniu oka „dziewczyna" ścisnęła go ramionami, jak w żelazne obręcze i powaliła na śnieg.

— Ani słowa, gadzino, bo zginiesz!—basem zasyczała domniemana dziewucha. Cały romantyczny nastrój żołnierza znikł, jakby go krowa językiem zliznęła. Zdołał tylko wyszeptać:

— Pan bóg i duch święty z nami!

— Nie pan bóg i nie duch święty, ale plutonowy Bukrej.

Żołnierza odprowadzono pod lipy. Czerwonoarmiści i partyzanci ruszyli ku domowi. Otoczono ze wszystkich stron i salonik i pokój, w którym, zostawiwszy karabiny w kącie przy wejściu, zabawiali się legjoniści.

Jednocześnie do obu izb wpadli czerwonoarmiści i partyzanci.

— Ani kroku!—huknął Bukrej w salonie.

— Ręce dogóry! — krzyknął dziad Tałasz w drugiej izbie, wpadając na czele swego oddziałku i kierując bagnety w pierś żołnierzy. Ci posłusznie podnieśli ręce.

A w saloniku wysmukła blondynka zemdlała. Zamarły dźwięki fortepianu. Grający oficer zastygł w pozycji, w jakiej siedział. Brzękły, rozbijając się na podłodze, talerze i kieliszki, zrzucone w popłochu przez gości. A oczy z przerażeniem spoglądały na najeżoną szczecinę bagnetów i na czarne lufy strasznych naganów.

— Zginęliśmy! — wyszeptał zbladłemi usty przystojny oficer.

XV

Tejże nocy jeńców, żołnierzy i oficerów, w ilości dziewięciu osób, usadowiono w eleganckie sanie, na których szlachta przybyła na uroczysty bankiet spowodu odbudowania państwa polskiego oraz na cześć armji polskiej i, pod strażą konnych czerwonoarmistów, którzy dosiedli koni, zdobytych na polakach, wyprawiono do Wysokiej Rudni.

Zerwideska i jeden z partyzantów byli stangretami. Zerwidesce wypadło kierować tą właśnie furmanką, na której się znalazł ów żołnierz, co tak nieszczęśliwie spotkał się z „dziewczyną“. Żołnierz milczał, i tylko rzucał pełne nienawiści spojrzenia na swego zdradliwego „swata“, a „swat“ jeno ukradkiem się uśmiechał i zawzięcie poganiał konie.

Trunki i przekąska, na które nie poskąpiła się szlachta dla takiej uroczystości, choć już nieco napoczęte, trafiły do żołądków czerwonoarmistów i partyzantów. Zakoń-

czywszy bankiet i zabrawszy zapas na drogę, oddział wojska pod dowództwem Bukreja ruszył do lasu. Zostać tu na postoju Bukrej uważał za niebezpieczne. W folwarku zostawiono wartę, która otrzymała rozkaz czas jakiś nikogo z folwarku nie wypuszczać. Goście siedzieli, jak myszy pod miotłą, wysmukła zaś blondynka, wtulona w kącik, z serdecznym smutkiem rozmyślała o tem, jak krótkie i niepewne jest szczęście na świecie. Przystojny młodzieniec, muzyk-oficer, stał jej jak żywy w oczach.

Dziad Tałasz znał miejsce w gąszczu lasów mozyrskich, gdzie stały zręcznie sklecone szałasy, w których latem mieszkali smolarze.

Tutaj poprowadził stary czerwonoarmistów i partyzantów.

Tutaj powinien był również przyjść Kupryjańczyk z częścią czerwonoarmistów, pozostawionych na warcie. Kupryjańczyka stary zostawił jako przewodnika, by wskazać warcie drogę do szałasów smolarzy.

Szałasów było trzy. Stały wśród wysmukłych pni głuchej i dzikiej puszczy, dokąd rzadko zaglądało ludzkie oko. Szałasy miały kształt zwyczajnej strzechy, postawionej wprost na ziemi. Dokoła nieprzebytym gąszczem rosły pogmatwane świerczki. Cztery duże słupy po kątach, cztery grube żerdzie umocowane do słupów, i cała sieć cieńszych gałęzi, przybitych do żerdzi drewnianemi ćwiekami i szczelnie przeplecionych gałązkami świerku, — takie oto były owe szałasy smolarzy. Stały tu już oddawna. Igliwie wyschło i osypało się, ścieląc dno szałasów grubym miękkim kobiercem.

Partyzanci odmietli śnieg, przygotowali miejsce na ognisko. Czerwonoarmiści szybko naznosili drew i roz-

palili ogień. Wesoło zatrzeszczał płomień i złoty blask rozlał się po grubych szorstkich pniach, po zielonych rozczochranych świerczkach, po szynelach i po twarzach czerwonoarmistów i partyzantów. Przybycie ludzi, którzy znaleźli tu sobie schronisko na nocny wypoczynek, zakłóciło zaklęty spokój zmartwiałej w zimowym śnie puszczy.

Ludzie krzątali się jak mrówki. Jeden nosił drwa i rzucał je na ognisko; drugi stanął przy ogniu w pozie człowieka, który osiągnął szczyt marzeń, i grzał się, obracając do ognia to plecy, to jeden, to drugi bok; inny lustrował szałas, wybierając zaciszny kącik na spoczynek dla znużonego ciała; inni klecili z przyniesionych belek i pni coś nakształt ław czy nar, by urządzić wygodniejszy nocleg przy ognisku. Zająwszy miejsca przy ogniu, gdzie i jak kto mógł, mrużąc oczy od dymu i wycierając łzy zgrubiałemi rękami, czerwonoarmiści i partyzanci przypominali sobie wypadki ubiegłej nocy. Gawędka i żarty skupiały się przeważnie na osobie Bukreja w roli „dziewuchy". Bukrej, uśmiechnięty, słuchał w milczeniu, zwracając swą szeroką twarz o szorstkich kłujących wąsach, ku temu lub innemu, zależnie od stopnia trafności ich dowcipów i śmiał się dobrodusznie, rzucając od czasu do czasu trafną uwagę, wywołującą ogólną wesołość. Tej nocy plutonowy Bukrej zyskał rozgłos jako „czerwonoarmistowska dziewucha".

— Tylko wy, sobacze chrześniaki, nie paplajcie o tem w pułku, bo zostanę z tem przezwiskiem „dziewuchy"!

Zgodny wybuch śmiechu był odpowiedzią na to zastrzeżenie. I trudno było się nie śmiać, patrząc na wspaniałą postać Bukreja. Siedział na belkach przy ognisku, narzuciwszy na szynel żołnierski, nieco za szerokie nawet na

niego, futro szlacheckie z olbrzymim kołnierzem. W futrze tem Bukrej ze swemi szorstkiemi wąsami wyglądał jak wspaniały magnat polski.

Futro to było powodem przemówienia Bukreja do żołnierzy. Bukrej kategorycznie zawsze i wszędzie potępiał grabież, osobliwie zaś — na wojnie. Ale zabrać wrogowi to, co ci jest w życiu bojowem potrzebne — można.

Ciekawy i malowniczy obrazek tworzył ten nocleg czerwonoarmistów i partyzantów w dzikiej puszczy poleskiej. Ponuro i groźnie otwierały swe mroczne wejścia szałasy smolarzy, jakby paszcze bajecznych potworów. Bojownicy leżeli w najdziwaczniejszych pozach przy ognisku, lub wewnątrz szałasów. Doświadczeni w marszach we wszelkich warunkach latem i zimą, zrobili sobie jakitaki zapas odzieży w folwarku Wirkucie, by łatwiej spędzić noc na mrozie w lesie. Były tu i kilimki i wiązki słomy i różne rupiecie, mogące się przydać w tej niepowszedniej sytuacji noclegu zimą w lesie.

Dziad Tałasz trzymał się na uboczu od tej gwarnej wesołej gromadki, co znalazła schronisko w pustych leśnych szałasach. Przez głowę przelatywały mu myśli o jutrzejszym wieczorze, o spotkaniu z Marcinem Rylem i o tem wszystkiem, co się łączyło z tą wyprawą. Ośrodkiem jego rozmyślań był Panas. Dopóki chłopak jest w niewoli, dziad Tałasz nie zazna spokoju. Stary siedział na kupie chróstu, przykrytej gałązkami świerku. Tu też położył się, by spocząć nieco, a przedewszystkiem, by nie okazać swej troski, swych smutnych myśli i nie rzucać się w oczy beztroskim ludziom. Ogień przygrzewał zboku, zgóry grzała wilczura, którą się okrył. Stary wkrótce zasnął, a myśl jego, niekontrolowana przez świa-

domość, prowadziła dalej swą pracę, splatając się w najdziwaczniejsze obrazy.

Przyśnił się dziadowi wypadek z dzikiem, przyczem nie był to zwyczajny dzik, lecz sam dziad Tałasz, którego napastował okrutny wilk. Dziad złapał wilka za ogon i grzmotnął go głową o pień dębu. Ale wilkowi nic się nie stało: zwrócił ku staremu łeb, spoglądał chytremi oczami i wyszczerzył zęby w potwornym śmiechu. Wściekłość ogarnęła dziada, zawinął jeszcze raz wilkiem, by mocniej trzasnąć nim o dąb, aż tu wilk się urwał, w ręku dziada został tylko ogon, a wilk potoczył się i runął na śnieg. Patrzy dziad Tałasz, — aż tu ze śniegu wstaje zamiast wilka Panas, spogląda na ojca smutnemi oczami i mówi: „Za co wy mnie, tatulu, bijecie?"

Dziad budzi się cały drżący, a serce mocno tłucze się mu w piersi. Sen ten zostawia w nim niemiłe, ciężkie uczucia. „Tfu!" — splunął stary, odrzuca wilczurę, siada na kupie chróstu i spoziera dokoła, a serce jego ściska się z bólu po Panasie. „Synku mój, synku!" — szepcze stary.

Ogień dogasał. Przepalone wyziębłe głownie leżały dokoła ogniska, a pośrodku w rozżarzonych węglach tlił się karcz, to przygasając, to zapalając się bladym płomykiem. Gasły również węgielki, pokrywając się lekkim białym popiołem, i szeptały coś do siebie zamierającemi oznakami życia, przeobrażając się w inne jego kształty, już niewidzialne dla oka człowieka. Sinawy strumyczek dymu bezszelestnie i spokojnie płynął ku górze i krył się wśród rozczochranych czap starych drzew, jakby tam szukał przystani, by nie zniknąć bez śladu w chłodnych przestworach powietrza. Było coś tęsknego i smutnego w

tem zamieraniu ogniska, być może dlatego, że przypominało ono jakiś koniec, zanik życia.

Zimowy chłód nocny począł wreszcie przejmować Tałasza. Stary zbliżył się do ognia, poskładał głownie i przepalone polana na żar. Gęściej popłynął dym i wkrótce wesoły ogieniek zapłonął, rozproszył mrok, oświetlił szałasy i śpiące ludzkie postacie, skulone od zimna. Tuż obok leżała kupa drew, przygotowanych z wieczora. Dziad dorzucił drew do ogniska. Ogień znów ożył, zagadał ruchliwemi i gorącemi wstęgami, płosząc mrok nocy, a wraz z nim smutny nastrój starego.

Dziad Tałasz siedział przy ogniu i grzał się. Te same nieodstępne myśli znowu go opanowały. Przypomniał sobie wypadki dnia ubiegłego. Teraz ukazały mu się one w innem świetle. Wieść o tem, że w Wirkuciach nagle zjawili się czerwoni i schwytali ucztujących tam oficerów i żołnierzy, szybko dojdzie do polaków. Polacy, nastraszeni, wyślą całe wojsko przeciwko garstce żołnierzy Bukreja. Zaniepokoiło to starego. Spojrzał na Bukreja. Ten wyciągnął się na belkach, usłanych słomą, zawinął się w szlacheckie futro i spał spokojnym snem nowonarodzonego. „Śpi i ani dba! No, niechże sobie odpocznie“, — pomyślał. Beztroska Bukreja i jego spokójny sen i na starego podziałały uspakajająco. Ale pod wpływem swych myśli stary wstał i ostrożnie zagłębił się w las, by na wszelki wypadek posłuchać, czy niema podejrzanych szmerów i sprawdzić cichaczem, jak się sprawują ludzie ustawieni na posterunkach.

Warta była na swojem miejscu. Zamienił z niemi Tałasz kilka słów. Na ich zapytanie, dokąd dziad idzie, odpowiedział, że idzie po drwa. Stary odszedł dalej i czujnie

wsłuchiwał się w zaklętą ciszę leśną. Obejrzał się — ognia nie było widać. To jeszcze bardziej uspokoiło Tałasza. Zauważył, że nigdy mu nie przychodziło na myśl, jak daleko widać w lesie ogień w nocy. Stary wybrał cienkie uschłe drzewo, wparł się w nie rękoma, a nogami w śnieg i spróbował je złamać. Drzewo chybnęło się raz i drugi, za trzecim razem z hałasem pękło przy korzeniu i runęło na śnieg. Dziad zarzucił je sobie na ramię i ruszył spowrotem do ogniska.

Zapalił stary fajeczkę, przysiadł na kupie chróstu, gdzie mu się był przyśnił paskudny sen, i zamyślił się. Stary myślał o tem, że wypadki w Wirkuciach zmieniają obrany kierunek marszu, więc zależnie od tego, trzeba również poczynić zmiany w planie. Po pierwsze nie należy tu popasać zbyt długo, ostrożność w takiej sytuacji nigdy nie zawadzi. Wojsko musi przejść na inne miejsce, a na wywiad należy zwrócić baczną uwagę. Przed oczyma starego poczęły się ukazywać tajne wnętrza puszczy, głuche zakątki Polesia i siedziby ludzkie. Dużo jest na Polesiu takich zakątków, ale nie wszystkie wpobliżu i nie wszystkie po drodze... Poco posuwać się kupą? Oto jakie pytanie zadał sobie stary i ten właśnie kierunek przybrały jego rozważania.

Nowy plan zarysował się przed Tałaszem. Nie trzeba z całym plutonem iść ku Długiemu Brodowi, jak to było w planie; tem bardziej, że trzeba sporo drogi nałożyć. A Marcina tam można nie zastać. Czy nie lepiej, by pluton odmaszerował w ukryte miejsce wpobliżu miasteczka, co było głównem zadaniem wyprawy Bukreja. Czy nie lepiej będzie, gdy stary pójdzie sam, lub z kimkolwiek ze swoich ludzi?

Rozważywszy wszechstronnie tę kwestję, dziad Tałasz stanowczo zatrzymał się na takiem jej rozwiązaniu. Powiadomi o tem Bukreja. Stary jest pewny, że Bukrej się zgodzi na zmianę marszruty.

O świcie wrócili z Wirkuć czerwonoarmiści z Kupryjańczykiem. Noc minęła szczęśliwie. Szałasy smolarzy ożywiły się; napełnił je gwar głosów ludzkich. Nowy dzień przynosił nowe troski i nowe zadania oddziałkowi Bukreja.

XVI

Rankiem, gdy się rozproszył mrok, Bukrej wydał rozkaz do wymarszu. Przedtem odbyła się narada. Obmyślono kierunek i porządek marszu. Bukrej uwzględnił propozycję Tałasza i zaaprobował jego plany na dzień najbliższy. Powiedział przytem staremu:

— Wy, ojcze, szefem sztabu powinniście być, nie zaś zwykłym przewodnikiem i wywiadowcą.

Coprawda, teorji sztuki wojskowej dziad nie znał, lecz miło mu było posłyszeć taką pochwałę. Na naradzie specjalną uwagę zwrócono na utrzymanie w tajemnicy miejsca postoju plutonu. W tym celu cały czas trzeba było trzymać się lasu, rozpoznać drogi i siedziby ludzkie. W tej sprawie specjalną rolę mieli pełnić partyzanci, którzy świetnie znali topografję terenu i jego geografję. Ogólny kierunek wzięto na miasteczko, w którem rezydował pan Królewski. Do miasteczka od szałasów smolarzy było koło piętnastu kilometrów. Każdy wywiadowca otrzymał specjalne zadanie i wyraźne wskazówki. Przewodnikiem Bukreja został Kupryjańczyk. Tałasz zaś z Nuprejem wzięli na siebie zbadanie terenu po drodze do miasteczka.

W ciągu dwuch godzin cała kolumna posuwała się razem. Potem partyzanci oddzielili się i poszli swoją drogą, a Kupryjańczyk poprowadził pluton na Głuchą Wyspę.

Wyspa, było to porośnięte lasem wysokie wzgórze wśród nieprzebytych bagien. Dostać się latem do Głuchej Wyspy mógł tylko ten, kto świetnie znał kręte ścieżynki między bagnem a kępami, pokrytemi olszyną, łozą, krzakami niskiej brzeziny i najrozmaitszą roślinnością. Ścieżyną taką szło się gęsiego, przeskakując z kępy na kępę, przedostając się miejscami po zmurszałych belkach. Zdradliwa bagnista toń groziła pochłonięciem w swe wnętrza każdego, kto się ześlizgnie, lub zrobi krok nieostrożny. Zimą Głucha Wyspa była bardziej dostępna, chociaż pod śniegiem kryło się jeszcze większe niebezpieczeństwo, niż latem. Zaglądano tu rzadko, chyba tylko zapaleni myśliwi odwiedzali czasem to ustronie.

Na pożegnanie Bukrej życzył powodzenia wywiadowcom i jeszcze raz przypomniał im o instrukcjach.

Ostrożnie idą Tałasz i Nuprej lasem, przedzierają się przez zarośla bagniste, mijają bezludne polanki wśród lasów i błot. Czasem wychodzą na drogę rozejrzeć się i posłuchać. Choćby żywego człowieka spotkać, języka od niego o polakach zasięgnąć! Czujność ich się podwaja, gdy się zbliżają do wsi Cierniszcz, pierwszej wsi, co na ich drodze leżała. Wieś ta wywołuje w pamięci dziada cały szereg scen i obrazów, o których mówił Marcin Ryl. Rodem z tej wsi jest Marko Bałuk, któremu składał przysięgę Marcin Ryl.

Na skraju lasu dziad Tałasz i Nuprej zatrzymują się. Tędy idzie droga ze wsi i wieś również widać stąd dobrze. Miarkują, jakby łatwiej dowiedzieć się, co się dzieje

we wsi, czy jest tam wojsko polskie i jakie. Na drodze ukazuje się postać kobieca. Kobieta idzie do wsi. Stary oddaje fuzję i wilczurę Nuprejowi, i sam ostrożnie wychodzi na drogę. Troskę i niewesołe myśli widać na twarzy kobiety, która przyglądała się Tałaszowi szaremi, okrągłemi oczami spod wąskich czarnych brwi. Nad czołem piętrzy się biała „namitka"[1] z wyszytemi końcami. Zbliża się i wita dziada zwykłem „dzieńdobry". Stary uprzejmie odpowiada na powitanie.

— Powiedz mi, czy z tej wsi jesteś, niebogo?

— Z tej, — krótko odpowiada kobieta.

— Chcę ciebie o coś zapytać: czy to nie tu mieszka Marko Bałuk?

Kobieta zmieszała się nagle, w oczach jej odbił się strach, a wąskie brwi drgnęły zlekka. Spojrzała badawczo w oczy starego swemi czarnemi zdziwionemi oczyma.

— A skądże to wy go znacie?

— Człowiek, którego wraz z nim zaaresztowali polacy, prosił, żebym się o niego zapytał.

Młódka zatrwożyła się jeszcze bardziej. Dziad Tałasz uważnie śledzi każde drgnięcie muskułów jej twarzy.

— Był tutaj, teraz go niema.

— Tyś żona jego? — otwarcie stawia sprawę Tałasz Kobieta jest jeszcze bardziej zmieszana.

— A cóżeście wy za człek?

— A taki sam, rzec można, jak twój Marko.

— Skądże to wy wiecie, że on mój? A może i nie mój!

---

[1]) „Namitka"—ubiór noszony przez zamężne kobiety na Polesiu (J. H.).

— Z oczu ci to patrzy.

Kobieta, żeby się nie wygadać z czemś niepotrzebnie, nagle zmienia taktykę.

— Takiemu staremu jak wy nie warto w moje oczy zaglądać.

Dziad Tałasz uśmiechnął się.

— Niepotrzebne mi twoje oczy, niebogo. Prawda twoja jest mi potrzebna.

— Niema teraz prawdy nigdzie, — surowo odpowiada kobieta.

— Jaka - taka się znajdzie. Ot i ty choćby, możesz mi prawdę rzec: są tutaj polacy, czy nie?

— A gdzie ich teraz niema? — w głosie kobiety czuć gorycz:—wszędzie ich ponaganiali, bodaj ich choroba wygnała!

— A dużo tu ich jest u was?

— W każdej chałupie po dwuch, po trzech kwateruje. A ja, to już i chaty własnej nie mam. Wszystko zabrali. Bydlątka z chlewa pozabierali... I prawdy nigdzie nie znajdziesz!

Rozruszała się kobiecina. Przyznała się, że chodziła do powiatowego komisarza, jak jej ludzie radzili, szukać sprawiedliwości. Dużo skorzystał stary z tej pogawędki z kobietą. Dowiedział się, że w miasteczku, gdzie rezydował pan komisarz, polaków jest jeszcze więcej, niż tu, że mają tam oni maszyny przeróżne, co to i jeżdżą i strzelają zarazem.

Nie można powiedzieć, by te wiadomości uradowały starego. Wiedział dobrze, że sprawa uwolnienia Panasa wymaga dużo czasu, że to nie jest tak łatwe i proste, szczególnie po takich wypadkach, jak rozbrojenie eskor-

ty, wzięcie do niewoli polaków w Wirkuciach. Szczególniej zaniepokoiła starego wieść o maszynach, co jeżdżą i strzelają.

Jednak, pomimo to wszystko, Tałasz nie upadał na duchu. Po pierwsze trzeba sprawdzić słowa kobiety, i dowiedzieć się, co się dzieje w miasteczku; po drugie trzeba się naradzić z Bukrejem. Liczył dziad jeszcze na Marcina Ryla i na tych ludzi, których on miał zmobilizować. Słowem, rozważywszy i obmyśliwszy wszystko dokumentnie, można było cośniecoś przedsiębrać.

— Zobaczysz swego Marka, to mu powiedz: niech się nie ukrywa samotnie, lecz niech do nas przystanie i ludzi z sobą woła! — powiedział Tałasz, żegnając kobietę.

Tu wymienił stary nazwisko Marcina Ryla, który, pod dowództwem Marka, brał udział w rozbrojeniu eskorty, zdobył na kapralu karabin. Pouczył gdzie i jak znaleźć Marcina. Niezmiernie mu się chciało pozyskać dla sprawy takiego dzielnego człowieka, jak Marko Bałuk.

Tałasz i Nuprej odbyli krótką naradę. Nuprej był takiegoż zdania, co Tałasz. Wierzyć można tylko wówczas, gdy się na własne oczy przekona o czemś.

To też zawrócili do lasu i znowu ostrożnie posuwają się w kierunku miasteczka. Miasteczko miało teraz jakąś władzę nad Tałaszem, ciągnęło go do siebie i jednocześnie wzbudzało w nim trwogę.

Jedna, napozór drobna rzecz, zwróciła na siebie ich uwagę. Zauważyli w lesie ślady ludzkich stóp. Odległość między śladami wskazywała, że człowiek, co te ślady zostawił, biegł szybko. Co zaś szczególnie zwracało uwagę, to czerwony plamy, występujące gdzie niegdzie na śladach, już wessane potrosze przez wilgotny śnieg. Nie mogło

być wątpliwości, że jest to krew. Starego i jego towarzysza wędrówki mocno zainteresowały owe ślady, a dziada Tałasza nawet zaniepokoiły. Żeby uspokoić dziada, Nuprej wyraził przypuszczenie, że to pewno myśliwy pędził za postrzeloną zwierzyną.

— A gdzież są, gołębiu mój, ślady tej zwierzyny?— dopytywał się Tałasz. Śladów nie było. Przypuszczenie Nupreja należało wobec tego odrzucić.

— Nie, chłopcze, tu gorzej rzecz się ma: to jest krew tego, kto tu znaczył swój ślad. Chodź, pójdziemy tym śladem.

Chociaż ślady oddalały się od miasteczka, lecz wypadek ten mocno ich zainteresował i zdenerwował. Stary odczuł jakiś niejasny niepokój w sercu.

Szli tak już prawie pół godziny. Ślady wskazywały, że człowiek zmieniał tempo biegu. Równomierność kroków znikła. Widać było, że człowiek stracił siły, zwalniał biegu, szedł wreszcie krokiem, odpoczywał, by tchu złapać. Wreszcie ślady zboczyły pod gruby gęsty świerk, gdzie prawie nie było śniegu. Dziad Tałasz i Nuprej zaczęli oglądać miejsce, gdzie odpoczywał nieznajomy. Widać było, że człowiek odgarniał śnieg, by odpocząć w cieplejszym zakątku. Koło występującego nawierzch korzenia świerku było wgłębienie — człowiek, leżąc, opierał się na łokciu. W tem miejscu, gdzie były nogi, widniała krwawa plama. Z tego dziad i Nuprej wywnioskowali, że człek był ranny w nogę. W dodatku ślady były świeże.

Zbadawszy miejsce, poszli dalej po śladach. Człowiek prawą nogę stawiał mocno, ślady zaś lewej nogi były niezupełnie widoczne—człowiek kulał. Trudno mu było iść i ślady znowu zboczyły w kierunku małego sośniaku. Tędy poszli

Tałasz i Nuprej, przedzierając się przez suche dolne gałązki świerczków i sosenek.

— Stój! Tu ktoś leży!—cicho i z trwogą zawołał Tałasz.

Nieruchoma postać leżącego człowieka wywołała w nich uczucie strachu. Człowiek leżał skurczony, ukrywszy głowę z głęboko nasuniętą na czoło czapką w stary kożuszek. Twarzy nie było widać.

Nagle dziad Tałasz zadrżał. Otworzył szeroko oczy, a na jego twarzy odbiło się przerażenie. Szybko rzucił się, naprzód.

— Panas! — wydarł się straszny okrzyk z piersi starego.

Rzucił się ku nieruchomo leżącemu synowi. Panas ani drgnął.

— Synku, synku mój!—łamał ręce stary, przyklękając koło syna.—Nie doczekałeś się, synku, swojej godziny,— szeptał żałośnie, tracąc głowę.

Nuprej dotknął ręką Panasa.

— On żyje jeszcze. Zemdlał tylko.

Nuprej zakrzątnął się, rzucił się rozniecać ogień. Tałasz, jakby nic nie czuł i nie rozumiał. Potrząsał chłopcem, budził go, wołał na niego, ale Panas nie dawał znaku życia. Dziad załamał ręce nad głową i z bezmierną rozpaczą patrzał na syna.

Nuprej szybko rozniecił ogień, nałamał brzemię świerkowych gałązek, ułożył je koło ogniska i zasłał wilczurą.

— Przenieśmy go tu!

— Ratuj go, ratuj, Nupreju!

Panasa położono na wilczej skórze. Nuprej zrzucił swój kożuch i przykrył nim chłopca. Poczem rzucił się zdejmować obuwie z jego zranionej nogi. Panas miał le-

wą nogę przestrzeloną powyżej kolana, ale kość, widocznie, była cała. Wyczerpał się, stracił dużo krwi i zemdlał z głodu, zimna i strachu. Nuprej rozpiął mu kołnierz, rozcierał jego ciało rękami, ogrzewał go.

Panas zlekka się poruszył i jęknął.

— Będzie żył,—wesoło odezwał się Nuprej.

Radość ogarnęła Tałasza.

— A bodaj cię pioruny!—zawołał radośnie, głośno pociągnął nosem i wytarł oczy.

XVII

Ogrzał się Panas koło ognia na wilczurze pod kożuchem Nupreja i przyszedł do siebie. Pierwszem uczuciem, które się na jego twarzy odbiło, był strach i zdumienie. Ale uczucie to szybko ustąpiło miejsca radości, skoro chłopak zobaczył starego ojca i uśmiechniętą twarz Nupreja.

— Otóż i odżył nam chłopiec!—wesoło przerwał ciszę Nuprej.

— Boli cię noga?

— Głupstwo! — odrzekł Panas, — ot zaraz wstanę i pójdę.

Spróbował uśmiechnąć się i poruszył chorą nogą. Ale natychmiast ból wykrzywił mu twarz. Noga spuchła, iść chłopak nie mógł.

— Ach synku, synku!—mówił wzruszony Tałasz,—nawet powojować za ciebie nam nie dałeś! A myśmy się już wybrali. No, dziękuj bogu, że tak się wszystko skończyło, że żyjesz, chociaż trochę kulejesz.

— To nic! Do żeniaczki się wygoi!—żartował Nuprej.

Nogę Panasowi obmyto, opatrzono ranę, przewiązano jak i czem się dało. Nuprej doprowadził do porządku skrwawione nogawice Panasowych spodni, wytarł je o śnieg, wysuszył przy ogniu. Słowem Nuprej wykazał zdolności doktora i sanitarjusza. Robił to wszystko z całą świadomością powagi chwili i swojej roboty; sam odczuwał zadowolenie z tego powodu.

Dziad Tałasz karmił Panasa chlebem i słoniną, specjalnie podsmażoną na rożenku przy ogniu. Posiliwszy się, chłopak poczuł się nieco silniejszy. Ale iść nie mógł, bo od ruchu rana zaczynała krwawić.

— Poniesiemy go,—powiedział Nuprej.

— Chyba, że po kolei.

— Nosze zrobimy.

Nuprej był żołnierzem i wiedział, jak się przenosi rannych.

Wziął więc od dziada siekierę, ściął dwa suche lekkie drzewka, ociosał je i przywiązał do nich wilczurę. Wyszły z tego wcale niezłe nosze, zdatne do przenoszenia Panasa.

Panas wywołał zdumienie dziada i Nupreja opowiadaniem o swem wydostaniu się z więzienia. Pomógł mu uciec z niewoli żołnierz polski, który stał na warcie. Kim jest ten dobry człowiek, Panas nie wie. Żołnierz gawędził z Panasem, dowiedział się kim on jest i za co został schwytany. Widać było z jego zachowania się, że współczuł chłopcu. I oto, gdy trzeci raz stał na warcie, a Panas poprosił go o pozwolenie wyjść na podwórko, żołnierz szepnął mu zcicha:

— Poczekaj chwilę, potem cię wypuszczę.

A sam się rozgląda dokoła. Jakoż po chwili wypuścił Panasa i powiada:

— Idź, chłopcze, i nie wracaj. A uważaj, by cię nie schwytano. Jeśli cię złapią, mów, żeś sam uciekł. Po pewnym czasie narobię alarmu, a ty się postaraj tak zniknąć, żeby cię nie ujęto.

Żołnierz był zdenerwowany i widać było, że nie żartuje. Było to z rana przed świtem. Po godzinie, gdy Panas, kryjąc się dotarł do miasteczka i zbliżał się do lasu, zawołał na niego polski wartownik. Panas, wiedząc czem się to skończy, jeśli się teraz zatrzyma, drapnął, że aż się za nim kurzyło. Żołnierz wystrzelił kilkakrotnie, gdy Panas już dobiegał do lasu. Ból w nodze chłopak poczuł już później, gdy był daleko w lesie.

Opowiadanie Panasa zrobiło dobre wrażenie na Nupreju i Tałaszu, i zmusiło ich spojrzeć innemi oczami na polskiego żołnierza. Okazało się, że nie wszyscy polacy są złymi ludźmi, jakto wykombinował sobie dziad Tałasz: są, widać, wśród nich i dobrzy ludzie. Ale samej dobroci za mało, by zrozumieć postępek żołnierza polskiego z Panasem.

— Różni są ludzie wśród polskich żołnierzy,—stwierdził fakt oczywisty Nuprej.

— Tak,—zgodził się Tałasz,—są napewno wśród nich tacy, którzy nie współczują panom i walczą wbrew swej woli. Pan—to pan, a nasz prosty człowiek, nieborak,— ten ma swe własne myśli i własne sprawy, czy polak to, czy niemiec.

Przypomniał sobie dziad Tałasz Niewidnego. To co było wówczas w rozmowie z Niewidnym niejasne dla starego, teraz poczynało dochodzić do jego świadomości i rozumu.

Dla dziada i Nupreja znalezienie Panasa było dosta-

teczną przyczyną, żeby odłożyć zwiady w miasteczku. Zmuszeni byli zadowolnić się tem, co słyszeli o polakach od spotkanej kobiety, żony Bałuka. Postanowili wrócić na Głuchą Wyspę. Innego wyjścia nie było: nie mogli przecież porzucić chłopca w lesie, lub u obcych ludzi, gdzie łatwo mógł być schwytany.

Wydostanie się Panasa z niewoli i szczęśliwe przypadkowe spotkanie z nim w lesie rozwiązały to zadanie, które sobie dziad Talasz był uplanował. O ile wypadek w Wirkuciach wymagał zmiany kierunku marszu, o tyle oswobodzenie Panasa wpływało na zmianę całego planu wyprawy. Teraz będzie wszystko zależało od Bukreja. Gdy stary uporał się z myślami, to przyszedł do wniosku, że i on i Bukrej mają teraz wolne ręce i szersze pole działania, gdyż nie są skrępowani, ani określonym terenem, ani żadnym określonym planem.

Miarowo i płynnie kołyszą się zmajstrowane przez Nupreja nosze. Dwie pary krzepkich rąk niosą Panasa przez puszczę leśną, mrocznemi ścieżynami. Panasowi przyjemnie i wygodnie jest kołysać się zlekka w kolebce z wilczej skóry. Chłopak mruży oczy, drzemie i marzy. To, że go niosą, jakby rannego na wojnie, dwaj dorośli ludzie i cała niezwykła sytuacja wywołuje w nim osobliwy nastrój. W nodze czuje tępy ból, ale chłopiec nie narzeka, bo ten ból podnosi go we własnych oczach i daje mu prawo, by go nieśli na noszach. Panas myśli o tem, dokąd go niosą i co on tam zobaczy. W oczach mu stają postacie groźnych wojowników, czerwonoarmistów i partyzantów. Ukazują się tak dziwacznie, w takich powikłanych zespoleniach, jakie nigdy nie odpowiadają rzeczywistości. Myśli również i o swej chacie, o starej matce,

o Maksymie, o swych rówieśnikach. Jakież to ciekawe historje opowie im Panas, gdy się spotka z nimi.

Przez gałęzie prześwieca szare, pociągnięte chmurkami niebo. Sen i jawa zlewają się w jedną całość, w jeden wielostronny obraz młodego życia z jego radością i smutkiem.

Ocknął się już Panas na Głuchej Wyspie. Na stronie obok płonie ognisko. Czyjaś troskliwa ręka otuliła go ciepłem futrem. Dokoła ognia siedzą i stoją ludzie w wojskowem ubraniu. Wśród nich czernią się postacie chłopów, uzbrojonych w karabiny wojskowe. Na krótkim grubym pniaku siedzi szeroki barczysty człowiek, o jasnych, groźnie nastroszonych wąsach, i dużej surowej twarzy. Spokojne szare jego oczy przebiegają szeregi zapisanych w notesie słów. Obok niego—dwaj partyzanci z fuzjami i człowiek bez fuzji, z siekierą za pasem. Barczysty człek co chwila podnosi wzrok na tego z siekierą za pasem i o coś się go rozpytuje. Tamten odpowiada, mówi długo. Barczysty słucha uważnie, potem coś sobie notuje.

— No, jakże się czujesz?—Do Panasa zbliża się Nuprej, spogląda nań z wesołym uśmiechem, ukazując cały szereg białych, równych zębów.

— Dobrze!—odpowiada Panas i porusza zranioną nogą,—powolutku poszedłbym już sam.

— No, widzisz!

Uśmiech jeszcze szerzej rozsuwa Nuprejowi czarne wąsy.

— To wilcza skóra zdrowie ci dała!—żartuje wesoło.

Otaczają ich czerwonoarmiści i partyzanci. Ciekawie spojrzeć na chłopca, którego zaaresztowali polacy. Pana-

sa zasypują pytaniami. Nie może zdążyć odpowiedzieć na każde pytanie. Ale i pytania i uwagi często są takie, że nie wymagają odpowiedzi.

Całe to otoczenie jest dla Panasa nowe i niezwykłe, chłopak czuje się jakoś nieswojo w gwarnym tłumie dorosłych. Szuka oczami ojca, ale dziada Tałasza nie widać. Nareszcie do Panasa zbliża się człowiek o nastroszonych wąsach. Skończył właśnie rozmowę z człowiekiem z siekierą i schował notes do kieszeni.

— No, zuchu, jak się masz?—pyta Panasa.

— Dobrze!

Panas stara się być odważnym.

— Zuch z ciebie!—chwali go Bukrej,—teraz dzielny żołnierz powinien być z ciebie... Chcesz wojować?

— Chcę!—odważnie oświadcza Panas.

— To ci kozak z chłopaka!

I Bukrej począł rozmawiać z Panasem, rozpytywał go, jak mu było u polaków, co tam słyszał, co widział.

Panas z łatwością odpowiadał na pytania groźnego dowódcy z szorstkiemi wąsami: ten dowódca umiał z nim stanąć na przyjacielskiej stopie, umiał rzucić trafny żart i rozweselić chłopca.

— No, odpoczywaj, przyjacielu, i powracaj do sił. Mocni ludzie nie chorują długo, — dodał na zakończenie.

Panasa nakarmiono i pozostawiono w spokoju. Doglądał go Nuprej, który zyskał sławę doktora i sanitarjusza.

Dziad Tałasz był rzeczywiście nieobecny. Stary pamięta o tem, co przyrzekł. Dziś wieczorem upływa termin: Tałasz powinien być przy Długim Brodzie, jak się

umówił z Marcinem Rylem. Teraz dziad Tałasz—wolny ptak. Zapomniał o swej ciężkiej trosce. Jego ojcowski ból zmienił się w radość: odnalazł syna i polecił go opiece pewnych ludzi.

Z wiedzy Bukreja przygotowuje się stary do wyprawy do Długiego Brodu. Ludzie mu dziś nie są potrzebni, ale dwaj jego wierni towarzysze broni, Kupryjańczyk i Askierycz, idą z nim z własnej inicjatywy. Tłumaczą to tem, że niedobrze jest człowiekowi samemu włóczyć się teraz po nocy. Mają w dodatku ochotę zobaczyć się z Marcinem Rylem i na własne oczy obejrzeć jego wspaniały karabin. O tem jednak nikomu nie mówią.

Noc już osłoniła swym płaszczem puszcze i bagna zmartwiałego w ciszy Polesia, gdy dziad Tałasz i jego towarzysze przyszli do Długiego Brodu. Stary miał chęć zabrać ze sobą wilczurę i dać znak umówiony właśnie w wilczej skórze, to ci byłby efekt dopiero. Ale na wilczurze leżał na noszach Panas i stary nie chciał pozbawiać go wygody, dla zwiększenia efektu spotkania z Rylem, tem bardziej, że Marcin mógł się nie stawić na czas.

— No, sokoły moje, zaczekajcie tutaj, a ja odejdę trochę dalej i huknę na swoje wilki.

I Tałasz sam ruszył naprzód.

Odszedłszy o kilkadziesiąt kroków, stary zsunął z czoła czapkę, pięść do pięści położył, zrobił z nich trąbkę, odkaszlnął, zgiął się i zawył w kułak. Wył spoczątku cicho, grubym głosem, a potem wycie się wzmogło, potężniało i tony jego były coraz wyższe. Jednocześnie stary prostował się, podnosił pięści i głowę coraz wyżej i wreszcie zakończył całą tę muzykę straszliwem, przej-

mującem wyciem. Trudno było uwierzyć, że to wyje człowiek, a nie wilk.

— To ci artysta!—dziwował się Kupryjańczyk.

— Tfu! Wprost strasznie się robi!—dodał Askierycz.

Po małej chwili, jeszcze przeraźliwsze wycie rozległo się znowu. I jeszcze raz zawył Tałasz po raz trzeci i to tak, że Kupryjańczyk i Askierycz przysiedli z wrażenia.

Gdy stary skończył, nagle gdzieś zboku huknęła znienacka salwa, nastraszywszy nieoczekujących takiej odpowiedzi Tałasza i jego przyjaciół: Marcin Ryl również lubił efektowne sceny.

Po chwili wyłoniła się z mroku wysoka postać Ryla, a za nim cała gromada uzbrojonych ludzi.

XVIII

Partyzanci-wywiadowcy zebrali dużo cennych wiadomości o rozmieszczeniu oddziałów polskiego wojska, o koncentracji sił zbrojnych. Wszystkie te dane Bukrej skrupulatnie notował. Na podstawie tych danych można było z łatwością określić, na jakie punkty sztab polski skieruje główne uderzenie.

Wywiad Bukreja ustalił również, jakie nastroje panują wśród chłopów okupowanych przez polaków wsi.

Jaskrawy obraz polskiej gospodarki wojskowej dał Marcin Ryl i jego drużyna, składająca się z sześciu ludzi, którzy chętnie przyłączyli się do powstańców w obronie interesów biedoty wiejskiej.

Marcin opowiedział o napadzie polaków na Wiepry, gdzie był świadkiem naocznym zabicia Konrada Busa. Pomścił go Ryl, zabijając jednego żołnierza i raniąc

drugiego. Opowiedział o spalonych budynkach biedoty chłopskiej, o znęcaniu się polskich kaprali nad starcami, kobietami i dziećmi tych, którzy występowali przeciwko panom.

— Biedota niema gdzie się podziać. Ludzie zmuszeni są uciekać w lasy. Co im pozostaje? Ukorzyć się przed pańską władzą i znów pójść w jarzmo pańskiej niewoli? Nie—lepiej z bronią w ręku walczyć o wspólną sprawę. Lepiej polec w walce o wolność, o prawo tworzenia życia po swojemu, niż ukorzyć się przed władzami polskiemi i spełniać pańską wolę.

— Słusznie mówisz, gołębiu mój! Prawdę mówisz!— podtrzymał Marcina dziad Tałasz:—nie ukorzymy się przed panami. Nie tędy wiedzie nasza droga, trzymajmy się, druhowie, jeden drugiego. Niech każdy z nas skupi dookoła siebie drużynę odważnych. Znienacka, z zasadzki szarpać będziemy gwałcicieli. Prochem a kulką poczęstujmy nieproszonych gości!

Po przemówieniu Tałasza wystąpił człowiek z siekierą za pasem, niemłody, zgarbiony, o dawno niegolonej twarzy. Ciemno-niebieskie jego oczy były osadzone głęboko pod czołem. Na wąskich zaciśniętych ustach igrał gorzki uśmiech. Człowiek ten dużo krzywdy i niedoli zaznał w swem życiu. To Tymek Budzik ze wsi Karnacze. Jeszcze za caratu skazano go na dwa lata „rot aresztanckich“ za podpalenie pańskiej stodoły. Z panem zaś miał nieporozumienia na gruncie serwitutu. Za rozmaite drobne przekroczenia przeciw prawu własności pana niejednokrotnie sądzono go i karano grzywną. Tymek nie mógł wymyśleć nic lepszego nad podpalenie pańskiej stodoły. Odbywając dwa lata kary, Tymek ża-

łował, że nie podpalił, zamiast stodoły, pańskiego domu lub gumna. Teraz wypominano mu wszystkie grzechy i poczęto włóczyć po sądach i dręczyć. Tymek i obecnie jest zwolennikiem poprzednich form zemsty i walki; żyje myślą o podpaleniu pańskich majątków i piastuje w głowie szerokie plany podpaleń. Spotkawszy w lesie partyzantów dziada Tałasza, oświadczył chęć przyłączenia się do nich, w nadziei szeroko zorganizować robotę podpalania.

— Powiadano—bolszewicy niesłychane rzeczy wyrabiają, zabierają dobytek, mienie ludzkie...—zaczął Tymek Budzik.—My wiemy, jak brali i jak biorą bolszewicy. Pański dobytek brali, dobytek bogaczy! Ale czyż to dobro zdobyte jest ich rękami, ich pracą? Myśmy dla nich zdobywali to mienie własną krwawicą. Bolszewicy oddawali to wszystko temu, kto całe życie pracował, a nie miał nic. A teraz—co się dzieje? Powrócili panowie ze swą czeladzią, zaczęli swoje porządki wprowadzać, a jeszcze gorsze, niż carskie. Wójtów, sołtysów ponasadzali. A tam, gdzie pierwiej był tylko jeden „uriadnik", teraz dziesięciu żandarmów posadzono nam na kark. Nasiadła na nasze chłopskie spracowane barki nienasycona szarańcza, ostatni dech z człeka wyciskają, resztę dobytku zagarniają. Spójrzcie, gromada, co się po wsiach dzieje! Uzbrojona polska zgraja najeżdża z kulomiotami, zabierają chłopski dobytek, żywność wszelką. My tu gadamy, a po drogach ze wsi śnieg pod płozami skrzypi, jęczy i płacze chłopskiemi łzami. Własny dobytek sami chłopi wywożą, popędzają szkapiny, a ich samych pański batog popędza. Czyż można dłużej to znosić? Nie mają oni litości nad nami. To i my, bracia,

nie miejmyż dla nich litości. Bić, niszczyć, palić ich trzeba gorącym ogniem pożarów.

Budzik niezmiernie malowniczo opisał zachowanie się polaków podczas ich najazdów na wsie, co często oni praktykowali celem poborów, wymuszania gwałtem rozmaitych podatków z włościan. Rozpalił jeszcze bardziej ducha zemsty i walki przeciwko polakom i władzom polskim.

To też i czerwonoarmiści i partyzanci chętnie przyjęli rozporządzenie Bukreja w sprawie dokonania napadu na polaków, którzy, wedle zebranych wiadomości, mają zawitać do wsi Hanusy dla kolejnego wymuszania dobytku chłopskiego.

Bukrej, drużynowi, dziad Tałasz, Marcin Ryl, Kupryjańczyk i Budzik odbyli naradę, by dokładnie obmyśleć plan napadu. Ze względu na niewielką ilość ludzi oraz na to, że znajdowano się na terenie, zajętym przez polaków, uchwalono nie wdawać się w otwartą walkę, lecz napaść znienacka, zaskoczyć po drodze, gdy polacy już będą wracali z nagrabionem mieniem.

— Towarzysze! szykować się do wymarszu!—powiadamiali jeden drugiego czerwonoarmiści i partyzanci.

Raniuteńko przed świtem wysłano zwiady do wsi Hanusy. Hanusy były odległe od Głuchej Wyspy prawie o pięć kilometrów na wschód od pozycyj Armji Czerwonej.

Dziad Tałasz mógł nie brać udziału w tej wyprawie: pod jego opieką był Panas. Ale stary polecił Panasa opiece Nupreja i Konrada Kruhłego z Wysokiej Rudni. Panas czuł się dobrze i dowodził, że może chodzić i że bardzoby mu się chciało pozostać przy wojsku.

— Odpocznij, bracie. Niech wydobrzeje noga, a powojować zdążysz jeszcze,—powiedział Bukrej.

Nuprej i Kruhły z Panasem skierowali się ku Wysokiej Rudni. W Hudarowym łęgu powinni byli oczekiwać Bukreja i Tałasza. Stary uważał za swój obowiązek nie porzucać Bukreja i partyzantów i postanowił podporządkować swe osobiste sprawy — sprawie ogólnej.

Wyprawa do wsi Hanusy wymagała obrania przywódcy partyzantów: było ich już koło dwudziestu. Faktycznie jako ich naczelnika uważano Tałasza, ale nie było to prawnie potwierdzone. W związku z tem powstała kwestja, jak nazwać przywódcę partyzantów?

— No, chłopcy! Musimy sobie wybrać atamana!— W ten sposób zwróciwszy się do partyzantów, Bukrej zdecydował zgóry sprawę nazwy naczelnika partyzantów.

— Atamana, atamana obrać,—zawołali partyzanci.

— Co do mnie, tobym wam poradził obrać naszego ojca, dziada Tałasza. Człowiek to przemyślny, przebiegły, ostrożny, ale zdecydowany i śmiały, a w dodatku ogólnie poważany. Przyglądałem mu się i powiadam: będzie to przywódca co się zowie, należyty!

— Obierzcie kogoś młodszego i lepiej obeznanego ze sztuką wojenną,—ozwał się stary.

— Dziad Tałasz!

— Dziada Tałasza.

— Niech nam Tałasz atamanem będzie!—jak jeden zgodnie wołali partyzanci.

— My z Tałaszem, z wodzem naszym!—huknął ktoś do rymu.

Dziad się rozczulił. Zdjął czapkę, żółtawo-biała łysina błysnęła jak słońce. Krótki, zlekka zadarty jego nos podniósł się do góry i znów się opuścił.

— Dziękuję wam, gołąbki moje. Raz jeszcze powiadam: wybierzcie godniejszego, niż ja.

— Tałasz, Tałasz atamanem!—huknęli partyzanci.

Stary jeszcze raz zdjął czapkę. Jeszcze raz się pokłonił.

— Będę o was dbał, towarzysze. O każdą kroplę krwi waszej drżeć będę. Będziemy jeden za drugiego stać murem. Zadaniem naszem—bić gwałcicieli. Żadnej litości względem panów! Ale posłuszeństwo powinno być prawem dla nas. Będę się przysłuchiwać do waszego głosu, lecz wy powinniście mnie słuchać. Inaczej ładu żadnego nie będzie.

— Słusznie,—potwierdzili partyzanci.

— Rygor—przedewszystkiem!—zauważył Bukrej.

— A na pomocnika pozwólcie mi wziąć Marcina Ryła,—zwrócił się Tałasz do gromady.

— Zezwalamy!

Oto jak dziad Tałasz stał się atamanem partyzantów.

Wyruszono rankiem, o brzasku. Łączność między zwiadami, a kolumną czołową utrzymywali partyzanci. Pierwszy raport złożyli wywiadowcy po dwuch godzinach. Zwiady zameldowały: do wsi Hanusy pojechało dwudziestu czterech jeźdźców i dwa kulomioty. Bukrejowcy karabinów maszynowych nie mieli. Czerwonoarmiści byli uzbrojeni w karabiny i granaty ręczne.

Zwolna, bezgłośnie posuwał się Bukrej z partyzantami w kierunku drogi do Hanus. Nastrój był podniosły, szczególnie wśród partyzantów, którzy po raz pierw-

szy mieli się spotkać z wojskiem polskiem z bronią w ręku.

Czujność czerwonoarmistów i partyzantów zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy przyszli na skraj lasu, skąd zaczynały się hanuskie pola. Na białem tle śniegu szaremi plamami zarysowały się budynki. Za wsią majaczyły zarośla smutnie obnażonych krzaków, a dalej ciemna ściana wysokiego lasu. Bukrej rozkazał rozstawić łańcuch patroli, obserwujących wieś. Polacy, podług raportu wywiadowców, również ustawili wartę na wschód od wsi: stamtąd spodziewano się niebezpieczeństwa—w tamtej stronie były pozycje Armji Czerwonej. Nie oczekiwano wcale, że niebezpieczeństwo może im grozić stylu, z zachodniej strony wsi, gdzie właśnie zatrzymali się czerwonoarmiści i partyzanci.

Bukrej, Tałasz i Ryl uważnie obejrzeli teren i wybrali pozycję. Pozycję wybrano na skraju lasu w tem miejscu, gdzie droga się zwężała, ściśnięta z obu stron ciemnemi kępami sosen i świerków. Na bagnie, po obu stronach drogi rosły krzaki olszyny i wierzby. By jeszcze bardziej zacieśnić teren i utrudnić polakom rozwinięcie się do walki, Bukrej rozkazał zawalić drogę za groblą, żeby jazda nie mogła się przemknąć. Czerwonoarmiści i partyzanci tak się zamaskowali, że ich nie można było dostrzec z drogi, nawet uważnie rozglądając się po obu stronach.

Przygotowano pozycję, rozmieszczono na niej żołnierzy, zajmując obie strony drogi, przegrodzonej nieco dalej w lesie, i oczekiwano polaków. Wolno i w naprężeniu mijały chwile oczekiwania. Bukrej i ataman, dziad Tałasz, obchodzili pozycje, sprawdzali drużynowych i

każdego żołnierża, zwracając uwagę na ich panowanie nad sobą, spokój i dokładne wykonywanie rozkazów. Bez rozkazu nie dawać najmniejszego znaku życia.

Dziad Tałasz był głęboko wzruszony i mocno zdenerwowany. Obawiał się o wynik tej walki, w której po raz pierwszy ma wystąpić i jako żołnierz i jako dowódca. Ale niczem nie okazywał swego nastroju. Myśli jego całkowicie pochłaniało to pierwsze zbrojne i zorganizowane starcie z polakami.

Wydało mu się, że część pozycji, bliżej od wsi, słabo jest obsadzona, że polacy mogą się tam przerwać i wymknąć się. Zadanie zaś bojowe polegało na tem, by ani jeden żołnierz polski nie zdołał umknąć. Wobec tego odcinek ten wzmocniono. Bukrej musiał się zgodzić z dowodami dziada.

O godzinie drugiej po południu cały tabor chłopskich fur, naładowanych zapasami żywności, furażem, drobiem oraz nierogacizną—wyjechał ze wsi. Tabor rozciągnął się przeszło na wiorstę.

Na czele jechało konno sześciu legjonistów. Za nimi posuwały się dwie furmanki z karabinami maszynowemi, a przy nich po kilku żołnierzy. Oddział jeźdźców, śpiewając na całe gardło, jechał pośrodku, reszta zaś znajdowała się na końcu taboru. Czterech jeźdźców zamykało ten pochód.

Dziwny i niezwykły widok stanowił ten pochód. Milczący i ponurzy poleszucy w saniach niechętnie popędzali konie. Niektórzy kroczyli koło sań, spoglądając to na las, to na znienawidzonych legjonistów, harcujących konno i wymyślających od czasu do czasu woźnicom. To tu, to tam rozlegało się z sań przeraźliwe kwiczenie świń,

bek owcy. Wszystkie te różnogłose dźwięki zlewały się z dziarską śpiewką żołnierzy, z ich gniewnemi okrzykami pod adresem poleszuków-woźniców.

Czoło taboru już mijało groblę, po której obu stronach zalegli w zasadzce czerwonoarmiści i partyzanci. Zdawało się, że tabor przejdzie spokojnie i nic się nie zdarzy. Partyzanci kurczowo ściskali karabiny w garści, gotowi w każdej chwili posłać kulkę polskiemu żołnierzowi. Ale czekali komendy.

I nagle, naprzedzie kolumny, jakby piorun trzasnął: huk potężny wstrząsnął powietrzem.

To czerwonoarmiści cisnęli granaty w czołową grupę jeźdźców. W tej samej chwili huknęła salwa w końcu taboru. W taborze wszczęły się panika, rwetes, zamieszanie. Spłoszone konie szarpnęły się w różne strony, rzucając się w zarośla, ponosząc przewrócone sanie.

Nowa salwa w samym środku taboru wywołała jeszcze większy popłoch i chaos. Tu właśnie był największy oddział jeźdźców, tych co śpiewali. Ludzie, woźnicy i żołnierze, wyrzucone z sań zwierzęta, wszystko to tarzało się po śniegu. Jeden z jeźdźców, który utrzymał się na koniu w końcu taboru, rzucił się do lasu. Jak spod ziemi wyrośli przed nim partyzanci pod dowództwem Marcina Ryla, zagradzając mu drogę bagnetami. Zręczny jeździec, jak przykuty do konia, wyciągnął z pochwy szablę i ciął straszliwie Marcina Ryla. Ryl karabinem odbił cięcie. Budzik, który był tuż, jak kot skoczył styłu, ściągnął jeźdźca z konia i obalił na śnieg. Partyzanci przebili go bagnetami.

Cała utarczka trwała kilka minut. Większość żołnierzy wybito, część wzięto do niewoli, trzech zaś ciężko

rannych wyprawiono spowrotem do Hanusów. Niech opowiedzą o potyczce i wówczas wina nie spadnie całym ciężarem na wieś Hanusy.

XIX

Jagna tegoż dnia dowiedziała się o wypadkach w Wieprach. Już od kilku dni wiedziała, że polacy wzięli Marcina Ryla. Serce jej się ścisnęło, lecz komuż miala o tem powiedzieć? Tak się jakoś złożyło, że Jagna unikała rozmowy o Marcinie Rylu, chociaż myślała o nim, niekiedy częściej i głębiej, niekiedy zaś zlekka, pod wpływem łagodnych wspomnień o tem, co było niegdyś. Wyrzucić z pamięci Marcina, lub myśleć o nim obojętnie, jak o człowieku, który odszedł w przeszłość, Jagna dotychczas nie mogła. Zbyt silnie zakorzeniło się w sercu pierwsze uczucie, by mogło nie wyrastać niewczesnym żalem, echem smętku po stracie, której powrócić już nie można.

Zrzadka tylko wynikała rozmowa o Marcinie Rylu z Wasylem. Różne to były rozmowy; nosiły one odcień żartobliwy, czasem zaś Wasyl wprowadzał w nie pierwiastek wyrzutów i zazdrości. Powodem takich rozmów bywało zwykle spotkanie się Jagny z Marcinem lub nieostrożne spojrzenie uroczych oczu młodej kobiety, rzucone na Marcina. Ale wszystko to miało poufny odcień rodzinnego życia. Pozatem, Jagna tak umiała postawić sprawę, że wygrana była zawsze po jej stronie. Być może pomagały jej w tem oczy uroczne, któremi umiała tak spojrzeć, że rozpraszała wszelkie podejrzenia co do jej szczerości i oddania. A może nawet Jagna istot-

nie była taka w chwilach, gdy się ujawniało jej wzruszenie...

Mniej-więcej o tej samej godzinie, gdy Wasyl Busyga wracał od komisarza powiatu, gdzie widział aresztowanego Marcina Ryla i rozważał, czy powiedzieć o tem Jagnie, czy nie, Jagna rozmyślała, pójść czy nie pójść do Wieprów. Chciała dowiedzieć się dokładnie za co aresztowano Marcina i co mu grozi.

Znalazła powód, żeby pójść do Wieprów: musiała zanieść matce część wełny, bo z przędzeniem sama nie da sobie rady. W chacie został dziad Cyprjan, ojciec Wasyla, i dzieci.

Pewien szczegół boleśnie dotknął Jagnę: w Wieprach chodziły pogłoski, że Marcin Ryl został aresztowany dzięki denuncjacji Wasyla Busygi. Czyżby Wasyl doszedł do tego, że użył takiego sposobu zemsty? Jagna sama również czuła się winna. Już od pierwszego dnia ich małżeństwa, czarne podejrzenie co do niewinności Jagny zakradło się do duszy Wasyla. Cały jego gniew i tajona nienawiść zwracały się na Marcina. Nienawiść tę podsycały dwuznaczne żarty tego lub innego przyjaciela. Stałem zaś, żywem przypomnieniem tego wszystkiego była Olesia, pierwsze dziecko, nibyto podobne do Marcina. Wasyl nie cierpiał Olesi, chociaż otwarcie starał się tego nie okazywać. Zato Jagna wynagradzała ojcowską obojętność gorącą matczyną pieszczotą. Gdy między Wasylem a Jagną wynikały nieporozumienia, Jagna, na złość Wasylowi, demonstracyjnie okazywała swe przywiązanie do Olesi. Zwykle zaś robiła to skrycie.

Jagnie bardzo się chciało wstąpić do Ewy, żony Marcina. Kiedyś dziewczęta przyjaźniły się ze sobą. Ale przy-

jaźń ich prysła, gdy Marcin się ożenił. Otwartych nieporozumień na tem tle nie bywało między niemi, ale stały się sobie obce. W sercu Ewy krył się utajony żal do Jagny. Jagna—czuła się winna wobec Ewy. To też nie odważyła się wstąpić do niej. I jak tu było wstąpić? Co powiedzieć? Współczucie okazać, że Wasyl postąpił po świńsku względem Marcina i jeszcze nie byle jakie świństwo zrobił. I jakie prawo ma ona, Jagna, troszczyć się o Marcina? Sama przecie wybrała sobie Wasyla. Na bogactwo jego poleciała. No, i cieszże się teraz swoim Wasylem i swojem bogactwem!

Niewesoła wróciła Jagna z Wieprów i nie miała z kim pogawędzić, by rozproszyć niemiły nastrój, co jak mgła ciężka osiadł w jej sercu. Myśl jedna nie wychodziła jej z głowy: czyżby Wasyl doszedł do tego, że doniósł polskiej policji na Marcina? Wasyl nie wrócił jeszcze od pana Królewskiego. Poco tam poszedł? Jagna nie wtrącała się do spraw Wasyla, i Wasyl nie nazbyt chętnie otwierał przed nią swe karty. Nie wgląda on w drobne sprawy kobiece i za zbyteczne uważa radzić się z nią co do swych planów i gospodarskich kombinacyj. W tej dziedzinie zakreślił granice, których kobiecie wogóle przekraczać nie należy. Zwykle stawiał Jagnę przed faktem dokonanym, nie podlegającym najmniejszej dyskusji.

Jagna nie znosiła swarów w chacie. Nie lubiła ludzi pochmurnych i nadąsanych, bo sama była wesoła i żywa. To też często ustępowała, byle było cicho i spokojnie.

Obecnie jednak zbieg okoliczności świadczył z całą oczywistością o nienormalności takich stosunków i takich poglądów na zgodę w rodzinie. W Jagnie budził się duch protestu.

— — —

Dziad Cyprjan dreptał po podwórku, sprzątał w śpichlerzu, robił porządek w chlewikach. Starość ma to do siebie, że dba o porządek, jest drobiazgowo oszczędna—stąd starzy ludzie często bywają zrzędni.

Olesia, mająca dopiero koło dziewięciu lat, siedziała przy przęślicy, obwiązawszy ciemną główkę umorusaną chusteczką. Dziewczynka uczyła się prząść i wyciągała z kądzieli grube nici gorszego gatunku, niezgrabnie kręcąc wrzeciono i śliniąc cienkie paluszki. Dwaj młodsi chłopcy zajęci byli swą dziecinną zabawą.

Jagna weszła do chaty.

— Przędziesz, córuchno moja?—łagodnie zwróciła się do Olesi.

Jagna czuła szczególną słabość do córki. Olesia uśmiechnęła się do matki—ona już nie je darmo ojcowskiego chleba—i uważnemi dziecięcemi oczyma, jasnemi i czystemi, jak krynica o ciemnem dnie, spojrzała w oczy matczyne. Nie ukrył się przed nią utajony smutek matki. Lecz nie powiedziała nic.

Po raz pierwszy od zamążpójścia spojrzała Jagna krytycznem okiem na chatę swego męża. Izba była przestronna, z wyborowego drzewa zbudowana. Znaczną jej część zajmował przysadzisty piec z wgłębieniami, kominkami, przypieckami, występami i dużemi niszami po obu stronach, gdzie chowano rozmaite naczynia i drobne sprzęty domowe. Od pieca aż do przeciwległej ściany ciągnął się tapczan, taki szeroki, że się na nim można było kłaść do snu wpoprzek. U wezgłowia była góra spiętrzonych poduszek; na dzień złożone leżały wełniane kołdry w kratkę tkane; były tam również kilimki i prześcieradła domowego wyrobu. Nad tapczanem były sze-

rokie „połacie“, gdzie mieścił się dziad Cyprjan. Do połaci w rogu był przymocowany duży drąg, zawieszony rozmaitą odzieżą: nowe kożuchy, czarne—kupne i żółte—z własnych owczyn, sukmany, kurtki, kaftany. Zwisająca z drąga odzież, zakrywała „połacie“ i oddzielała je od izby. Pod ścianą stał wypukły pakowny kufer, blachą kuty. W kufrze przechowywano stroje dziewczęce Jagny i wszelkie dobro, nabyte podczas zamężcia: płótna, obrusy, ręczniki, serwety, chustki, pasy, kaftaniki i spódnice.

Kufer ten bardzo lubiła Olesia. Czasem, gdy zostawały same z matką, otwierały kufer i zaczynały oglądać różne śliczności: pierścionki, schowane w skrzyneczce, drogie wzorzyste chustki w jaskrawe kwiaty z długiemi frendzlami, różnokolorowe wstążki. Wszystko to zbierała matka i chowała dla Olesi. Matka Jagny nie nagromadziła dla swej córki tyle mienia, ale cośniecoś wniosła Jagna w dom swego męża. W chacie i w schowanku, w stodole i w gumnie, w obórce i w chlewie wszelkiego dobra było dużo i całe to mienie rosło i mnożyło się. Ale dziś nietylko nie cieszyło ono Jagny, lecz budziło w niej wyrzuty i sprawiało przykrość.

A tymczasem robota w chacie nie kazała na siebie czekać. Z przyzwyczajenia zabrała się do niej Jagna. Trzeba było przygotować karm dla świń na noc, chleb rozczynić na jutro, wody przynieść, nałożyć drew do pieca i wieczerzę ugotować. Jagna przebrała się w swe codzienne suknie.

— Zostaw, córuchno, przęślicę. Przynieś dzieżę ze schowka, niech się w izbie ogrzeje,—zwróciła się do Olesi.

Olesia potrochu pomagała matce. Jagna chciała ją oddać do szkoły, ale Wasyl nie podtrzymał jej: Olesia i na tę zimę została w domu. Teraz Jagna postanowiła, że na przyszłą zimę będzie uczyć Olesię. Jagna była żwawa w robocie i dawała radę wszystkiemu. Sama była niepiśmienna. Wszystko, co zaszło w ostatnich czasach, zachwiało jej poglądy na trwałość określonego porządku życia. Czyż dawno Wasyl i ona, sama drżeli o swą gospodarkę, o swój dobytek? Był car, zrzucono go. Była jedna rewolucja i nowa władza, znowu się to zmieniło. Byli bolszewicy. Zaczęła się nowa wojna. Przyszli polacy. Lecz wojna z nimi nie jest skończona i co będzie dalej— niewiadomo. Dzisiejsze usposobienie Jagny było takie, że niby nie miała przeciwko powrotowi bolszewików. Bądź co bądź—swoi, a nie polacy, którzy odrazu zaczęli od aresztów.

Przed samym wieczorem wrócił Wasyl. Pychy w nim było jeszcze więcej, niż z rana. Przestąpił próg, otrzepał śnieg z przemarzłego obuwia, powiódł okiem po chacie, czy wszystko w niej jest na swojem miejscu i w porządku. Wówczas zdjął czapkę, spojrzał na obrazy, jakby dziękując świętym za szczęśliwy dzień, poczem, odąwszy policzki, — co znaczyło, że jest zmęczony, — zaczął się rozbierać.

Wasyl myślał, od czego zacząć. Występować odrazu z ważną nowiną nie należy. Tak robią dzieci. Ludzie stateczni dzielą się nowinami, zachowując pewną kolejność, wybierają odpowiednią chwilę. Chyba, że nowina jest nagła i taka ważna, że może o zawrót głowy przyprawić. Wtedy dorośli ludzie postępują dziecinnie. Spojrzawszy zukosa na Jagnę, Wasyl trochę się zawahał. Jagna uni-

kała jego wzroku. Widać, że ją coś smuci, że jest z czegoś niezadowolona.

Tej okoliczności Wasyl nie wziął pod uwagę i program rozmowy, ułożony po drodze do domu, spełz na niczem.

— No, co u ciebie słychać?—zapytał Wasyl nie podług programu.

— Nic,—dosyć sucho odezwała się Jagna.

— Lepiej, że nic, niż coś złego,—rzeczowo zauważył Wasyl. Upewnił się jeszcze bardziej, że Jagna jest z czegoś nierada i odczuł, że to on sam jest przedewszystkiem przyczyną tego niezadowolenia. Czemże konkretnie zawinił wobec niej? Wyjaśni to w ciągu rozmowy. Jednak okoliczność ta utemperowała go nieco i program jego na nic się nie zdał. Jednak, chcąc choć część jego wykorzystać, zwrócił się do Jagny tak, jak to był sobie ułożył:

— No, Jagno, możesz mi powinszować: jestem wójtem.

— A cóż to jest wójt i kto ciebie zrobił tym wójtem?—W głosie Jagny czuć było wyraźnie wrogi odcień.

Takie pytanie świadczyło conajmniej o braku poszanowania dla osoby wójta, a po drugie nosiło charakter badania. Nie przypadło to Wasylowi do gustu.

— Jaki cię giez uciął dzisiaj?

— Trzeba z ludźmi dobrze żyć, a nie z panami!

Jagna wyraźnie przymawiała mu. Wasyl zaperzył się.

— Z jakimiż to ludźmi? Może masz zamiar mnie uczyć?

Olesia ze strachem spojrzała na matkę. Bardzo się bała Wasyla, szczególniej, gdy wpadał w złość. I Jagna

również odczuła zbliżającą się burzę. Kłucić się nie lubiła, ale ustąpić nie chciała. Odezwała się nieco łagodniej:

— Panowie twoi w powietrzu wiszą. Równie szybko mogą stąd wylecieć, jak szybko przylecieli. A z ludźmi żyć musisz. Posłuchałbyś, co ludzie gadają.

— Ludzie? Tałasz i Ryl? Pluję na twoich ludzi! Takich ludzi stadem się gania, jak bydło, i do ciupy się ich pakuje. Swobody im się zachciewa? Jakiej swobody? Swawoli! Błazeństwa! Grabieży! Ale zamkną im ich nienasycone pyski, hultajom tym, obszarpańcom, jak temu staremu zbójowi Tałaszowi.

— A ty będziesz na panów harował a ludzi gubił?— nie wytrzymała Jagna.

Wasyl spojrzał na nią ze złością.

— Nie na panów, a na ciebie, kurzy mózgu. Na siebie będę robił, na dzieci, na sumiennych gospodarzy... Ludzi! Rozbójników, a nie ludzi.

Nie podług programu złożyła się rozmowa i jego wójtowska mość nie całkiem gładko i bez triumfu weszła do własnej chaty.

XX

W głuchych zakątkach Polesia nie było ani gazet, ani telegrafu, ani telefonu, — tych zdobyczy ludzkiej wiedzy, tych sposobów podawania wieści o tem, co się dzieje na świecie. Ale wieści rozpowszechniały się po głuchych poleskich wsiach. Z ust do ust, z wioski do wioski wędrowały one tysiącem dróg i ścieżynek, dowiadywano się z nich o tem, co się działo w okolicach, zajętych przez polaków. I odczuwano te wieści rozmaicie: jednych cieszyły one, budząc w nich nadzieję, innych martwiły i niepoko-

iły, zależnie od tego, kto je słyszał i jakie były wieści. Odrębnie odczuwali je również Wasyl Busyga i Jagna. Jedną z takich rozmaicie odczutych wieści była wiadomość o tem, że gromada zaaresztowanych chłopów rozbroiła polską eskortę i rozbiegła się po lasach.

Jagna wiedziała już o aresztowaniu Marcina Ryla. Posłyszawszy o rozbrojeniu eskorty poweselała odrazu: w sercu jej zbudziła się nadzieja, że wśród tych, co uciekli, był również Marcin.

Wasyl—spochmurniał. Zakradła mu się w serce obawa, że może Marcin był wśród tych, co zdołali umknąć, a nuż Marcin jest teraz wolny? Niepokoiło go również i to, że stary Tałasz kryje się po lasach. Panasa zabrano jako zakładnika, żeby dziad Tałasz przyszedł i zastąpił syna. Ale staremu wydze się nie śpieszy. Albo nie wie o aresztowaniu Panasa, albo coś niedobrego zamyśla. Wasyl, jako wójt i jako człowiek, broniący swych praw i swej swobody, powinien o tem pomyśleć i coś przedsiębrać. Może warto poradzić się swoich stronników? Nad tem pracuje myśl Wasyla...

Jagna, w sekrecie przed Wasylem, udała się do babki Nasty. Było to po zabraniu Panasa, tego dnia, gdy Tałasz i Marcin Ryl nocowali i przed świtem wyruszyli do lasu.

Babka Nasta siedziała na dębowym pieńku koło pieca, pogrążona w swe bezładne i niewesołe myśli. Stara czuła się mocno pokrzywdzona: żyli zawsze ubogo, ale przynajmniej spokojnie. A teraz, bieda jeszcze gorsza, a życie złamane. Zabrali Panasa, chcą zabrać starego i jak się tam co ułoży—niewiadomo.

W chacie, oprócz babki Nasty, nie było nikogo. Maksym i Helena—żona jego, która dziś właśnie wróciła od

ojców—piłowali drwa na podwórku. Pobrali się niedawno i dzieci jeszcze nie mieli.

Pocóż tu Jagna przyszła? Przyszła w nadziei, że dowie się czegoś o tem, co absorbowało jej myśli. Chciała wiedzieć czem żyją, co myślą ci ludzie, do których tak wrogo usposobiony jest Wasyl i jego otoczenie. Jagna nie była pewna, czy się ustali obecny przypadkowy stan rzeczy, wywołany burzliwym biegiem wypadków. Była ona na rozdrożu między bogaczami a biedotą. Motywy charakteru osobistego skłaniały ją na stronę przeciwników Wasyla, osobliwie teraz, kiedy Wasylowe gospodarstwo i jego wójtostwo, tak nieostrożnie przez niego przyjęte, mogą pójść na marne

Babka Nasta mocno się zdziwiła, gdy Jagna weszła do chaty.

— Dzieńdobry wam, babko!—uprzejmie i wesoło przywitała się Jagna. W głosie jej było tyle szczerości, że babka Nasta uspokoiła się nieco.

— Siadaj, Jagusiu!

Babka Nasta poruszyła się i nawet chciała ustąpić Jagnie miejsca na pieńku.

— Nie turbujcie się, babko! Na chwilkę wpadłam do was. Tu sobie przysiądę.

Jagna usiadła na tapczanie naprzeciwko babki Nasty.

— Przyszłam prosić was, babko,—Jagna odrazu przystąpiła do rzeczy, by pokazać, że istotnie na chwilkę wpadła:—czybyście się nie zgodzili uprząść mi trochę kądzieli? Samej trudno mi dać radę.

Kądziel była tu tylko wymówką.

Babka Nasta westchnęła.

— Czemużby nie... Można trochę uprząść. Roboty w

chacie nie tak znów dużo. No i Helena od ojców powróciła, i też nie ma nic do roboty. Ot, siedzi tylko człowiek: myśli. Myśli, myśli, a w głowie, jak w kotle wre, że niewiadomo gdzie się podziać, za co ręce zaczepić. A tu w dodatku nafta wyszła, niema czem palić, a gdzie jej dostać, licho ją wie.

Babka Nasta mówiła długo i dużo. Jedno słowo czepiało się drugiego, jedna myśl wywoływała inną, i chociaż bliższych stosunków miedzy niemi nie było, ale rozmowa toczyła się nieprzerwanie, jak przewlekły jesienny deszczyk.

Jagna słuchała uważnie, potakiwała skinieniem głowy i patrzała na babkę łagodnemi wymownemi oczyma. I ona również miała chętkę pogawędzić. A rozmowa kobieca, to cały wir słów, nieskończony ich potok.

— Mam trochę nafty. Przyślę wam przez Olesię. A co do zapłaty — to się domówimy. Kądzielą moglabym wam dać, lub omastą.

— Potem pomiarkujemy, Jagusiu.

— A cóż u was słychać?—ostrożnie i układnie spytała Jagna.

— Och, miła ty moja,—ciężko westchnęła babka.— Taka ci niedola! Takie licho nas się uczepiło!

I zaczęła babka długą tyradę o biedzie wogóle, a potem historję o lichu, które nawiedziło ich chatę. Mówiła o stożku siana, o zachowaniu się Tałasza, o tem jak w nocy polacy wpadli do chałupy. Ileż to się strachu najedli, ile wycierpieli. A biedny Panas! Gorzki płacz przerwał opowieść staruszki. Tak się rozgadała babka, że nic nie opuściła. Opowiedziała również, że tej nocy był tutaj Tałasz z Marcinem.

— Z Marcinem?—wymknęło się Jagnie.

— A moiście wy!—klasnęła w dłonie babka Nasta.— A pocóżem ja o tem mówiła! Jaguś serdeczna ty moja, nie mówże ty nikomu ani słówka! Nikomu nie mów, że oni przychodzili!

— Nie obawiajcie się mnie, babko; na dzieci przysięgnę, że nic nikomu nie powiem.

— Nie mówże, miła moja! Toś ty przecie—żona wójta. A wójt nam nic dobrego nie życzy.

Ucieszona dobrą wieścią Jagna nie mogła na szczerość babki nie odpowiedzieć również szczerością.

— Oj, babusiu! To jego wójtostwo kością w gardle mi stoi. Poswarzyliśmy się o nie. Kto cię, powiadam, wójtem wyznaczył? Poco ci się, powiadam, z panami wąchać! Z ludźmi musisz żyć, powiadam, i z nimi w zgodzie być musisz. Nie w smak mu poszło. Z jakimiż to ludźmi?—powiada. Z Tałaszem? Z Marcinem?.. Strzeżcie się wy go, babko, głupi i zły z niego człowiek. Więc uprzedzam was i ostrzegam przed nim. W Wieprach gadają, że to on Marcina wydał... Ależ i wy, babko, nikomu—nikomu nie mówcie, że to wszystko ja wam powiedziałam.

Jagna, tak samo jak i babka, przelękła się, że powiedziała za dużo. W rezultacie, tak jak w algebrze: minus na minus—daje plus. To zbyteczne, co powiedziała jedna i druga—zmuszało je do milczenia i, jednocześnie, było początkiem wzajemnego zaufania.

Wasyl wstąpił do swego przyjaciela Konrada Birki. Birka był dobrym gospodarzem, choć skąpym i dusigroszem. Ruda, jak ogień, broda i takież włosy, maleńkie chytre oczki świadczyły o jego drapieżnej i okrutnej na-

turze. Przyszedł też Szymon Bruj, chłop z pozoru stateczny, rozważny i spokojny. Wszyscy oni — to bliscy przyjaciele i najzamożniejsi gospodarze w całej wsi. I Konrad i Szymon żywo zareagowali na oświadczenie Wasyla, że jest wójtem. To w znacznej mierze dodało ducha Wasylowi. Potrzebne mu było przedewszystkiem moralne poparcie i współczucie, czego nie znalazł u Jagny. Gdy zaś Konrad i Szymon zapoznali się z obowiązkami wójta, ich zadowolenie spowodu mianowania Wasyla wójtem jeszcze bardziej się wzmogło.

Stateczny i rozważny Bruj uroczyście oświadczył świeżo upieczonemu wójtowi:

— Fundacja się od ciebie, bracie, należy! — Wasyl Busyga wyraził zgodę na tę propozycję. Mrugnął nawet znacząco i przyznał się, że ma polski spirytus pod ponętną nazwą „Złoty kłos“ oraz zaprosił obydwuch kamratów na wieczór do siebie. Poczem rozpoczęła się pogawędka, odpowiadająca godności wójta.

— A więc — wójt?

W te zwykłe słowa Konrad Birka włożył głęboką treść.

— Wójt! — dumnie poświadczył Busyga.

— Jeśliś wójt, to powinieneś porządku dopilnować, — wtrącił się do rozmowy Bruj. — A toć na nasze głowy kłonice już szykowano! Ręce „towarzyszy“ swędziły...

Tu nagle Konrad wpadł w złość.

— Jak tu dopilnować, jeśli, między nami mówiąc, polscy żołnierze — to baby: jakże można było dopuścić, żeby ci sami „towarzysze“ gołemi rękami rozbroili eskortę? Śmiechu to warte! A teraz złapże ich, spróbujno zła-

pać! Zaszyli się w lasy, we dnie ich ze świecą nie znajdziesz. I czyż oni będą tam siedzieć spokojnie?

— Nie będą siedzieć, już nie siedzą! A przyjdzie wiosna, wtedy, bracie, rozmachu nabiorą. Oddaj im wszystko, i ziemię, i gospodarkę. A ta gospodarka sama do rąk ci przyszła?

Tu znowuż Bruj wygłosił znane każdemu z nich przemówienie, czemu jedni żyją i chleb mają, a inni jeno na cudze dobro są łasi.

Wysłuchawszy przyjaciół, sam pan wójt głos zabrał. Przedewszystkiem—uspokoił ich.

Nic w tem niema strasznego, że eskortę rozbrojono. Zdarzały się takie wypadki i będą się zdarzać, świat z tej racji naopak nie poszedł. Ale i oni nie powinni siedzieć z założonemi rękami i czekać, aż przyjdą dobytek ich dzielić.

— Cóż mamy robić, może do partyzantów przystać?—ozwał się Konrad.

Rozważny Bruj podtrzymał rzuconą myśl.

— A przecież prawdę rzekł! Nieźleby było własnych partyzantów mieć!

— Masz rację, Szymonie. Trzebaby było znaleźć człowieka i podesłać do nich, jako ich zwolennika,—uczepił się wójt tej myśli.

Kamraci znaleźli sposób. Taka kombinacja wszystkim przypadła do gustu. Zaczęto wyszukiwać odpowiedniego człowieka. Wymieniano kandydatów. A kandydatów nigdy nie brak na świecie. I przyjaciele znaleźli odpowiedniego. Bruj nazwał kandydata, dwaj pozostali zgodzili się nań. Tym kandydatem okazał się Sawko Milhun.

Kimże był Sawko Milhun i na czem polegały jego zalety, jako kandydata?

Przedewszystkiem Sawko—to człek z rozmachem, szeroka natura i leń zawołany. Gospodarką się nie zajmował, hulał, pił, trochę kradł i bratał się z różnem tałałajstwem. Można go było wynająć do wszelkiego rodzaju sprawek.

Kombinacja trzech przyjaciół polegała na tem, żeby namówić Sawka, za określone wynagrodzenie, przyłączyć się do zbiegów, którzy powstali przeciwko bogaczom, nawiązać z nimi łączność i informować, co się u nich dzieje. Krótko mówiąc, trzej druhowie wyznaczyli Sawkowi rolę prowokatora i denuncjanta. Tymczasem po wsi gruchnęła wieść o wypadkach w Wieprach. Wieść ta silnie wzburzyła mieszkańców. Ale i teraz rozmaicie na nią reagowano.

Wasyl Busyga ucieszył się bardzo. To, że polacy spalili chałupę Marcina, świadczyło, że poszukują i Marcina i całej jego kompanji, oraz, że się pomszczą za rozbrojenie eskorty.

Jednocześnie ogarnął go niepokój. Kimże jest ów nieznany człowiek, który jednego z polskich żołnierzy zastrzelił, a drugiego ranił? Nie ujęto go przecież. Może to Tałasz? A może Marcin?

Jagna, dowiedziawszy się o wszystkiem, mocno się zaniepokoiła. Czemu spalono chatę Marcina? Gdzież się podzieje jego rodzina? Za co zabito Konrada Busa, z którym się kiedyś przyjaźniła, który ją kochał? Przypomniało jej się, jak wracała z Marcinem z Prypeci, jak ją spotkał Konrad, jak poszła z nim w jego objęciu. Marcin wówczas rozgniewał się i nie przyszedł do niej. Wszystko to stanęło jej w oczach. Teraz Jagna potępiła

swe lekkomyślne zachowanie się. Wiadomość o śmierci Konrada i o spaleniu jego obejścia wywarła na Jagnę ciężkie wrażenie. Pocieszała ją tylko myśl, że jednak ktoś nieznany pomścił Konrada, i że go nie ujęto. Któż to jest tym mścicielem? Może Marcin z dziadem Tałaszem? To było prawdopodobne: wszak obaj byli tu dzisiaj.

Pierwszy przyszedł do wójta Konrad Birka. W izbie była tylko Jagna i młodsze dzieci. Jagna stała przy piecu i poprawiała widełkami drwa. Konrad przywitał się i przystanął koło kobiety. Nigdy nie ominął sposobności zaczepić ją.

— Oj, zimno, Jaguś! Czy można się pogrzać przy tobie?

To mówiąc zbliżył swój rudy pysk do twarzy Jagny i objął kobietę wpół. Jagna szarpnęła się gniewnie, lecz zaraz załagodziła, że lubi rudych.

Uwolniła się z jego objęcia, lecz natychmiast pohamowała się i łagodnie zajrzała mu w oczy tak, jak to tylko ona spoglądać umiała.

— Patrzcie-no go, jaki mi to wojak: kobietę napastuje! Poszedłbyś lepiej do lasu i tam powojował!—Maleńkie oczki Konrada zasnuła mgła.

— Wcale nie napadam na ciebie... Uważam za szczęście dotknąć się do ciebie! Eh!—zmienił nagle ton,—żebyś ty nie była żonką wójta!.. Ale wójta mi żal. A wojować nie pójdę: my zamiast siebie wojaka poślemy!

I opowiedział Jagnie o kombinacji z Sawkiem. Takiej urodziwej kobiecie, choćby tylko dobrą nowiną dogodzić! Opowiedział i roześmiał się ze złośliwem zadowoleniem.

XXI

Nietylko w Wirkuciach, lecz i w wielu innych majątkach okupowanego Polesia urządzali panowie wspaniałe bankiety na cześć polskiego oficerstwa. Szlachta polska przeżywała miodowy miesiąc odrodzenia swej państwowości, możność wcielenia w życie wiekami wypiastowanych nadziei. Ci obszarnicy, którzy wrócili do swych majątków, czuli się w siódmem niebie.

Wślad za armją polską płynęły całe fale wielkiej i drobnej szlachty, wygnanej ze swych siedzib przez rewolucję, śpieszyli przedstawiciele kultów religijnych, oraz cała sfora innych darmozjadów i pasorzytów. Trzeba było nietylko znaleźć miejsce, lecz również wyznaczyć role całej tej zgrai uprawnionych maruderów.

Tym razem do urządzenia bankietu zabrał się sam komisarz powiatu, pan Królewski. Bankiet ten miał specjalne znaczenie.

Dobra pana Długoszyca—to jeden z najwspanialszych majątków w powiecie. To kolebka starego polskiego rodu. W ciągu wieków majętność przechodziła z ojca na syna, jako uprawomocniona wiekami, nienaruszona spuścizna. Jedynie za ostatniego właściciela, Leona Długoszyca, zachwiało się to dziedzictwo pod tchnieniem wielkiej rewolucji. Leon Długoszyc zmuszony był opuścić swe dobra. Teraz pan Leon wrócił do swego rodowego gniazda.

Dość było pobieżnego rzutu oka na pałac, na zabudowania dworskie, na cały majątek wogóle, by się zorjentować odrazu, że jest to staroświecka rezydencja starego zamożnego rodu polskiego. Potężne topole i rozłożyste

lipy wspaniałym wieńcem otaczały pańską siedzibę. Na wzgórzu, ujęty w ramy gęstego sadu o szerokich alejach i równiutkich dróżkach, stał biały murowany pałac, wznosząc wysoko swą czworoboczną wieżycę, zdobną w rzeźbione ornamenty.

W samym pałacu, w jego licznych komnatach, w przestronnych salonach, gdzie mogły się zmieścić setki ludzi, zgromadzono niezmierne bogactwa i wspaniałości. Wiele z tych bogactw zginęło podczas rewolucji i pan Leon Długoszyc, wróciwszy z wygnania, postawił na nogi całą armję sługusów, by odnaleźć stracone mienie.

Rozbłysły, zapłonęły jarzącem światłem okna pałacu pana Długoszyca, wpatrując się w najciemniejsze zakątki dworu oraz w ponure lasy i bagna Polesia, przyczajonego w swem niepokojącem milczeniu.

Wieczorem, gdy na lasy i moczary spłynął gęsty mrok, zaczęli się zjeżdżać goście. Jak to jest przyjęte w takich wypadkach, najpierwiej zjawiały się mniej znaczne osoby, właściciele drobnych folwarków, dzierżawcy niewielkich majątków z żonami i córkami, jeżeli kto je miał. Na taką uroczystość szlachta wkładała na siebie i na swe konie wszystko, co było najlepszego w domu. Służba nie czuła nóg, przyjmując gości i odprowadzając ich powozy i bryczki.

Pan Leon, spotykając każdego nowego gościa, ujawniał wszystkie cechy uprzejmego i gościnnego gospodarza domu: kłaniał się uprzejmie, serdecznie ściskał dłonie, rzucał, odpowiednio do okoliczności, słówko.

Znaczną część gości stanowili wojskowi. Był również i pan pułkownik Dembicki. Wśród wojskowych i cywilów snuły się postacie księży w długich sutannach.

Wobec powagi i uroczystości momentu politycznego „święci ojczulkowie“ pozwolili sobie na pewną swobodę, przybywając na bankiet. Odstępowali oni również od przepisów księżego statutu w stosunku do kobiet, okazując się bardziej kawalerami, niż służkami bożemi. Coprawda, panienki i młode damy bardziej lgnęły do wojskowych. Zwiędłe natomiast nieco pod wpływem czasu damy, kręciły się koło księżulków.

Po pewnym czasie goście podzielili się na grupki. Każda grupa prowadziła właściwą sobie rozmowę.

Bez przerwy grzmiała orkiestra wojskowa. Dziarskie polskie tańce zmieniały się ciągle. Panny i młode panie starały się prześcignąć wzajemnie urodą, wdziękiem ruchów, czarem swych dziewczęcych uśmiechów, wabnością spojrzeń swych ocząt. Kawalerowie wyłazili ze skóry, by zwrócić na siebie ogólną uwagę i zaćmić innych.

Koło pana pułkownika Dembickiego zgrupowała się gromadka gości. Był tu również pan Leon Długoszyc, mężczyzna w średnim wieku. Cała jego postać świadczy o arystokratycznym rodzie. Jest solidny i flegmatyczny, zawsze we wszystkiem zachowuje miarę i poczucie własnej godności.

Księża Ksawery Pociejkowski i Jan Gałęzowski—to również ludzie szanowni: zręczni dyplomaci, przebiegli politycy, zawzięci patrjoci—więcej dbają o sprawy ludzkie, niż myślą o dziełach bożych. Jest tu również i komisarz powiatu, pan Królewski, adwokat Ładuński i kilku drobnych panków, co jeszcze nie zdążyli dobrać się do swych majątków.

Najpierw rozmowa toczyła się na tematy wyłącznie

wojenne. Ośrodkiem uwagi—pułkownik Dembicki. Słuchają go z natężoną uwagą. Pan pułkownik opowiada o różnych operacjach w wojnie z bolszewikami, w których brał bezpośredni udział, jako kierownik tych operacyj i szef sztabu dywizji. Bywały momenty krytyczne i jedynie wiedza pana pułkownika, jego niezwykle śmiałe, rzec można, genjalne fortele ratowały zawsze sytuację. Opowiadając, pan Dembicki palcem kreśli linje na stole, pokazuje pozycje czerwonych i posuwanie się naprzód oraz miejsce, skąd wysyła swe odwody.

— A jak się pan pułkownik zapatruje na dalszy przebieg działań wojennych?—pyta pan Leon, opierając na dłoni gładko wygolony podbródek.

Na jego twarzy, jak również na obliczach innych słuchaczy, błądzi uśmiech zadowolenia.

— Popędzimy ich, psiakrew, aż do Smoleńska,—mówi dumnie pan pułkownik i udowadnia swe twierdzenie dziesiątkami rozmaitych kombinacyj.

Przedewszystkiem Polska—ta nietknięta jeszcze młodość—kryje w sobie olbrzymie możliwości. Obecnie zaś—toć to sam zapał, sam entuzjazm! Polacy—to najbitniejszy, najbardziej wojowniczy naród na świecie. Jan Sobieski, Stefan Batory, Kościuszko, marszałek Piłsudski—czyż mało mówią te imiona? Potęga Polski—to jej demokratyzm, jakiego nie zna żaden naród!..

I sam pan Dembicki i jego słuchacze skierowali przytem wzrok na człowieka, który siedział w ich gronie, lecz całkiem do nich nie pasował. Człowiek ów słuchał gawędki panów, lecz miał własny pogląd na rzeczy, chociaż zdania swego nie wypowiadał.

Z twarzy i z postaci i ze sposobu bycia, a nawet z układu swych myśli—człowiek ten wyróżniał się w tem towarzystwie. Średniego wzrostu, szeroki i przysadzisty, całą swą powierzchownością podkreślał swe demokratyczne pochodzenie. Nieduże myślące szare oczy patrzały gdzieś wgłąb.

Napozór miał lat ze trzydzieści. Nazywał się—Halinicz.

Wyraziste spojrzenia skierowane na Halinicza zmusiły go wreszcie, tak lub inaczej, odezwać się na słowa pułkownika o wielkim polskim demokratyźmie.

— Proszę panów, my białorusini, uznajemy należycie demokratyczność polskiego narodu,—ozwał się wreszcie Halinicz.—I nietylko uznajemy, lecz wysoce ją cenimy. Związaliśmy los białoruskiego narodu z losami wielkiej polskiej nacji jeszcze dlatego, że i w przeszłości losy ich były identyczne. Nie na azjatycką bolszewicką Moskwę, lecz na demokratyczną europejską Warszawę orjentujemy się.

— Rzecz jasna!—potwierdził ksiądz Gałęzowski.

Panowie Długoszyc, Dembicki i inni nie byli zachwyceni tem, że Halinicz stawia na tym samym poziomie naród polski i białoruski. Było to ujmą dla ich honoru, ale jako przebiegli politycy, odpowiedzieli na to skinieniem głowy.

Jednak pewien cień niepokoju ogarniał towarzystwo. Można go było odczuć w pytaniu pana Królewskiego.

— Ale, psiakrew, chłopstwaśmy nie uspokoili. Co to będzie?

Pan Dembicki spochmurniał nieco.

— A to, panie, głupstwo!—rzucił lekceważąco.

Nieprzyjemnie było w tak uroczystej chwili mówić o chłopach, tem bardziej, że „chłopstwo" kryło się po lasach. Ta okoliczność mimowoli przypomina panom ich własną tułaczkę podczas buntów, kiedy to oni sami zmykali do lasu.

— To nie jest głupstwo, panie pułkowniku!—ostrożnie zaprzeczył panu Dembickiemu adwokat Ładuński:—obawiam się, że niedocenianie siły ruchu chłopskiego może wywołać niemało przykrych niespodzianek. Powstanie chłopskie, to odgałęzienie tegoż bolszewizmu, tego samego ciemnego instynktu, który istnieje w naturze człowieka, osobliwie zaś w naturze ciemnych mas. Powstania chłopskie wybuchają pod bolszewickiemi hasłami i są pod bezpośredniem kierownictwem bolszewików—i na tem polega ich niebezpieczeństwo. W czem leży siła bolszewizmu? W jego hasłach i wezwaniach do niszczenia. Bolszewicy doskonale znają naturę hołoty i apelują do jej ciemnych instynktów.

— Aa!..—odezwał się ktoś z obecnych.—Pana Ładuńskiego nastraszyli bolszewicy, więc ich uważa za potęgę!

A muzyka grzmiała.

Weseliła się młódź szlachecka. A gdy się nabawiono i nagadano, goście zasiedli do stołu.

Huczny, wspaniały był bal w pałacu pana Długoszyca pod ochroną baonu polskich żołnierzy. Wznoszono patrjotyczne toasty. Wiwatowano na cześć państwa polskiego, marszałka Piłsudskiego, wojska polskiego w osobach generałów i pana pułkownika Dembickiego, gospodarzy, osób duchownych i najurodziwszych polskich kobiet.

XXII

Dogadać się z Sawkiem Milhunem podjął się Bruj. Wybrał stosowną chwilę i na odwieczerz o zmierzchu skierował się ku Sawkowemu obejściu. Bruj wszedł do izby i stanął w progu. W izbie nikogo nie było. Zawrócił i chciał już iść spowrotem, gdy od pieca ozwał się głos:

— Kto tam?

— Czyś to ty tutaj, Sawko?—spytał Bruj.

— Ja!—spokojnie odezwał się Sawko, niezbyt pośpieszając na wezwanie.

Nie chciało mu się ruszyć: w izbie było zimno, a piec był ciepły.

— Jak się masz, Sawko! Co tam robisz?

— Leżę ci sobie i rozmyślam.

— A no, i to też robota, gdy niema nic lepszego... A o czem to rozmyślasz?

Bruj zaszedł z drugiej strony pieca, bliżej do Sawka. Sawko chciał wstać, lecz się rozmyślił i zdecydował odpowiedzieć gościowi leżąc.

— Rozmyślam, czemby się tu zająć. Robić coś trzeba, a co mam robić, ani rusz nie wykalkuluję.

Przytem Sawko pomyślał: „Ciekaw jestem pocoś ty tu przyszedł?"

— Oj głowo ty, głowo! Roboty sobie nie znajdziesz... Toć z ciebie nierób. Roboty nie lubisz.

— Jakto nie lubię. To zależy, jaka robota.

— Śmiech bierze, że człek sobie roboty znaleźć nie może.

„Czyś ty czasem nie przyszedł wziąć mnie do jakiej

swojej roboty. Co nie, to nie, braciszku. Niema głupich! Do ciebie pracować nie pójdę“—rozmyślał Sawko, a głośno dodał:

— Człek szuka roboty odpowiedniej dla siebie.

— Leń z ciebie, Sawko. Ot, co ci powiem. W takich czasach, żebyś ty dla siebie roboty nie mógł znaleźć!

— No, powiedz, czemże mam się zająć?

Sawko zdobył się na stanowczy wysiłek i usiadł. Odczuł, że Bruj ma coś takiego powiedzieć, czego warto wysłuchać siedząc.

— Powiedz-no mi ty, bratku, ot co,—widać było, że Bruj przechodzi do rzeczy—do jakiej ty partji należysz?

— Jakto do partji?—podrapał się w głowie Sawko.

— A tak! O kogo stoisz?

— Ja? O nikogo... Sam o siebie stoję.

— Otóż to właśnie niedobrze. Gdy ty o nikogo nie stoisz, to i o siebie nie stoisz... Spójrzno, jak ty żyjesz? Zimno, ciemno, pusto...

— No, to niezawsze tak bywa,—zaprzeczył Sawko,—czasem pusto, a czasem tłusto.

— Słuchaj-no, Sawko: jest jedna sprawa. Weź się do niej... Żałować nie będziesz. Będzie tłusto...

Sawko zrozumiał, że rybka zaczyna brać.

— Mów o co idzie?

— Ot co! zrób się ty partyzantem.

Sawko pomyślał, poczem odciął:

— Nie chcę!

— Nie rozumiesz-bo, w czem tu sęk.

— Sęk dobry, gdy jest nim co zatkać,—oświadczył Sawko.

„Zamyślasz ty, bratku, jakieś licho! Czuję—omastą tu pachnie",—myśli sobie Sawko.

Bruj się obraził.

— Jeżeli cię nie ciekawi, o co tu idzie, to niema o czem mówić.

Bruj umilkł. Milczał i Sawko. Rozważał sobie: wyjdzie za drzwi, to go zawołam. Ale Bruj nie wychodził.

— Czemu ty światła nie masz?—spytał.

— Dzieci u sąsiada się bawią. Żona do matki poszła. A ja, zanim nie wymyślę, co mam robić, światła nie potrzebuję.

— Ciężko ci idzie z myśleniem.

— Rozmaite bywa myślenie.

— Więc partyzantem być nie chcesz?

— Nie, nie chcę!

Wreszcie znudziła mu się widać ta gra w ciuciubabkę, bo dodał:

— Nie mędrkujcie, panie Bruj, mówcie prosto z mostu.

— A więc posłuchaj. Człek z ciebie taki, do którego pretensji nie mamy. Czymeś się ty tam zajmował, nie wiemy. Dzielić nas nie miałeś zamiaru. Ale byli „towarzysze", co na nasz dobytek chciwie spozierali i ręce wyciągali po nasze mienie. Teraz po lasach kryją się oni i w szajki zbójeckie się łączą. Ale nic dobrego z tego nie będzie. Porządek zaś być musi i mieć się na baczności trzeba. Ot, podjąłbyś się ich śledzić. A w tym celu powinieneś do partyzantów przystać. Tobie oni uwierzą, a wojować niekoniecznie musisz. Dowiedz się tylko, gdzie się oni ukrywają i co zamierzają, i uprzedzaj nas zaw-

sze przez wójta, Wasyla Busygę. Oto cała twoja robota. A zapłatę niezłą będziesz miał: chleba ci nie zbraknie i do chleba w dodatku coś będzie i grosiwo się znajdzie... Niedostatku w niczem nie zaznasz.

Sawko rozważał skomplikowaną całość tej roli, do której namawiał go Bruj, ze wszystkiemi jej dodatkami i ujemnemi stronami. Odrazu poczuł pod nogami twardy grunt oraz szerokie pole działania.

W izbie było ciemno i Bruj nie mógł śledzić gry twarzy Sawka. Czekał więc cierpliwie, aż Sawko się namyśli, a sam rozważał, czy zręcznie Sawka zahaczył.

— „Czym się nie pośpieszył?"—miarkował roztropny Bruj i z pewnym niepokojem oczekiwał, co powie Sawko. Ten zaś odrazu odczuł strategiczną dogodność swej pozycji, lecz oceniał swą rolę oraz sposoby jej wykonania.

— A cóż wy mi za to dacie?—spytał wreszcie.

Roztropnemu Brujowi jakby kamień spadł z serca.

— O zapłatę domówimy się łatwo, nie pokrzywdzimy ciebie.

Każdy taki układ i zakończenie targu zwykle zaczyna się od poczęstunku. Bruj zaprosił Sawka do rudobrodego Birki, jak to zawczasu było umówione. Tam również miał przyjść Busyga.

Spotkali się u Birki.

Pili samogon, jedli skwarki. Tu wspólnie określono obowiązki Sawka i domówiono się również co do zapłaty, przyczem za podstawę wzięto system premjalny—za większą staranność, zapłata ponad normę, im większy wynik, tem znaczniejsze premjum.

Podejrzliwem, czujnem spojrzeniem ogarnęła Jagna Wasyla, gdy przysłano po niego od Birki i Wasyl wyszedł z chaty.

Od owego dnia, kiedy to Jagna tak nieprzychylnie przyjęła wieść o wójtostwie męża, małżonkowie prawie nie rozmawiali z sobą. Coprawda, Jagna rada byłaby się pogodzić—miała w tem swoje kombinacje i pierwsza czyniła kroki w tym kierunku, ale Wasyl się zaciął i był głuchy na wszystko. Mówił z nią rzadko i to jedynie w sprawach gospodarczych.

Zacięła się tedy i Jagna. Teraz miała na to prawo, jako obrażona i pokrzywdzona kobieta. W duszy zaś rada była temu, co zaszło, ale z natury była trochę artystką i zręcznie grała swą rolę znieważonej żony.

— „Dokądże to on poszedł i poco?"—korciło Jagnę. Uderzyła ją myśl, że kryje się w tem jakaś zmowa. Przypomniały jej się słowa rudobrodego Birki, co do partyzantów. Wszystko to zaciekawiało i niepokoiło kobietę. Strach ją nagle obleciał. Sytuacja jej była niewyraźna. Przypomniała sobie babkę Nastę, pogawędkę z nią. Jak żywe stanęły jej w oczach ostatnie wypadki w Wieprach. Życie snuło dookoła niej lepkie nici, w których łatwo można się zaplątać, jak mucha w pajęczynie. Usunąć się na stronę od tego wszystkiego Jagna już nie mogła. Musi wiedzieć co się dokoła niej dzieje i nie chodzić, jak ślepa. Musi nareszcie na coś się zdecydować i pójść raz na zawsze pewną i prostą drogą.

Jagna ubrała się w kożuszek, zręcznie oblegający jej kibić, narzuciła na głowę ciepłą chustkę i wyszła z chaty. Zatrzymała się u furtki. Ciemna noc gęsto zatkała mrokiem ulicę, chaty i podwórka. Mało i nieśmiało świeciły

okienka. Ulicą zrzadka przesuwały się samotne postacie ludzkie.

Jagna postała chwilę, potem stanowczym krokiem skierowała się ku chacie Konrada Birki. Chciała sprawdzić swe domysły.

Chata Birki stała opodal po drugiej stronie ulicy. Oglądając się, ostrożnie weszła Jagna w obejście. Cichuteńko otworzyła furtkę i przyczaiła się za węgłem, by nikomu nie rzucać się w oczy. Nasłuchując, wysunęła głowę w pasmo światła, bijącego z okna. Była wzruszona, jak człowiek, zmuszony do podglądania, ryzykując, że zostanie ujęty na gorącym uczynku. Po izbie snuły się cienie, niejasno dolatywał przygłuszony gwar głosów. Dojrzeć, co się dzieje w chacie, trudno było. Jagna skuliła się, przemknęła na drugą stronę i znów zajrzała w okienko. Przez czysty, niezasnuty mroźnemi kwiatami, kawałek szyby spostrzegła pijących przy stole mężczyzn.

Dwie osoby przykuły uwagę Jagny: jej Wasyl i smagły chuderlawy Sawko Milhun.

Teraz Jagna nie miała żadnych wątpliwości: Sawka najęto, kupiono za pieniądze i popchnięto na ciemne dzieło zdrady. Po Sawku można się wszystkiego spodziewać. Strach i wstręt ogarnęły kobietę. Nie miała poco dłużej tu pozostawać. Tak samo cicho, jak cień wydostała się na ulicę i wróciła do domu. Tu dopiero uspokoiła się i serce jej zaczęło równiej uderzać.

Dziad Cyprjan drzemał już na swych „połaciach“, czy też może rozmyślał o wypadkach ostatnich kilku dni. Nie sprzyjał dziad temu zamętowi i nic z tego, co się na świecie działo, nie rozumiał. Był święcie przeko-

nany, że całe piekło zrobiło się dlatego, że obalono cara. Był car, był porządek—dobry czy zły, ale porządek i kto chciał pracować, ten miał pracę i kawałek chleba. Niczego dobrego nie spodziewał się teraz dziad Cyprjan na świecie. Ale kto go posłucha, kiedy młodzi teraz własnym rozumem się rządzą?

Młodsze dzieciaki Jagny, dwaj chłopcy, spali beztroskim snem szczęśliwego dzieciństwa.

Nie spały tylko Olesia i Jagna. Obie siedziały przy kominku, przędły i gawędziły cichutko. Olesia dziecięcym instynktem wyczuwała ojcowską niechęć do siebie i pod wpływem tego, dziecko było skrępowane w uczuciach i przytłoczone ciągłym lękiem i niepewnością. W ostatnich zaś dniach ten strach i niepokój jej dziecinnego serduszka wzmogły się jeszcze bardziej, gdy niełaska ojcowa spadła i na matkę. Olesia gubiła się w domysłach, czemu tak się dzieje, ale nie mogła wytłumaczyć sobie przyczyny postępowania ojca. To, co mówili przy niej w izbie starsi, budziło w jej serduszku niejasne i pełne trwogi myśli o ludzkiem okrucieństwie i niesprawiedliwości.

XXIII

Niewysoki szczupły człowiek idzie równym krokiem przez las. Las, spowity białą szatą zimową, zamarł w uroczystej ciszy i spokoju. Taki łagodny spokój bywa tylko w chwilach zamyśleń o tajemniczych zachłannych głębinach życia, lub wtedy, gdy zanika wszelka troska, i nic nie mąci serca ani myśli—a człowiek odczuwa całkowitą harmonję z tem, co jest nad nim i dokoła niego.

Niewysoki, szczupły człowiek w miejskiej odzieży,

przystosowanej do pieszych wędrówek, zdaje się być całkowicie pochłonięty urokiem tej leśnej ciszy i spokoju.

Od czasu do czasu wpatruje się w las, w oryginalne sploty drzew, w dziwaczną ich gmatwaninę. Bo też trudno nie zwrócić uwagi choćby na tę oto grupę... Człowiek uważnie wpatruje się w nią swemi szaremi, chłodnemi oczyma. Stoi rozłożysty dąb. Szeroko rozrzucił potężne konary, a koronę pochylił nieco ku słońcu. Poprzez gałęzie dębu przesuwa okrągłą głowę wysmukła osina. Z drugiej strony wysoki cienki świerczek poprzez gałązki dębu również pręży ku słońcu swe zielone, kłujące dłonie. Tam, gdzie gałęzie łączą się z sobą, kora na nich się starła. Teraz zastygły one w bezruchu, lecz kiedy wicher, śpiesząc swą drogą, przebiega nad lasem, obnażone z kory gałęzie skrzypią głucho.

Niewysoki szczupły człowiek badawczym wzrokiem łowi te szczegóły. Raz jeszcze ogarnia spojrzeniem oryginalną grupę i budzi się w nim pytanie: co to—walka o byt, czy też przyjaźń i zgoda? Niewysoki szczupły człowiek wogóle niedowierza ani tej ciszy, ni spokojowi leśnemu. Ta cisza i spokój to tylko zwodnicze pozory. Na szerokich przestrzeniach ziemi wre wir walki okrutnej i bezlitosnej, nie bezładnej i chaotycznej, lecz podporządkowanej określonym prawom.

W wirze tej walki burzliwej niewysoki, szczupły człowiek odczuwa do głębi istoty narodziny nowej ery i utrwalenie się jej na ziemi. Dlatego to z taką swobodą porusza się wśród tego wiru.

Niewysoki szczupły człowiek—to siewca burzy: z burzy powstanie nowy ład i nowy narodzi się człowiek.

Ten siewca burzy—to Niewidny, ten sam towarzysz

Niewidny, czyje nazwisko i osoba w takie zdumienie wprawiły dziada Tałasza. W zanadrzu ma Niewidny sporą paczkę. W paczce—odezwy do chłopów okupowanego Polesia, instrukcje dla nielegalnych organizacyj bolszewickich, tych tajnych źródeł, ożywiających idee walki klasowej i stanowiących oporę Sowietów na peryferji. Paczka zawiera również sporo materjałów, pisanych ręką wroga klasowego i skierowanych przeciwko bolszewikom. Jest tu odezwa okupacyjnych władz polskich do obszarników, wzywająca ich do powrotu i zajmowania swych „prawowitych" majątków i siedzib, w których włościanie winni im zwrócić dobytek, zabrany w czasie rewolucji i rządów władzy Rad.

Niewidny sumiennie zbiera te materjały, z temi materjałami w ręku prowadzi agitację przeciwko okupantom i demaskuje ich istotne oblicze. Ryzykując głową, przechodzi z miejsca na miejsce, organizuje nowe komórki, podtrzymuje, dopomaga już istniejącym. Teraz idzie do wsi Postawy. Druga to już jego wyprawa w te strony. Był już w Postawach, gdy wieś była w ręku czerwonych. Miał tam kontakt i znajomości. Interesuje go, co się stało z organizacją, którą założył był w Postawach i o której nic teraz nie wie. Musi się dowiedzieć, jak ona żyje i czy żyje wogóle.

Najbardziej przykrą rzeczą jest stan całkowitej nieświadomości. Co wie Niewidny o wsi Postawy? Nic. Wie tyle tylko, że wieś jest w ręku polaków, że w Postawach, jak w każdej wsi okupowanej, są szpiedzy i agenci polscy, że od czasu do czasu bywają tam polskie podjazdy i najazdy. Oto dlaczego Niewidny idzie ostrożnie. Wie on dobrze, jak bacznie śledzą żandarmi, policja i polska

defenzywa takich niebezpiecznych ludzi, jak on. Wie, co go czeka, jeśli trafi w ich ręce. Żal nietylko życia, lecz szkoda również tej roboty, którą mu poleciła partja.

Zanim wszedł do wioski, Niewidny zatrzymał się w wierzbowych zaroślach nad zamarzniętą rzeczką i począł się przysłuchiwać i przyglądać. Wieś była cicha i bezludna. Niewidny stał i cierpliwie oczekiwał dogodnej chwili, by wyjść ze swojej zasadzki. Ale chwila taka nie nawinęła się.

I nagle gdzieś od rzeczki rozległy się głosy dziecięce. Za kępami obnażonych krzaków kręcili się chłopaki w wieku szkolnym. Było ich pięciu. Utorowali nogami wąskie ścieżki na lodzie i ślizgali się zawzięcie: jedni na drewnianych klockach, przymocowanych do łapci, inni na własnych nogach, obutych w takież prymitywne łapcie. Ubrani byli w stare sukienne sukmanki, podpasane kolorowemi, utkanemi w domu, pasami. Dokoła nóg zabawnie fruwały spodnie z grubego płótna. Spod rozchełstanych sukmanek świeciły nagie piersi. Czapki mieli najrozmaitsze, niepomiernie duże, zimowe albo zwykłe letnie. Lecz chłopakom było wesoło. Rozmawiali głośno, czasem się kłócili, i śmieli się donośnie. Niewidny odczuł jakowąś radość, gdy do jego uszu doleciał ten szczebiot głosów dziecięcych, a postacie ich ukazały się przed nim. By ich nie spłoszyć, ostrożnie wyszedł z krzaków, i powoli skierował się ku nim, pogwizdując jakowęś melodję wesołej piosenki. Chłopcy nagle umilkli i spoglądali nieufnie.

— Bawcie się, chłopaki, nie bójcie się.

— My się ta nie boimy!—odważnie odezwał się jeden z gromadki.

Niewidny się zbliżył. Chłopcy niezbyt mu jednak ufali, gdyż spozierali nań badawczo i przerwali zabawę.

— Czemuż to wy, dzieciaki, do szkoły nie chodzicie, a ślizgacie się?

— Nauczyciela niema!—chórem odpowiedziały dzieci.

Niewidny nie ukrywał swego niepokoju.

— A gdzież jest wasz nauczyciel?

— Polacy go zabrali.

— Aresztowali?

— Aha!—ozwały się głosy.

Niewidny zmieszał się. Wiadomość ta zaskoczyła go.

— A kiedyż go aresztowano?

— Wczoraj.

Zapanowała cisza. To, że tego nieznajomego interesuje ich nauczyciel, dobrze usposobiło dziatwę dla niego.

— A powiedzcie-no mi, czy Niczyper Borejko w domu?

Zdania chłopców były podzielone. Jedni mówili, że w domu, inni, że go niema. Dziatwa całkiem oswoiła się z Niewidnym i uważała go za swego człowieka, z którym można śmiało rozmawiać. Odpowiadali kupą, ale w bardziej zawiłych momentach, gdzie odpowiedź powinna była być ostrożna i dyplomatyczna, odpowiadał najstarszy z nich, Mikita Hulik. Ten rozporządził się natychmiast i posłał na wieś Michałka Krupkę dowiedzieć się, czy Borejko jest w domu. By zakończyć spór, wtrącił się i Niewidny.

— Jeśli on w domu, powiedz, niech tu przyjdzie. Powiedz, że chce się z nim zobaczyć Niewidny.—Chętny Michałek już chciał biec, lecz Niewidny go zatrzymał.— Poczekaj-no chwilkę... A czy polacy są we wsi?

— Teraz niema,—odpowiedział Michałek,—ale stoją tu niedaleko.

— To ty, bracie, powiedz Borejce cichutko, żeby nikt nie słyszał.

Michałek pobiegł, a Niewidny począł gawędzić z chłopcami.

— No, jakże! Dobrze wam żyć przy polakach?

Chłopcy spuścili oczy. Widocznie nie mieli odwagi powiedzieć tego, co myśleli. Bali się omylić. Nareszcie Mikitka powiedział z odcieniem smutku w głosie:

— Nie, niedobrze!

— Dlaczego?

— Ot, zabrali nam naszego nauczyciela. Zboże, drób i bydlęta odbierają. A niech-no kto, broń boże, zacznie się sprzeciwiać, tego biją.

— A jak wam się zdaje, za co zabrano waszego nauczyciela?—spytał Niewidny, chociaż doskonale znał powód aresztowania.

Dzieciom podobało się, że tego obcego, dorosłego człowieka obchodzi ich zdanie.

— Powiadają, za to, że był bolszewikiem,—nieśmiało odezwał się Mikitka.

— A jakże polacy mogli się dowiedzieć, że jest on bolszewikiem?

— Marcin Kruk go wydał,—stanowczo oświadczył Mikitka.

— A cóż to za Marcin Kruk?

— Jest to tu taki człowiek. Bolszewicy zabrali mu konia, więc on przez zemstę topi tych wszystkich, kto bolszewikiem jest,—tłumaczył Mikitka.

— A skądże ty wiesz, że go Kruk wydał?

— Wszyscy to mówią.

Rozmowa się urwała: biegł spowrotem Michałko. Wszyscy byli ciekawi, co powie. A Michałko zdaleka jeszcze wołał, że Borejko jest w domu i zaraz tu będzie.

I rzeczywiście po chwili ukazał się Borejko, ponury i zakłopotany. Rudawe brwi zrośnięte miał na czole, wyglądał na lat dwadzieścia. Widać było, że go jakieś myśli niewesołe niepokoją mocno. Gdy się zbliżył do Niewidnego, markotna twarz pojaśniała mu nieco.

Niewidny spojrzał mu w oczy głęboko.

— Cóżeś taki markotny, bracie?

— Niewesoło jakoś,—odpowiedział Borejko z uśmiechem zakłopotania.

Chłopcy stali tuż obok: chciało im się posłuchać, o czem będą mówili mężczyźni. Mikitka jako starszy, przepędził ich na ślizgawkę i sam się usunął: wrodzony takt podpowiedział mu, że nie należy chłopakom wtrącać się do rozmowy starszych, w dodatku w takich warunkach.

Niewidny i Borejko odeszli również. Idąc, rozmawiali.

— Sekretarza wzięto?

— Wzięto, towarzyszu Niewidny!—ponuro odpowiedział Borejko.

— Jakążeście tu robotę robili?

— Zwoływaliśmy zebrania. Agitowaliśmy przeciwko białopolakom, i za Sowiety.

— I jakież macie wyniki?

— Ano, ze dwunastu chłopców zorganizowaliśmy już. A teraz robota zacichła: policja mocno się do nas wzięła.

Szpików ponastawiali. No i nauczyciela wzięto... Nastrój się obniżył.

— A drużynę bojową macie?

Borejko chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Porozchodzili się chłopcy...

— Niceście wy tu nie zrobili! I złamanego szeląga robota wasza nie warta!

Spokojny i łagodny napozór Niewidny mówił twardo i ostro.

— Czemużeście nie zebrali ludzi, zdolnych do broni? Policja się do was wzięła!.. Dzieci otwarcie opowiadają o denuncjatorze Kruku. A wy, coście z nim zrobili?

— A cóż my z nim zrobić możemy?—zapytał Borejko.

Niewidny spojrzał na niego zimnemi, jak stal, oczyma.

— Skończyć z nim odrazu!—rzekł twardo.—Może czekacie, że policja zaprosi was do roboty i powie: „bądźcie łaskawi, agitujcie przeciwko nam!"—Do djabła z taką robotą! Baby jesteście. Stare dziady własnym rozumem dochodzą do myśli, że trzeba zbrojnie powstać przeciwko okupantom. Sami ludzi werbują, broń sami zdobywają i sami na czele partyzantów stoją! A wyście się policji przelękli, aresztów boicie się i przykucnęliście, jak myszy pod miotłą! Wstyd!

— Dziś jeszcze zwołać mi zebranie.

Ale Borejko nie wszystko powiedział, co powinien był rzec Niewidnemu.

— Najgorzej, towarzyszu Niewidny, że podczas rewizji i aresztu naszego sekretarza policja zabrała dokumenty. Lista członków zamościańskiej nielegalnej organizacji jest w ich ręku.

Jeszcze chłodniej spojrzał Niewidny na Borejkę.

— Sami roboty nie robicie, a jeszcze w dodatku innych sypiecie. Daliście o tem znać do Zamościa?

Borejko milczał panuro w poczuciu swej winy.

— Zawiadomić! Za wszelką cenę zawiadomić Zamość.

— Zamość ma na oku policja i dostać się tam bardzo trudno.

Niewidny zmierzył Borejkę od stóp do głowy chłodnem spojrzeniem.

— Nie macie organizacji! Nie prowadzicie roboty... Ludzi nie macie... Ludzie są, ale wyście nie zdołali ich zorganizować!..

Niewidny umilkł. Borejko nie miał nic do powiedzenia.

— Ot co,—przemówił po chwili milczenia Niewidny,—zebranie macie zwołać pojutrze. Jeżeli ja nie wrócę, prowadźcie sami. Zadaniem zebrania—rozwinąć robotę, żywą, bolszewicką. Zorganizować aktyw partyzancki. Inaczej, wyście nie ludzie walki, nie bolszewicy, lecz martwy balast. Nie czekać, aż wam policja oręż nosić pozwoli—sami broń od policji odbierzcie!—I wręczył Borejce paczkę odezw.

— Rozkleić te odezwy, gdzie się tylko da!

Niewidny poszedł. Borejko milczał, patrząc na odchodzącego.

— Towarzyszu Niewidny, idę z tobą!

— Zostaniesz tutaj i będziesz robił to, com ci powiedział.

Borejko stał jeszcze chwilę z ciężkiem uczuciem winy i wstydu. Poczem odgarnął włosy z czoła i twardym krokiem ruszył ku wsi. Myśli jego przybrały inny kierunek.

XXIV

Podczas gdy Sawko Milhun nie mógł domyśleć się czemby się zająć, ludzie pomyśleli za niego i pomyśleli solidnie.

Teraz Sawko zlazł z pieca, ożywił się, rozruszał— słowem stał się innym człowiekiem. Głowę ma przepełnioną myślami. Myśli jego idą w dwuch zasadniczych kierunkach. Po pierwsze—jak nawiązać łączność z partyzantami, po drugie—jak się od nich na wszelki wypadek zabezpieczyć? Słowem, coś trzeba zrobić, by i wilk był syty i koza cała. Wiadomo, że sporo osób kieruje się w życiu tą mądrą zasadą.

Sawko zabiera się do roboty. Nic nie robić nie można: poczęstunek wypity, zadatek Sawko otrzymał. Dostał kaszy, mąki, słoniny. A nadal będą go szczodrzej jeszcze obdarzać. Trzeba tylko nie zasypiać gruszek w popiele i nie być głupcem.

Przysposobił się Sawko do drogi, przybrał wojowniczą minę i znacząco przespacerował tam i spowrotem pod oknami chaty wójta i jego przyjaciół. Niech wiedzą, psiakrew, że Sawko wykonywa swe zobowiązania. Wójt spostrzegł go i również znacząco skinął mu głową.

Sawko idzie do Wieprów. Od Wieprów rozpocznie swą robotę. Spotykając tego lub owego ze swych znajomych, zaczyna ostrożnie mówić o tej biedzie, co spadła na ludzi, o tem, jak to ciężko żyć przy polakach.

— Dokąd idziesz, Sawko?—pytają go.

Sawko ściąga groźnie brwi i odpowiada:

— Jedna tylko jest teraz droga—do lasu!

I powie to takim tonem, że dla wszystkich staje się jasne, poco Sawko musi iść do lasu.

— Ocho-cho!—westchnie słuchacz nad Sawkową dolą i własną.

I nic w tem niema dziwnego. Sawko ma słuszność i słowa jego ludzie rozumieją jako wezwanie do powstania. Ludzie mu współczują, niektórzy zaś ostrzegają go nawet, żeby się miał na baczności, bo łatwo może wpaść. Sawko zaś myśli sobie, że naprawdę powinien być bardzo ostrożny. Sawko nie ma określonego planu działania. Naszkicował go sobie tylko, a resztę zostawia szczęśliwemu zbiegowi wypadków. Działalnością jego bardziej kieruje natchnienie, niż zgóry przemyślany plan. To też, gdy Sawko wychodził już ze wsi kierując się na Wiepry i gdy rzuciła mu się w oczy chata dziada Tałasza, Sawko postanowił jej nie ominąć. A nuż w ten sposób natrafi na ślad starego powstańca?

Coprawda Sawko osobiście nic niema przeciwko dziadowi Tałaszowi i tym ludziom, których zobowiązał się wyśledzić. Uważa ich za swego rodzaju środek zbogacenia się. Współczuje im nawet, ale niema rady, skoro tak się złożyły okoliczności. Sawko nie jest Spinozą i zagadnienia etyki nie interesują go wcale.

Maksym kręcił się po podwórku. To nieszczęście, które spadło na chatę Tałasza, jakby ominęło Maksyma i nie odbiło się na nim. Przynajmniej na twarzy Maksyma nie można było zauważyć nic takiego, co świadczyłoby o zgryzocie i niepokoju. Nie może przecie ludzkie oblicze być zawsze jednakowe, a Maksym, być może, miał powody do rozjaśnienia swej twarzy.

Ujrzawszy Sawka na podwórku, Maksym zdziwił się trochę: rzadki to był gość tutaj. Ale Sawko, jakgdyby nigdy nic, zbliżył się do Maksyma i powitał go.

— Osierociałeś, Maksymie,—zaczął rozmowę Sawko.

— Ano, tak wyszło, żem osierociał.

Maksym został zaskoczony znienacka i nie zdobył się na lepszą odpowiedź. Sawko zaś trzymał się dalej tego samego tonu. Z ubolewaniem pokiwał głową.

— Ot, bracie, czasy nastały! Niczego człek nie jest pewien. Sam sobie gospodarzem nie możesz być. Nie mogę się uspokoić, miejsca wprost nie znajdę sobie.

— A tobie cóż się stało?

Maksym pomyślał, że Sawka pokrzywdzili polacy.

— Nie o mnie tu idzie. Co tam—ja... Myślisz, że boli tylko tego, kogo za żebra wzięli? Boli i tego, kto zmuszony jest patrzeć na to wszystko. Wiesz przecie, co się dzieje. Nie mnie opowiadać ci o tem.

— No, więc cóż z tego?—i Maksym nieufnie spojrzał na Sawka.

— A to, że nie trzeba cicho siedzieć.

— A czemuż ty siedzisz?

— Otóż to, że nie mogę usiedzieć. Ludzie idą do lasu i ja za nimi.

Maksym podejrzliwie spojrzał Sawkowi w oczy.

— Ty, bracie Maksymie, nie znasz Sawka, ale wkrótce o nim posłyszysz!—starał się Sawko rozproszyć podejrzenia Maksyma.

— Mówisz tak, że zrozumieć cię trudno,—zauważył Maksym. W głosie jego dźwięczała taż sama nieufność. Sawko odczuł to doskonale.

— Chcesz powiedzieć, że trudno mi wierzyć?—spytał i, nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Powiem ci prosto z mostu—idę, bracie, partyzanką

się zajmować, z dobrymi ludźmi skamracić się chcę. Ale ty o tem ani słówka, ni pary z gęby!

Maksym spoglądał na Sawka szeroko otwartemi oczyma, a Sawko mówił dalej:

— Tobie to mówię, a innemu nie powiem, bo twój ojciec—to bohater. Nie lepszy ja od twego ojca. Jeśli on musi partyzantem być, to i ja nie mam poco w domu siedzieć.

Maksym się zaniepokoił.

— Ojcu nie dają w domu siedzieć: łowią go i on musi się ukrywać, bo do więzienia trafić nikt nie ma ochoty.

— Jeżeli za słuszną sprawę, to i w więzieniu posiedzieć nie żal. Ale powiedz mi prawdę, mnie właśnie możesz bez obawy to rzec, dokąd mam pójść, by z ojcem twoim się spotkać? A jeśli nie z nim, to z Marcinem Rylem, lub z kimkolwiek z nich?

— A skądże ja to wiedzieć mogę? Ojca oddawna w domu niema. Jak wtedy wyrwał się polakom, tak się nie pokazuje. Gdzie jest i co się z nim stało—nie wiem.

— Może to i lepiej, że nie wiesz,—rozsądnie zaznaczył Sawko.—Czyż teraz można ludziom zaufać? No, ale kto swego chce dopiąć, ten dopnie A więc bywaj zdrów, Maksymie!

— Bywaj!

Sawko mocno uścisnął rękę Maksyma. Maksym stał długo, patrzył jak Sawko wyszedł ze wsi i zawrócił na drogę do Wieprów, patrzył dopóty, dopóki nie zniknął mu z oczu, rozmyślając nad tą dziwną wizytą tak niepewnego człowieka, jak Sawko Milhun. W rezultacie tych rozważań Maksym zdecydował:

— „Wartogłów! Po takim wszystkiego spodziewać się można.“

Jednak ta myśl nie uspokoiła Maksyma. Słowa Sawka i jego zamiar przystania do partyzantów, ani rusz nie mogły się Maksymowi w głowie pomieścić. Czy nie było w tem jakiegoś podstępu? Czy nie podesłano go, by się wypytać o Tałasza?

Szczerze mówiąc, Maksym nic nie wiedział ani o ojcu, ani o Panasie. Od czasu jak tu obaj, Tałasz i Ryl, nocowali, ojciec nie pokazywał się w domu. Nowe zdarzenie przerwało bieg myśli Maksyma i przesłoniło mu i Sawka i wywołane przezeń wątpliwości.

Przyszła Helena. Była we wsi. Nie wchodząc do izby Helena zbliżyła się do Maksyma.

— Czy wiesz, Maksymie, co się stało w Hanusach?

Z tonu pytania Heleny Maksym zrozumiał, że zaszło coś ciekawego.

— Nic nie wiem, nie słyszałem,—odpowiedział Maksym i z pewnym niepokojem spojrzał na Helenę.

— We wsi gadają, że pod Hanusami chłopi-powstańcy doszczętu pobili polaków, odebrali zrabowany dobytek i bydlęta, a ich samych wytłukli co do nogi.

— A to zuchy!—ucieszył się Maksym.—Czy to aby prawda?

— Prawda, Maksymie, sami ludzie z Hanusów opowiadali o tem. A wiesz, co jeszcze powiadają? Że powstańcami dowodził stary, siwy już człek, i że tam byli nasi żołnierze. A ten stary, z tego co mówią, bardzo podobny do ojca.

— No!.. Co ty mówisz?—zdziwił się Maksym.

— Prawda, prawda, Maksymku!

— Eh, łgarstwo to być musi i kwita.

— Nie łgarstwo, a ludzie mówią,—obstawała przy swojem Helena.—I nie ja jedna tak sobie miarkuję, lecz wielu ludzi tak samo myśli.

— Kiedyż miałby on czas tyle narodu zgromadzić i aż w Hanusach się znaleźć?

Tego Helena wytłumaczyć nie umiała, ale była święcie przekonana, że stary Tałasz brał udział w tem, co zaszło w Hanusach. Pewność jej udzieliła się Maksymowi. W związku z tem przypomniał sobie Sawka Milhuna.

Słowa Sawka, jego zachowanie się i zamiary ukazały mu się teraz w innem świetle: poprostu Sawko dowiedział się o bohaterstwie partyzantów, i ich czyny natchnęły go wojowniczym duchem. Nic dziwnego w tem niema, że w takich warunkach Sawkowi istotnie zachciało się być partyzantem. Ale czemu Sawko nic nie wspomniał o wypadku w Hanusach? Może umyślnie przemilczał to, by nie obniżać swych wojowniczych zamiarów? Te domysły wydały się Maksymowi zupełnie słuszne i upewniły go w prawdziwości słów żony.

Podzielił się swemi myślami z Heleną i opowiedział o wizycie Sawka i rozmowie z nim. Helena zgodziła się z poglądem męża na Sawkowe partyzanctwo. Wszystkie niepewności i wątpliwości, wywołane zjawieniem Sawka, teraz znikły zupełnie.

Nowiny o zajściu w Hanusach szły z ust do ust, z chaty do chaty i głęboko poruszały i absorbowały wszystkich. Stały się one tematem rozmów, rozmyślań, rozważań. Rozbrojenie polskiej eskorty, aresztowanie Panasa, zniknięcie dziada Tałasza, okrutna rozprawa pola-

ków w Wieprach—wszystko to usunęło się na dalszy plan, ustępując miejsca wypadkom w Hanusach. Gawędy ludzkie upiększały rzeczywistość, wplatając rozmaite epizody, szczegóły i takie okoliczności, których w rzeczywistości nie było, lecz które być mogły. Zdarzenie to nabierało znaczenia bohaterskiego eposu ludowego, gdzie partyzanci występowali jak bajeczni herosi, a ich ataman stawał się ludowym bohaterem, ręką karzącej sprawiedliwości i pomsty za ludzką krzywdę i mękę. Wypadki te podtrzymywały ducha szerokich mas chłopskich i powoływały je do czynnej walki przeciwko okupantom.

Tylko babka Nasta po swojemu przyjęła tę wieść. Osobliwie niepokoiła ją ta okoliczność, że w tem wszystkiem mógł brać udział dziad Tałasz. Był on tam czy nie był—nikt z całą pewnością powiedzieć nie mógł. Ale ludzie wymieniali jego imię. Znając zaś charakter swego starego, babka Nasta gotowa była uwierzyć, że Tałasz był tam, a to wcale nie cieszyło ją. Cóż się stanie z Panasem? Co będzie z chatą? Niepokój ogarnął serce babki Nasty.

Wieczorem, gdy mrok już zapadł zupełnie, babka Nasta sama siedziała w chacie i zaświeciwszy lampkę, przędła kądziel, którą przyniosła Jagna. Niewesołe myśli, takie same jednostajne i długie jak te nici, które wysnuwała babka Nasta, nawijając je na wrzeciono, wiły się nad jej głową. Babka Nasta czuje się zupełnie osamotniona. Maksym i Helena—babka nie ma do nich o to urazy—więcej jedno z drugim gawędzą. Młodzi są, nie dziwota. Całe życie jeszcze przed nimi. Młodość nie tak poddaje się zmartwieniom, jak starość. Dwoje ich jest. Babka Nasta zaś jest sama, samiuteńka. Myśli o Pa-

nasie i łzy, jak kropelki jesiennego deszczu, zwolna toczą się po zwiędłych policzkach.

Drzwi chaty lekko skrzypnęły. Babka Nasta odwróciła się i spojrzała. Młoda kobieta przestąpiła próg chaty. Tak była otulona, że twarzy jej dojrzeć nie można było. I dopiero, gdy powiedziała: „Dobry wieczór“—babka po głosie poznała Jagnę.

— A, to ty, Jagusiu! A ja kądzieli jeszcze nie doprzędłam.

— Bierz ją licho, tę kądziel!

Jagna podeszła zupełnie blisko do babki. Głos jej się rwał. Była bardzo wzruszona.

— Bieda, babko Nasto! — odezwała się stłumionym głosem,—przyszłam was uprzedzić.

I opowiedziała o Sawku Milhunie i o tej roli, do której go przeznaczyli wójt i jego dwaj kamraci.

— Cóż teraz począć?—załamała ręce babka Nasta.

— Trzeba dać znać, trzeba uprzedzić waszego starego i tamtych, co są z nim razem. Nie lękajcie się, babko!

Jagna obmyśliła wszystko i wytłumaczyła babce Naście. Tak czy inaczej, koniecznie trzeba uprzedzić dziada Tałasza, lub kogokolwiek z jego towarzyszy. Można to polecić Maksymowi lub Helenie. Zresztą, sama babka Nasta może to zrobić. Obawiać się niema czego: Sawko wielkiej biedy nie narobi, jeśli będą wiedzieć, co to z niego za partyzant.

— *Tylko, babko Nasto, niech was bóg broni, nie mówcie, że to ja was uprzedziłam.*

I Jagna wyszła z Tałaszowej chaty równie cicho, jak przyszła.

XXV

Tysiącem strumieni w różnych kierunkach spływa na wiosnę woda śniegowa. Jakże ich wiele i jakie rozmaite są one w swym ruchu i w sile swego dążenia!

Jest jakiś pociągający urok, poezja i piękno w tych strumykach, które torują drogę wiośnie i odradzającemu się na ziemi życiu, w ich pośpiesznym biegu i bulkotaniu, w wesołym rozgwarze i groźnych poszumach. Malenkie, wątłe, ledwo widoczne spoczątku, płyną jak łzy po obliczu ziemi, wąziutkiemi pasemkami, nabierając siły z każdą godziną, z każdym krokiem naprzód. Ileż przeszkód, ile niespodzianek jest w tej podróży! Każda grudka lodu, każdy występ, czy kępka lub mały wzgórek stają na przeszkodzie w ich gwałtownym pędzie naprzód. Ale one biegną bezustanku, niepowstrzymanie, to szybciej to wolniej, omijając przeszkody, lub znosząc je po drodze, biegną dopóty, aż się połączą w burzliwe potoki, aż oczyszczą ziemię ze śniegu, by potężną powodzią utorować szeroki gościniec nowemu życiu.

Tysiącem dróg i w różnych kierunkach podążają również ludzie w poszukiwaniu dla siebie przestrzeni, swobody i tego wszystkiego, co nazywają swą radością i szczęściem.

Dziad Tałasz pomyślnie wrócił do Wysokiej Rudni z częścią swych partyzantów oraz czerwonoarmistami z Bukrejem na czele.

Wyprawa ta naocznie przekonała chłopów-powstańców, że siła ich—to zgodny kolektyw, organizacja i bezwzględna karność. Powodzenie, towarzyszące cały czas wyprawie, jeszcze bardziej wzmocniło bojowego ducha w

partyzantach, otwierając przed nimi szeroką perspektywę walki o swą wolność, o swe prawo do życia, niezależnie od panów. A wszystko to razem wzięte przemawiało za dalszem rozwijaniem tego dzieła, które zapoczątkowała wyprawa Bukreja i partyzantów. Niemałe znaczenie miało również przemówienie Bukreja, cieszącego się ogromnym autorytetem.

Po zakończonej wyprawie, przed rozejściem się Bukrej zwołał w lesie wolne zebranie uczestników pochodu. Gorąco pozdrowił partyzantów i osobliwie dziada Tałasza, winszując im pierwszego chrztu bojowego i zwrócił się do nich z wezwaniem do prowadzenia dalej tak pomyślnie rozpoczętego dzieła zbrojnej walki z okupantami.

— Towarzysze! Teraz sami widzicie, że wasza siła— to solidarność, zespolenie, surowy porządek, karność i zgodna praca ramię przy ramieniu z Armją Czerwoną. Nasza wyprawa to maleńki szczegół w szeregu działań wojennych, które zmuszeni będziemy prowadzić w najbliższej przyszłości.

Jednak i ten szczegół odezwie się potężnem echem wśród naszych wrogów. Przeto chcę was uprzedzić, że wróg zaostrzy słuch i wzrok i będzie jeszcze bardziej okrutny, niż dotychczas, by wykorzenić ducha buntu i walki. Obowiązkiem waszym, towarzysze, szerzyć, rozwijać powstanie, gromadzić lud, skupiać go w zorganizowane drużyny bojowe, w całe wojska i mocno się trzymać Armji Czerwonej. Da wam ona wojskowe wyszkolenie, da kierowników. Dowódcy zaś znajdą się wśród was samych, towarzysze. Przykładem służyć nam może nasz dzielny ataman i ojciec—Tałasz.

Lecz nie każdego przyjmujcie do swych szeregów, towarzysze! Pod pozorem sympatyka będą się wcierać w wasze szeregi wrogowie i prowokatorzy. Bądźcie więc czujni i miejcie się na baczności.

Kilka słów powiedział i dziad Tałasz. Podziękował Bukrejowi i czerwoncarmistom za pomoc i dobrą radę.

Określono wspólnie niektóre organizacyjne zasady partyzanki. Wyznaczono naczelników grup partyzanckich i wybrano miejsce zbiórki, które należało zachować w ścisłej tajemnicy. Opracowano formy łączności i wyznaczono czas, kiedy naczelnicy grup partyzanckich winni się zjawić dla dania informacji i otrzymania wskazówek i planów co do dalszej działalności partyzantów.

Dziad Tałasz jest teraz wprost szczęśliwym człowiekiem, jeśli bywają na świecie szczęśliwi ludzie. Wszystkie jego życzenia spełniły się: odemścił polakom za swą osobistą krzywdę i za krzywdy ludzkie. Ale mniejsza o to. Posiada teraz prawdziwy karabin wojskowy, a pozatem broń, odebrana od polaków, zdobyta przez czerwonoarmistów i przez partyzantów, została oddana do jego rozporządzenia. Tak uchwalono na naradzie wojennej. Odnalazł syna. Dzięki pieczołowitej opiece Nupreja Panas nietylko chodzi, lecz biega. Wreszcie—dziad Tałasz jest dowódcą partyzantów. A wojsko jego ciągle się zwiększa i zwiększy się jeszcze znacznie—cośniecoś już w tym kierunku zostało zrobione. Czerwoni dowódcy przyjęli go do swej bojowej rodziny, właśnie jako dowódcę i swego człowieka. Czyż to nie honor dla starego Tałasza? Ale dziad mocną ma głowę—zna miarę i nie przekracza tej granicy, poza którą można dostać zawrotu. Trzeźwo patrzy na rzeczy. W głowie tej żyją prze-

ważnie myśli związane z walką, z wojną. Dziad myśli o dalszym rozwoju wypadków: wiosna nie za górami, a z wiosną zaczną się takie sprawy, że trzeba być przygotowanym na wszystko.

Jest w głowie dziada miejsce i dla myśli o chacie — o babce Nastuli, o Maksymie, o gospodarce. Babka Nasta mrze z żalu za Panasem, no i o niego się niepokoi. I nie wie staruszka, że Panas wyrwał się z niewoli i że jest razem z ojcem. Te myśli kierują Tałasza ku domowi.

Po kilku dniach pogody zadął wicher z północy, porozpędzał nisko wiszące obłoczki i ucichł. Niebo się rozjaśniło, zabarwiło się chłodnym zielonkawym tonem i na Polesie znów spadł mróz trzaskający.

Tajemniczemi ścieżkami, lub wprost przez bezdroża, przekrada się Tałasz do swej wsi. Dziad nie wie o tem, że jest znaną osobistością nietylko wśród partyzantów, lecz i wśród wrogów zaklętych. Nie wie, że defenzywa i policja śledzi go ze specjalną uwagą i żarliwością. Po ujęciu polskich oficerów i żołnierzy w Wirkuciach i po wypadkach w Hanusach polacy przedsiębrali szereg poważnych zarządzeń, żeby wyłapać takich niebezpiecznych ludzi, jak Tałasz, Marcin Ryl i ich wspólnicy. Tałasza i Marcina Ryla wciągnięto na specjalną listę ze szczegółowym opisem ich cech charakterystycznych, by łatwiej można było ich poznać.

Chociaż stary nie wiedział o tych obostrzeniach co do swej osoby, lecz czując swe grzechy wobec władz okupacyjnych, trzyma się ostro i ma się na baczności. Nie odważył się więc zabrać z sobą „prawdziwej" strzelby, choć ciężko było staremu z nią się rozstać: trafisz w ich ręce z karabinem — przepadłeś z kretesem. Ta

ostrożność i świetna znajomość ojczystego Polesia pomogły dziadowi szczęśliwie dostać się do domu. Już koło północy wchodził Tałasz do swej chaty.

Babka Nasta nie posiada się z radości, ujrzawszy starego, nie może przyjść do siebie ze wzruszenia na wieść, że Panas jest z ojcem. A tu warunki są takie, że każda chwila grozi i dziadowi i Panasowi i całej rodzinie strasznem nieszczęściem. To też drży babka Nasta, jak liść osiczyny. Co może powiedzieć staruszka Tałaszowi, skoro ten zaszedł tak daleko w swej działalności? Jedno tylko: niech się tu więcej nie pokazuje, niech nie budzi licha, dopóki się życie nie zmieni na lepsze. Wszystkie drogi do własnej chaty przecież sam sobie odciął.

Dziad Tałasz w milczeniu i z głęboką uwagą słucha nowin, które mu opowiada babka i Maksym. Co zaś szczególnie zainteresowało starego, to opowieść o Sawku i jego fałszywem partyzanctwie, o tej roli, jaką odegrali tu Busyga i jego kamraci. Dziad milczy. Cała jego wściekłość skupia się na osobie wójta i jego przyjaciół.

— Patrzcie-no, jacy spryciarze!—odzywa się nareszcie dziad Tałasz.

— No, dobrze.

W tem „no, dobrze“ brzmi głucha groźba. Tałasz sam jeszcze nie wie, jaką miarką odda wójtowi, ale na sucho mu to nie ujdzie.

Długo rozważał dziad Tałasz wszystko, o czem się dowiedział i wreszcie powiedział twardo i stanowczo:

— Ot co, moi mili, posłuchajcież wy teraz, co powiem.

Jasne było, że stary ma coś ważnego do powiedzenia.

— Wszyscy musicie iść z domu precz,—kategorycznie oświadczył Tałasz.—Tak, trzeba zniknąć.

Oświadczenie dziada było taką niespodzianką, że nikt do słowa przyjść nie mógł.

A stary prawił dalej tym samym tonem.

— Z gospodarką się rozstać! Nie taka ci znów ona znaczna. Chatę zabić deskami. Będziecie tu siedzieć, to ją prędzej lub później polacy spalą, a wy się nałykacie biedy i strachu.

— A gdzież my się podziejemy, sieroty? Co ty gadasz, stary!—z przerażeniem spytała babka Nasta.

— Ty matko,—spokojnie ale stanowczo mówił Tałasz,—przenoś się do Makuszy, do Tekli. Helena pobędzie u swych ojców, a ty, Maksymie, nie masz poco kobiecej kiecki się trzymać. Już jeśli Sawko partyzanić się ruszył, to i twoja droga tamtędy, jeno nie Sawkową ścieżyną, a z nami. Dopóki tu siedzieć będziecie, w każdej chwili biedy oczekując, to i mnie i Panasa ciągnąć będzie do chaty i, wcześniej lub później, wyłapią nas i nie będzie nad nami zmiłowania.

Trudne zadanie dał Tałasz i niespodziewane.

Łamano nad niem głowy i wreszcie uradzono zgodnie, że innego wyjścia z ich położenia niema. Porzucona chata może nawet ocaleć. Doprawdy, do rzeczy rozporządził się stary.

Wychodząc z domu jeszcze przed świtem, dziad Tałasz powiedział wesoło:

— A co do Sawka, to bardzo mnie ucieszyła ta nowina: pogadamy z nim trochę. Znajdźcież go i powiedzcie mu: niech idzie do Karnaczów i zapyta o Tymka Bu-

dzika. To nasz wierny człek. Tymek właśnie pokaże mu drogę do nas.

Już coś z pięć kilometrów uszedł Talasz, gdy słońce zaczęło wschodzić. W lesie była uroczysta cisza. Tylko konary starodrzewia trzeszczały głośno od mrozu i skrzypiał suchy śnieg pod stopami starego. Najniebezpieczniejsze miejsca, jak się zdawało dziadowi, były już poza nim, szedł więc powoli i spokojnie, całkowicie pogrążony w swe myśli. Myślał o Sawku, o Wasylu. Pozatem myślał o swej chacie, co za dni kilka pustą stanie bez gospodarzy. Co ludzie powiedzą, gdy dojdzie wieść do nich, że Tałasz i jego rodzina dom porzucili? Zdawało się staremu, że wieść ta poruszy ludzi i jeszcze mocniej się upewnił, że postąpił słusznie. No i spokojniej czuć się będzie i on sam i Panas i wszyscy. Tak rozmyślając zbliżał się dziad Tałasz do Suchego Pola, gdzie, oczekując Panasa, spotkał się był z Marcinem Rylem. Oto i ten stary potężny dąb. Stoi sobie z tą samą kupą śniegu wśród rozgałęzionych konarów, taki sam jak był, krzepki, zwięzły, tylko mróz, ozdobiwszy go szronem, uczynił go jeszcze bardziej poważnym i starym. Zapatrzył się dziad Tałasz na dąb i zgapił się. Ani się spostrzegł, jak przed nim, jakby wprost ze śniegu, wyrośli trzej legjoniści.

Skierowawszy karabiny w pierś dziada, krzyknęli:

— Stój!

Zadrżał dziad Tałasz. Gorący kłębek potoczył się gdzieś pod serce.

„Przepadłeś, bracie Tałaszu!“—pomyślał stary i zatrzymał się. Ale odrazu mocno wziął się w ręce.

— Tfu, tfu, tfu!—splunął trzykrotnie i zawołał:

— Jakżeście wy mnie nastraszyli, gołąbki moje.

Dziad postarał się przybrać postać śmiertelnie przestraszonego człowieka.

Ten przestrach i zmieszanie starego rozśmieszyły legjonistów i pochlebiły im.

— Ktoś ty i dokąd idziesz?—spytał starszy legjonista.

— Tutejszy, panie! Idę na błota—więcierze postawiłem. Może piskorz się złapał...

— Idź z nami!—rozkazał ten sam.

— Dokąd i poco?—ogromne zdumienie odbiło się na twarzy starego.

— Idź, idź, gałganie stary!—i żołnierz zlekka pchnął dziada.

Dziad podrapał się w głowę.

— Kiedyż bo i czasu nie mam...

Dziada potrącono już nieco energiczniej.

— A bodaj was święta ziemia nie nosiła!—rozgniewał się Tałasz i ruszył z żołnierzami.

„Koniec"—rozmyśla w duchu dziad Tałasz. I wielki przedśmiertny smutek spadł mu na serce. Po obu stronach drogi stoi las, posiwiały od szronu, jak Tałasz ze starości. Dziad przygląda się lasowi. Czyżby to ostatni raz nań patrzył? A tak się nie chce umierać. Wspomina swą chatę. Czy dobrze zrobił rozkazując domownikom opuścić gospodarkę? Postępek ten ukazuje mu się teraz w innem świetle. Żal i wielka samotność, całkowite odosobnienie od świata i ludzi odczuwa teraz stary Tałasz.

Ale wkrótce mija ta chwilowa słabość i upadek ducha. Błyskawicznie lecą myśli przez głowę. Niezmiernie

jasno i wyraziście płyną przed nim przeżyte wypadki i obecne jego położenie. Wspomina i towarzyszy broni: Marcina Ryla, którego pokochał, jak syna i z którym się zżył tak dobrze podczas wspólnej tułaczki po lasach i wspólnych wypraw; i Nupreja, i Kupryjańczyka, i Tymka Budzika i całą gromadkę swoich wojaków. Cóż się z nimi stanie? Co będzie z ogólną sprawą, wypiastowaną w sercu, za którą tyle wycierpieli?

— „Żyć, żyć, za wszelką cenę"—oto końcowy akord tej pełni życia, co przeszła przed jego oczami. Z przeraźliwą jasnością staje mu w oczach Ryl i jego opowiadanie o uwolnieniu się z rąk polskiej eskorty. Dziad zwraca oczy na swój konwój. Legjoniści skurczyli się z zimna, postawili kołnierze. Dwaj idą naprzedzie, za nimi—Tałasz, a trzeci, starszy styłu, nieco na stronie. Tałasz mierzy okiem ich postacie, określa ich siłę fizyczną. Wydają mu się, jak sam to kiedyś określał, „szczupli". I nagle coś jakby tknęło Tałasza od wewnątrz. W mgnieniu oka wydziera karabin z rąk starszego, idącego styłu na stronie i uderza go kolbą po głowie z taką siłą, że łożysko karabina pryska. Trzask złamanej strzelby i chrzęst czaszki zlewają się w jeden huk. Jak uderzony piorunem pada legjonista. Tylko okrzyk, zduszony i niewyraźny, wyrwał mu się z gardła.

— Tutaj! Do mnie chłopcy!—dzikim głosem krzyczy dziad i rzuca się z pozostałą metalową częścią karabina na oszołomionych żołnierzy.

Ci zaś, z niespodziewanego przestrachu porzucili karabiny i skoczyli w las.

Dziad podniósł broń i, jak ścigany zwierz, rzucił się do ucieczki.

Gdy się nieco opamiętał i uspokoił, pierwszem uczuciem, którego długi czas nie mógł się pozbyć, był chrzęst roztrzaskanej czaszki nieznanego człowieka. Chrzęst ten kilka dni stał mu w uszach.

XXVI

Wasyl Busyga i jego przyjaciele z nerwowem napięciem oczekiwali pierwszych doniesień od swego „partyzanta“ Sawka Milhuna. Ale dni mijały, a Sawko się nie pokazywał i znaku życia nie dawał. Zaczynało to niepokoić wójta i zmuszało do robienia różnych domysłów. Niepokój, choć nie w takim stopniu, odczuwali również wspólnicy wójta. Spotykając się, przechodzili do rozmowy o Sawku.

— Jakoś nie słychać naszego Sawka,—powiada wójt i badawczo patrzy w oczy Brujowi. Bruj widzi, że wójtowi się śpieszy.

— Nie słychać,—potwierdza, jak echo.

— Nie słychać łotra,—powtarza Birka.

— Co to może znaczyć?—wójt ma ochotę znaleźć jakiś powód milczenia Sawka.

— Sprawa, widzisz bo, delikatna,—zaczyna rozważać roztropny Bruj.—Postaw się na jego miejscu—tu prędko nic się nie da zrobić. To nie tak, jak wziąć cep i młócić.

— I cep wziąwszy nie odrazu do młócki przystąpisz,—dodaje Birka.

— Sawko, na mój rozum, dobrze robi, że się nie śpieszy,—ciągnie dalej Bruj.—Tu, bratku, sprytnie do rzeczy się brać trzeba. Lepiej pomarudzić, a zrobić gład-

ko i akuratnie. Pierwsze kroki najtrudniejsze. Poczekajmy trochę.

Wójt poddaje się rozważaniom Bruja i uspakaja się na czas jakiś, ale cień trwogi tai się gdzieś w głębi jego serca. Dość mu pozostać samemu, by niepokój, uśpiony słowami Bruja, budził się w nim z nową siłą.

Chociaż wójt miał przyjaciół w osobie Bruja i Birki oraz podtrzymanie zwierzchnicze ze strony pana Królewskiego, jednak czasem odczuwał swe osamotnienie i oderwanie się od gromady.

Uczucie samotności pogłębiał jeszcze ten fakt, że od chwili, gdy został wójtem, między nim a Jagną wynikł szereg nieporozumień. Wiosna i owe nastroje, unoszące się jakby w samem powietrzu, rozmaite gawędy, związane z niejasnemi i groźnemi przeczuciami tego, co ma przynieść wiosna, jak również owa napięta czujność, panująca wszędzie, gdziekolwiekby się wójt zwrócił, wytrącały go z równowagi, ugniatały go.

Pod wpływem tych nastrojów Wasyl chciał już zmienić swój stosunek do Jagny i poczynić kroki do zgody. Czekał tylko na odpowiedni moment, by zrobić to politycznie, nie uwłaczając swej wójtowskiej godności, honorowi męża i mężczyzny wogóle.

Ale zdarzyło się coś takiego, co wykopało jeszcze głębszą przepaść między nimi, i postawiło Jagnę po przeciwnej od Wasyla stronie tej przepaści.

Pewnego razu pod wieczór szedł Wasyl ulicą. Od chwili, gdy Tałasz zbiegł z domu i, będąc wolny nie siedział z założonemi rękami, Tałaszowa chata miała jakowąś władzę nad wójtem. Nigdy nie mógł spokojnie przejść koło niej. Tałaszowa chata zdawała się kpić sobie

z wójta i z jego próżnych wysiłków schwytania niebezpiecznego powstańca. Wszystkie zaś te gawędy, co się kręciły dokoła osoby dziada Tałasza, siały niepokój w sercu wójta. Poza wszystkiem innem Wasylowi było wprost nieprzyjemnie, że on, wójt, bez względu na wszystkie wysiłki schwytania starego Tałasza, pozostaje, jak to mówią, z kwitkiem. Teraz cała nadzieja była w Sawku, ale Sawko po dziś dzień nie daje znaku życia.

Wasyl zatrzymał się w cichym zakątku, spoglądał na Tałaszową chatę i rozmyślał. Przyszło mu do głowy, czy nie lepiej byłoby postawić tajną straż, chociażby z polskich żołnierzy? Czy nie pogadać o tem z panem Królewskim?.. Nie, trzeba jeszcze poczekać, a nuż zjawi się Sawko z dobrą nowiną?..

Nagle widzi Wasyl, że z podwórka Tałaszowej chaty wychodzi postać kobieca. Kobieta podejrzliwie rozejrzała się dokoła i szybko skierowała się ku wiosce, lecz nie poszła ulicą, jeno zawróciła opłotkami pomiędzy gumniskiem i stodołą. Na dworze już zmrok zapadł i poznać kobietę trudno było. Wasyl zaciekawił się i nawet nieco się zdenerwował. Wyszedł z ukrycia i, nie spuszczając oczu z kobiety, poszedł ślad w ślad za nią, kryjąc się koło zabudowań. Zgubił jej ślad na środku wsi. Jak gończy pies, którego zając zbił z tropu, Wasyl przebiegał tam i spowrotem, aż wybiegł na ulicę: taż sama postać kobieca mignęła mu przed oczami i przemknęła się przez furtkę wójtowego obejścia.

Teraz dopiero poznał Wasyl kobietę... Toć to Jagna, jego własna żona! Zdumiony i jeszcze bardziej zdenerwowany wójt zatrzymał się w osłupieniu: poco ona tam chodziła? Jaki interes tam mieć może? Cały kłębek bez-

ładnych myśli i uczuć poruszył serce Wasyla. Straszliwy domysł błyskawicznie przemknął mu przez głowę: czy nie chodziła Jagna na schadzkę z Marcinem Rylem? Aż mu się gorąco zrobiło! Jakże tu się prawdy dowiedzieć? Poco tam chodziła, poco i do kogo? Do jego zaklętego wroga.

Wójt stracił się zupełnie. Szalona wściekłość przeniknęła go nawskroś. Ruszył porywczo ku chacie, by nie dać się opamiętać zdradzającej go żonie i zaskoczyć ją znienacka. Zły, rozjuszony, z zaciętemi zębami i zsuniętemi brwiami przestąpił próg swej chaty.

Jagna ma bystre oczy. Odrazu zauważyła Wasyla, jak szedł w jej ślady i zrozumiała odrazu, że się złapała i że będzie z tego wielka heca, a może i coś gorszego. Wykręcać się nie miało sensu. Usprawiedliwiać się—z czego? Przecież poprostu chodziła do babki Nasty. Czyż nie ma prawa chodzić, gdzie chce! Co jej do tego, że Wasyl jest zawziętym wrogiem Tałasza.

Jednak głos jakiś wewnętrzny jej szeptał: skoro Wasyl jest twoim mężem, to powinnaś być z nim za jedno. Lecz był to głos bardzo słaby i słuchać go Jagna nie chciała.

Spokojnie, jak człowiek przekonany, że biedy ominąć nie może, starała się zgadnąć, z której strony ona na nią spadnie.

— Gdzie byłaś?—syknął Wasyl przez zęby, akcentując słowo „gdzie". Zielonkawemi oczami podejrzliwie wpatrywał się w Jagnę.

Jagna starała się nie patrzeć na Wasyla i dopiero, usłyszawszy groźny ton jego głosu, rzuciła mu chłodne, obce i pogardliwe spojrzenie.

— A co ci do tego, gdziem była? I co tak patrzysz na mnie, jak dzikie zwierzę?.. Nie boję się ciebie! — ostatnie słowa powiedziała Jagna podniesionym głosem.

— Mów, gdzieżeś była, ty żmijo, ladacznico, szelmo! — wrzasnął Wasyl na całą izbę i, zgrzytnąwszy zębami, przystąpił do kobiety. Głos jego rozlegał się we wszystkich zakątkach chaty i szarpnął strachem i bólem serduszka dzieci. Jak liść osiki zadrżała Olesia. Z krzykiem, blada, jak płótno, rzuciła się do matki, objęła ją mocno ramionami, by ją osłonić swem wątłem dziecinnem ciałem przed wściekłością ojca. Piotruś i Grześ oniemieli z przerażenia, przypadli w kącie pod piecem i spoglądali na ojca wystraszonemi oczętami. Nawet dziad Cyprjan usiadł na posłaniu i podniósł na Wasyla swe zamglone starcze oczy.

— Ki djabeł ich tam dręczy? — przemówił pocichu raczej sam do siebie, niż do Wasyla i Jagny. Chciał jeszcze poradzić Wasylowi, żeby wziął lejce i zamiast hałasować, lejcami parę razy ją trzepnął, jeśli zawiniła, ale nic nie powiedział i machnął ręką.

— Gorszej od ciebie żmii niema na świecie. Czego się wściekasz, jak dzikie zwierzę? Dzieci na śmierć nastraszyłeś. Co ci one winny? — spokojnie i twardo odezwała się Jagna. Trzęsła się cała, ale równowagi nie straciła.

— Przyznaj się, żeś chodziła do tego starego zbója.

Jagna złapała kłębek nici i, zamiast odpowiedzi, cisnęła nim w czarną brodę Wasyla.

— Ot, poco chodziłam. Udław się tym kłębkiem!

Kłębek nici, ciśnięty przez Jagnę w osobę wójta,

odegrał rolę zimnego prysznicu. Zbity z tropu Wasyl wodził oczami od kłębka do Jagny. Spodziewał się, że w tem starciu z żoną dowie się rzeczy o wiele ważniejszych, niż ten kłębek nici. Złość go odeszła, wzburzenie minęło. Teraz dalszy ciąg kłótni zaczął prowadzić jako wójt.

— A pocóż ty kądziel tam nosisz?

— A cóż w tem złego? Może mi zabronisz?—hardo spytała kobieta.

— Zabronię!—tupnął nogą wójt.

— Matusiu, milczcie. Nie swarzcie się z tatą!—zalamentowała Olesia, starając się ciężarem wątłej swej osóbki usunąć matkę dalej od strasznego i groźnego wójta.

— Jam nie poddanka twoja, ani niewolnica, byś miał mi prawo zabraniać!

Wójt szeroko otworzył oczy.

— Gdzieżeś ty się nabrała takiej hardości?—złośliwy śmiech był w słowach wójta.—Może i ty do lasu się wybierasz?

— Pewno, że lepiej do lasu iść, niż być jak ty, wójtem.

Nowa fala wściekłości ogarnęła wójta. Ale teraz już nie chybi: ma określoną linję, wie, co powiedzieć i jak skończyć cały ten spór z Jagną.

— Toś ty u Tałaszów nabrała się takiej mądrości! A może Marcin ciebie nauczył?

Imię Marcina zbudziło w Wasylu całą nienawiść do niego i do Jagny. Jagna również nie mogła słyszeć spokojnie tego imienia.

— Ktoby tam uczył, dość że nauczył. Ciebie za to nic

i nikt nie nauczy. Ludzie patrzą na ciebie, jak na wilka. Sam sobie mogiłę kopiesz.

— Ty mi kopiesz mogiłę!—przerwał jej Wasyl.—Jak śmiesz chodzić do tych Tałaszów i stosunki z nimi podtrzymywać! Czyż to są ludzie? Zbóje, hołota, zbrodniarze! Czy ci mój chleb gospodarski dokuczył? Czy nie masz co włożyć na siebie, że przyjaźnić się z nimi zaczynasz? Kimże ty jesteś po tem wszystkiem?

— Cóż ty mi chleb swój wymawiasz?—oczy Jagny stały się złe i zimne.—A ja to cóż? Czym nie pracowała? Nie zarobiłam u ciebie na chleb i odzież?

Jagna rozpłakała się i zmieniając głos wykrzyknęła:

— Więc niechże ogień pochłonie i twój chleb i odzież! Lepiejbym wyrobnicą została.

—Aha! odjadłaś się! Wyrobku ci się zachciewa?— Usta Wasyla skrzywiły się spazmatycznie. Więc zabierajże swego bękarta i—precz z mojej chaty! Precz, żeby mi tu zapachu twego nie było. Niepotrzebny mi w domu zdrajca i wróg! Precz!

Schwycił za ramię Jagnę i z siłą pchnął ją ku drzwiom. Olesia, przytulona do matki, chybnęła się z nią razem i uderzyła głową o odrzwia. Dziecko złapało się ręką za głowę, ale ani płakało, ani krzyczało. Trzęsło się tylko jak w febrze. Piotruś i Grześ rzucili się do matki i uczepili się rączętami jej spódnicy.

Taka krzywda i taka obraza! Nigdy nikt na świecie tak nie postępował z Jagną. Przestraszyła się nie mniej, niż Olesia. Płochliwie spojrzała na rozwścieczonego wójta, a potem przygarnęła Olesię.

— Córuchno moja! Główkę ci uderzył ten zbój?

— Matuś. Pocoście się swarzyli z tatą?—z wyrzutem spytała Olesia.

A Wasyl, w porywie dzikiego szaleństwa, rzucił się do żerdzi, na której wisiała odzież, począł zrywać z niej suknie Jagny i Olesi i ciskać je pod nogi.

— Zabierajcie swoje szmaty i nie sterczcie mi przed oczami. Dosyć!

Potem przewrócił kufer, wskoczył nań z buciskami i począł go deptać i łamać obcasami.

Jagna milcząc włożyła krótki kożuszek, narzuciła na głowę ciepłą chustkę, ubrała Olesię.

— Chodźmy, córuchno! Niema tu dla nas miejsca.

Piotruś i Grześ wszczęli lament.

— Nie idźcie, matulu!

— I my z wami!

— Marsz na piec!—huknął na nich ojciec.

Chłopięta pokornie wypuściły z rąk połę matczynego kożuszka i, spuściwszy głowiny, pomaszerowały na piec w sąsiedztwo do dziada Cyprjana. Tu obaj zaczęli głośno płakać.

— Nie płaczcie, dziatki!—ozwała się Jagna.—Wrócę i was pozabieram.

— Zjesz djabła!—wrzasnął Wasyl.—Dosyć z ciebie twego bękarta!

— No, to jeszcze zobaczymy!—W głosie Jagny zabrzmiała groźba. Wasyl otworzył drzwi. Jagna, nie czekając na nowe szturchańce, wzięła Olesię za rękę i wyszła za próg w mrok zimowego wieczora. Nazajutrz we wsi Prymaki —tak się nazywała wieś, w której mieszkał Tałasz—o niczem innem nie gadano, jak tylko o Jagnie i o jej kłótni z wójtem Wasylem Busygą.

A na odwieczerz druga nowina nie mniejsze zdumienie wywołała wśród mieszkańców Prymaków: chata dziada Tałasza i wszystkie jego zabudowania—stały pustką. Gospodarze opuścili chatę.

XXVII

Sawko Milhun wyrobił sobie swoisty pogląd na rzeczy: lepiej się spóźnić, niż zerwać się przedwcześnie.

Oto dlaczego, pożegnawszy Maksyma, powoli, nie śpiesząc się, posuwał się w kierunku Wieprów. I poco wogóle miał się śpieszyć? Wszystko jedno—śpiesz nie śpiesz, a przeznaczenia nie ominiesz.

W Wieprach Sawko zabawił czas jakiś; miał swe powody ku temu. Po pierwsze, było tam dużo ludzi mocno pokrzywdzonych przez polaków: tu został zabity Konrad Bus, tu spalono chatę Marcina. Wogóle, Wiepry ograbili polacy jak się patrzy. Po drugie, w Wieprach byli przyjaciele Sawka, dawniejsi wspólnicy kradzieży koni. Coprawda, nie były to sprawy zbyt pochlebne, by się nad niemi długo rozwodzić, ale wspomnieć o nich w dobrej kompanji przy czarce samogonu można było, zwłaszcza, że działo się to dawno, za caratu. A Sawko miał przecie awans, wydany mu przez wójta i jego przyjaciół. Wobec tego Sawko zabawił w Wieprach dni trzy czy cztery. I, trzeba mu oddać sprawiedliwość, czasu i tu nie tracił po próżnicy: i tu szerzył tę samą pogłoskę, że ma zamiar stać się partyzantem. Coprawda, robił to zręcznie, pod wielkim sekretem. Tak się przejął swą rolą, że sam zaczynał wierzyć w swe partyzanctwo.

Lecz w ciągu tych kilku dni zaszły pewne zmiany, wobec czego synowa Tałasza przyszła do Wieprów, by

zamieszkać u ojców i, również pod wielkim sekretem, powiadomiła żonę Marcina o tej roli, jaką wyznaczyli Sawkowi wójt i jego przyjaciele.

Mieszkańcy Wieprów byli mocno oburzeni, dowiedziawszy się o tem, i niewiadomo coby się stało z Sawkiem, gdyby nie przyszedł tu Tałaszów Maksym i nie przekazał rozporządzenia ojca, by Sawka skierować do Karnaczów, do Tymka Budzika. Z takiego rozwiązania sprawy wszyscy byli radzi: Maksym—bo znalazł Sawka i wykonał rozkaz ojca, mieszkańcy Wieprów—bo nie potrzebowali łamać sobie głowy, co zrobić z Sawkiem; wreszcie—zadowolony był sam Sawko: znalazł to, czego szukał.

Z Wieprów skierował się Sawko do Karnaczów.

Tymko Budzik długo i uważnie przyglądał się Sawkowi. Sawko czuł się nawet nieswojo pod przenikliwem spojrzeniem Tymkowych oczu. Ale śmiało wytrzymał to badawcze spojrzenie i, ze swej strony, bez zmrużenia oczu spoglądał na Tymka.

— A więc to ty jesteś ten sam Sawko Milhun?—zapytał wreszcie Budzik.

„Przyczem tu „ten sam"? i dlaczego ten sam"—pomyślał Sawko. W tem „ten sam" było coś takiego, co ukłóło go, jak igła w sienniku.

— Jak to „ten sam"... Chyba jest jeszcze i nie ten sam Sawko Milhun, i ty znasz takiego?—zainteresował się Sawko.

— Może jest, może i znam go,—znacząco uśmiechnął się Tymko, i uśmiech ten niebardzo pasował do jego surowej twarzy.

— Zdaje mi się, jakbym ciebie gdzieś kiedyś widział... — Tymko znowu uważnie spojrzał na Sawka.

— Może i ja gdzieś ciebie widziałem,—i Sawko zajrzał w twarz Tymka, podkreślając słowo „gdzieś".

— A gdzież było to „gdzieś"?—spytał Tymko.

Sawko chytrze mrugnął na Budzika.

— Jeśli się nie mylę, tośmy w Mozyrzu razem u cara na wikcie i opierunku byli.

Sawko robił aluzję do Mozyrskiego więzienia. Przesiedział tam cały rok, jako „polityczny", skazany za rozpowszechnianie odezw. Ta okoliczność, ukazująca Sawka w innem świetle, wymaga wyjaśnienia. A mianowicie, Sawko wiedział, że skazani za „politykę" cieszą się poważaniem szerokich kół społecznych. Na tem zbudował swą taktykę. I w ostatnich czasach, idąc na połów, to jest na kradzież koni, brał z sobą proklamacje. Ujęto go jako koniokrada, ale znalezione przy nim proklamacje zmieniły położenie i Sawka sądzono jako socjal-demokratę.

Teraz Sawko z entuzjazmem chwali się tem, że walczył z carskim uciskiem. Tymko zaś, jak wiadomo, dostał dwa lata rot aresztanckich za podpalenie pańskiej stodoły i siedział jako kryminalny.

— Hm! tak, tak!.. Pamiętam,—podsumował wspomnienia przeszłości Tymko.—A teraz, znaczy, na wojnę z panami? Co?

— Na wojnę, bracie, aż do ostatka!—odpowiedział Sawko, i stanowczo kiwnął głową.

— A-no, to i dobrze. Zaprowadzę ciebie do naszych, zapoznam z naszym atamanem.

Dziad Tałasz, wydarłszy się tak chwacko z niewoli,

zajął się Sawkiem Milhunem: co z nim zrobić? jak postąpić z nim? Talasz miał dużo projektów, ale wobec tego, że cała sprawa nosiła charakter społeczny, stary uważał za słuszne oddać ją do decyzji gromady partyzanckiej, w której ustalały się już własne porządki i prawa.

Właśnie w tym czasie gromada partyzancka znacznie się powiększyła. Ze zbliżeniem się wiosny ruch wzmagał się i rozszerzał. Przyszedł tu i Marko Bałuk spod Cierniszcz. Przyszedł sam, ale miał własną gromadę odważnych ludzi. Chciał nawiązać łączność z partyzantami Tałasza i opracować plan wspólnego działania. Marko Bałuk cieszył się zasłużonym autorytetem wśród partyzantów Tałasza. Przyprowadził Bałuka Marcin Ryl i wszyscy powitali go z radością. Dziad Tałasz mocno i długo trząsł mu rękę.

— Dajże mi, sokole, popatrzeć na ciebie. Słyszałem ja, słyszałem o Marku Bałuku. Szukałem cię, synku, a jakże! Żonkę twą przypadkowo spotkałem. Gawędziliśmy o tobie.

Przybycie Bałuka, zbliżająca się wiosna i rozwój ruchu partyzanckiego wysuwały cały szereg nowych spraw, o których należało pomówić. Narada odbywała się w lesie. Byli tam obecni—Marko Bałuk, Marcin Ryl, Tymko Budzik, Nuprej, dziad Tałasz i kilku szeregowych partyzantów. Mówiono o formach łączności, ustalono umówione znaki, by poznawać swoich, obmyślono sposoby werbowania ludzi, podzielono rejony działań bojowych. Gdy załatwiono wszystkie te sprawy, wystąpił dziad Tałasz, by opowiedzieć o Sawku Milhunie.

— A teraz, zuchy moje, opowiem wam o czemś,—

zaczął dziad Tałasz.—Czy pamiętacie, co nam mówił towarzysz Bukrej? Mówił, że będą do nas się wcierać wrogowie nasi... Jakto on ich nazwał, bo nie pamiętam?

— Prowokatorzy,—podpowiedziano staremu.

— Otóż to, amatorzy. Otóż nie mylił się Bukrej. Mam pewne wieści o tem, że Wasyl Busyga z naszej wsi i jego przyjaciele-bogacze najęli złodzieja Sawka Milhuna, żeby ten, udając naszego człowieka, przyszedł do nas jako wojak-partyzant. Za pośrednictwem tego łotra chcą poznać wszystkie nasze sekrety, a nas panom zaprzedać. Słyszycie, co się to robi? Do czego się domyślili, dranie! Sawko do nas przyjdzie. Powiedziałem nawet, by wskazano mu, jak się do nas dostać. Powiedziałem, żeby przyszedł do Tymka Budzika. A ty, Tymku, przyprowadzisz go do nas, nic mu nie mówiąc, że wszystko o nim wiemy. Więc co my z nim zrobimy? Obmyślimy to wspólnie.

Zahuczały surowe głosy oburzenia. Na Sawka Milhuna posypał się cały grad mocnych słów i twardych przekleństw. Wreszcie wszystko to wylało się prawie jednogłośnie w surowy wyrok.

— Zastrzelić gada!

— Powiesić zdrajcę!

— Pewno, że go nie pożałujemy,—powiedział stary,— ale za plecami Sawka stoją jeszcze więksi nasi wrogowie: sam wójt Busyga, Birka i Bruj. A cóż to oni, lepsi? Darować im to mamy?

— I ich w tę samą drogę wyprawić!—dały się słyszeć groźne głosy.

Marcin Ryl stał ponury. Myślał o tem, w jakiem to środowisku żyje Jagna. Czyż nie wie o tej zmowie swego

męża i jego przyjaciół? Nie odezwał się również i Marko Bałuk.

— A ty, jak miarkujesz, synku?—zapytał go dziad Tałasz.

Bałuk uśmiechnął się.

— A ja, ojcze, ot jak miarkuję. Gdy przyjdzie do nas Sawko i wywącha to, co mu jest potrzebne, trzeba go wypuścić.

— Jakże to wypuścić takiego gada?—zapytał Tymko Budzik.

— A ot, posłuchajcie.

I słuchano Marka z wytężoną uwagą.

— Sawko pójdzie i opowie wszystko tym, którzy go posłali. Ci pójdą i doniosą o wszystkiem policji. I Sawko przyprowadzi tu policję lub żołnierzy. Tu właśnie musimy ich dopilnować i spotkać tak, by nikt z nich nie wrócił z lasu.

— Prawdę powiadaśz, synku. Złotą masz głowę! Nie gorszą niż Bukrej.

Wszystkim się spodobał pomysł Bałuka i wspólnie przystąpiono do opracowania całego planu.

W kilka dni potem Tymko przyprowadził Sawka. Po drodze opowiedział mu, że partyzancki ataman Tałasz z młodszym synem Panasem i Marcinem Rylem ukrywa się w lesie i nocuje w szałasie. Szałas ten sklecono umyślnie, by wprowadzić w błąd Sawka, w nadziei, że Sawko powie o tem wójtowi, a wójt już napewno zrobi wszystko, by sprowadzić do szałasu polaków. Sawko zaś będzie ich przewodnikiem.

Dziad Tałasz siedział w szałasie na dębowym pieńku, z dumną i hardą miną partyzanckiego atamana i pykał

fajeczkę, wypuszczając pasemka sinego dymu. Przed nim żarzyło się nieduże ognisko. W szałasie była słoma i twarde siano. Kilka prostych kilimków, zmiętych i porozrzucanych gdzie się dało, świadczyło, że tu nocują ludzie.

— Ot, ojcze, przyprowadziłem wojaka! Partyzantem chce być,—przedstawił Tymko Sawka Milhuna.

— Dobrze, synku, dobrze!.. No, witaj, Sawko!

Dziad podał rękę Sawkowi.

— Cóż cię do tego przywiodło?

— Nie mogę się z porządkami pogodzić—wielka krzywda dzieje się ludziom.

— A na cóż ty się uskarżasz?

— Mnie, prawdę mówiąc, nie pokrzywdzili oni. Ale nie mogę spokojnie patrzeć, jak innych krzywdzą. Wiecie przecież sami. A o was tak dużo mówią, że poprostu zachciało mi się być z wami, bić się z panami na śmierć. Po kiego licha oni tu potrzebni?

— No, dobrze. My cię przyjmiemy. Ale pamiętaj—słuchać nas powinieneś. U nas po wojskowemu—srogo! Damy ci polecenie, a ty je musisz wykonać.

— Wszystko będę robił, co rozkażecie!—gorąco zapewnił Sawko.

Dziad spojrzał na niego. Sawko ani okiem nie mrugnął.

— Bardzo dobrze! A więc na początek powinieneś się polakom przyglądać, wywiedzieć się, gdzie jest ich wojsko, dokąd je oni popędzą. A zważaj, synku, język trzymaj za zębami. Co o nas wiesz, o tem nikomu ani mru-mru.

— Wiadoma rzecz, czyż ja nie wiem?—podchwycił Sawko.

— No, to i wszystko tymczasem. Starajże się, synku!

Sawko, jak złodziej, ukradkiem obejrzał szałas i las.

— I wy, ojcze, sami tu mieszkacie?—zainteresował się Sawko.

— Różnie bywa... I sam i czasem ktoś na kwaterę przyjdzie. Przychodź-że tu nie później, niż za trzy dni. Opowiesz nam, co ci się uda w ciągu tego czasu dowiedzieć się. A spóźnisz się—możesz tu mnie już nie zastać.

Na tem zakończył dziad Tałasz swą audjencję.

W lesie, na rozstaju, pożegnał się Sawko z Tymkiem. Ze spuszczoną głową kroczył lasem. Po raz pierwszy w życiu czuł się jakoś mocno nieswojo. Zaczynał ogarniać go lęk i chwilami sam się przerażał tą rolą, jaką mu narzucili wójt i jego druhowie. Zaczynały się w nim budzić resztki sumienia. Dziad Tałasz ciągle stał mu w oczach. Zdawało mu się nawet, że słyszy jego głos. Dokądże to on, Sawko, idzie? Z czem idzie? Co powie? Powie, gdzie się ukrywa stary Tałasz z synem i Marcinem Rylem. Poprostu sprzeda ich, jak niegdyś sprzedawał skradzione konie. Ale co innego bydlę, a to przecież żywi ludzie, ludzie, zagnani w bagniska i lasy, jak dzikie zwierzęta, ludzie, co chcą żyć i którzy nigdy nic dobrego nie zaznali.

Były chwile, że Sawko chciał wrócić i opowiedzieć Tymkowi całą prawdę. Ale Sawko nie tak daleko znów zaszedł w swej zbrodni. Ostatni i decydujący jej moment będzie dopiero wtedy, jeśli Sawko opowie wójtowi o schronisku dziada Tałasza. Uspokoiło to nieco Sawka, więc zaczął rozmyślać, jak ma postąpić nadal. Jednak do

niczego konkretnego nie doszedł Sawko w swych rozmyślaniach.

— Na miejscu lepiej się zorjentuję,—pomyślał Sawko i, pozostawiając sobie wolne pole działania, raźniej już ruszył naprzód.

Noc już była głęboka, gdy przyszedł do Prymaków, ale po chatach, tam i ówdzie, świecił się jeszcze ogień. Sawko zatrzymał się, postał chwilę. Chciał zastukać w okno, a potem machnął ręką i ruszył dalej.

Mimo wszystko korciło go zobaczyć się z wójtem i jego kamratami. Należało jakoś się wyplątać z tego przykrego położenia, w jakiem się Sawko znalazł. Blask światła w oknach Birki pociągnął go, jak ogień ciągnie ćmę nocną. Prócz tego, Sawko był głodny.

Gospodarz otworzył mu drzwi. Sawko przestąpił próg i zatrzymał się. Stół był przykryty obrusem. Na stole stała flaszka gorzałki, wypróżniona do połowy, oraz przekąska: skwarki i kwaszona kapusta. Wójt siedział przy stole, ponury i czarny, jak noc jesienna. Ujrzawszy Sawka, ożywił się nieco. Bruj z hałasem wydobywał się z za stołu.

— No, macie! Sawka wam przyprowadziłem!—uroczyście ogłosił Birka.

— No, siadajże z nami!

Sawko powiesił czapkę na haku. Kożuszka nie zdjął jednak, a tylko rozpiął go: w chacie było ciepło. Ale rozbierać się niezręcznie mu było. Rozebrać się można tylko w kompanji równych sobie ludzi. A czy Sawko może się równać z nimi, gospodarzami-bogaczami? Kimże bo jest Sawko? Złodziej, koniokrad, człowiek, którego można kupować dla załatwienia ciemnych spraw... I jeśli

go wpuszczono do chaty i posadzono razem przy stole, to dlatego tylko, że go potrzebowano. Wszystko to przemknęło jak cień hańbiący przez głowę Sawka.

Przystąpić odrazu do sprawy, rozpytywać z czem przyszedł Sawko,—pierwszy nie odważył się nikt. Zamieniano nic nieznaczące zdania, nic wspólnego nie mające z Sawkową misją.

— Wypijże, Sawko, i przegryź... Głodny pewno jesteś z drogi.

I Bruj nalał mu szklankę siwuchy. Sawko niespokojnem pożądliwem spojrzeniem ogarnął stół z przekąską. Nie odrywając się od szklanki, wychylił samogon do gardzieli i energicznie postawił pustą szklankę na stół. Trucizna szybko rozlała mu się po żyłach, uderzyła do głowy. Jak wilk, połykał skwarki, zapychał usta kwaśną kapustą. Kapusta skrzypiała mu w zębach, a żuchwy poruszały się, jak żarna.

Przyjaciele spozierali nań i widzieli po nim, że Sawko nie przyszedł z pustemi rękami. Sawko czekał, kiedy go zapytają o sprawę i czuł, że czas już zacząć rozmowę o niej. Ale nie miał obmyślonego wcześniej planu: nie było to w jego zwyczaju. Sawko robił wszystko pod wpływem chwili, z natchnienia.

— A myśmy ciebie, Sawko, oczekiwali, myśleliśmy, niepokoiliśmy się o ciebie,—pierwszy do rzeczy odezwał się wójt.—No, jakże ci się udało? Co widziałeś, coś słyszał? Opowiadaj.

Sawko otarł usta wierzchem dłoni, schylił się i pod stołem uporządkował nos.

— Oczekiwaliście mnie? Myśleliście o mnie? Niepokoiliście się?.. Ech, Sawko! Słyszysz, jakie poszanowanie

masz, jaki honor cię spotkał... A nic sobie, chodziłem nogami, patrzyłem oczami, słuchałem uszami,—z gorzką ironją przemówił Sawko.

Wójt i jego przyjaciele pospuszczali nosy na kwintę i pochylili głowy. Niedługa pauza. Pewne zamieszanie.

— Wszystko to prawda. Ale my i bez ciebie wiemy, żeś nie na głowie chodził,—również żartobliwie do tonu Sawkowi ozwał się Bruj.

— A poco Sawkowi głowa?—w tym samym tonie prawił Sawko.—Poco mu ona? Za Sawka mędrsze głowy pomyślą. A Sawka rzecz—nogami pracować.

— Ty, Sawko, zirytowany czemś jesteś. Nie w humorze... Wypij-no jeszcze.—Gospodarz nalał mu szklankę. Sawko odsunął jego rękę wraz ze szklanką.

— Nie chcę!—oświadczył kategorycznie. Postępek jego wywołał ogólne zdumienie.

— Cóżto, Sawko, buntujesz się?—surowo zwrócił się do niego wójt.—Mów do rzeczy, jeśli cię ludzie pytają.

— Ludzie? Jacy ludzie? Kto to—ludzie? Wy?! Łotry wy, a nie ludzie. Jam leń i złodziej, koniokrad, zgubiony człowiek. Jam całkiem nie człowiek. Ale wyście pięty mojej nie warci. Kradłem i handlowałem końmi, a wy handlujecie ludźmi i własnem sumieniem. Plugastwo jesteście, nikczemnicy! Plunąć na was i rozdeptać was!

— Sawko, nie rozpuszczaj języka! Pilnuj się!—przykrzyknął na niego wójt.

Ale Sawkowi coś się stało. Zachowanie się jego poważnie zaczęło niepokoić wójta i jego kamratów. Nie stracili jednak jeszcze nadziei poznać przyczynę tak dziwnego postępowania Sawka. Ale Sawko zaciął się i był

twardy jak kamień. Wymyślał tylko i obrażał podchmieloną kompanję, znieważając ich, jak tylko umiał.

Nareszcie wójt stracił cierpliwość.

— Dosyć się stawiać! Dosyć komedji, Sawko! Ja znajdę sposób zmusić cię do powiedzenia tego, co trzeba.

— Ty mnie zmusisz do mówienia tego, co wam jest potrzebne? Mówić o starym Tałaszu, o Marcinie Rylu, gdzie i jak ich znaleźć? A niedoczekanie wasze! Idźcie i poszukajcie ich sami. A ja wam już nie sługa.

Sawko zerwał się, przewrócił butelkę i szklankę z niedopitą gorzałką i ujął się w boki.

Wójtowi nie przypadła do smaku dumna postawa Sawka Milhuna. Gniewnie nań spoglądali przyjaciele wójta.

Wójt nagle zwrócił się całą postawą do Sawka.

— Czego ty się tu panoszysz?—krzyknął na Sawka.— Siądź!

Jednocześnie schwycił go za ramiona i nacisnął, by posadzić Sawka na ławie.

Sawko poruszył barami i łokciem mocno uderzył wójta w nos.

— Precz, pański sługusie!

Wójt nie zniósł takiej obrazy. Zamachnął się i trzasnął Sawka w zęby. Wszczął się krzyk, hałas. Sczepili się i z całej siły poczęli się szarpać i tłuc wzajemnie. Birka i Bruj rzucili się na pomoc wójtowi. Sawko złapał ze stołu nóż z ostrym końcem i żgnął nim wójta pod żebro. Wójt zachwiał się, zbladł i osiadł, chwytając się ręką za bok. Sawko z całej siły pchnął stół, który z hałasem runął na podłogę. Sawko, jak tygrys, przeskoczył przez

stół, złapał z gwoździa czapkę i rzucił się do drzwi, a za nim—Birka i Bruj.

— Łap go! Trzymaj go! Gwałtu!—krzyczeli obaj, pędząc za Sawkiem, i krzyk ten jak głos rozpaczy drżał w głuchym mroku poleskiej nocy, budząc i niepokojąc śpiące psy.

XXVIII

Sawko uciekłby napewno, gdyby za nim razem z gospodarzami nie popędziły psy. Dopędzono go i ogłuszono uderzeniem drąga, bito go i deptano, wreszcie nawpół żywego przywleczono do chaty, gdzie tymczasem wójtowi przemyto i przewiązano ranę.

Rana okazała się niegłęboka i niezbyt niebezpieczna, chociaż noż zaczepił wątrobę. Wójt znalazł w sobie siły, by wydać rozporządzenie odstawić Sawka dokąd należy i zameldować tam, że Sawko miał stosunki z powstańcami. Niech go należycie zbadają. Sawko wie, gdzie się ukrywają powstańcy.

Dla polskiej defenzywy Sawko Milhun był ciekawą i bardzo potrzebną osobą. Oto dlaczego, gdy się dowiedziano, kim jest Sawko Milhun, dokąd i poco chodził, i jaką dano mu rolę, kierownicy defenzywy zwołali naradę i postanowili natychmiast zbadać Sawka, stosując wszelkie środki, by otrzymać niezbędne zeznania.

Sawkowi włożono kajdanki, otoczono go silnym konwojem i odprowadzono do pokoju badań.

Kiedy Sawko powiódł wzrokiem po tym pokoju z jego umeblowaniem, instalacją i przyrządami, których zastosowania mógł się tylko domyśleć, wzdrygnął się i

upadł na duchu. Zrobiło mu się straszno, choć Sawko w swem życiu przeszedł niejedno badanie.

Pokój był dość przestronny. Pośrodku stał duży masywny stół. Przy stole siedziały trzy osoby. Jedna z nich,—rudy mężczyzna o szerokiej twarzy, szczególnie zwracał uwagę wyrazem okrucieństwa i tępej oziębłości. Drugi był króciutki i żwawy, gładko wygolony i z nieco skrzywionym nosem. Na jego ustach błądził słodziutki uśmieszek, sam zaś ciągle kręcił się jak na sprężynach, gotowy, zda się, wcisnąć się w najmniejszą szczelinkę. Trzeci—długi, chudy i ponury, o ziemistej barwie twarzy, siedział nad jakimś papierem, zagłębiony w czytanie i od czasu do czasu robił jakieś notatki. W jednej ze ścian były drzwi, wąskie i niskie, wywołujące strach i niewesołe domysły.

Czas jakiś nie zwracano na Sawka uwagi. Trzej siedzący przy stole zamieniali stłumionym głosem słów kilka i potakiwali głowami.

Całe to otoczenie i tajemnicze szepty dręczyły Sawka i budziły w nim uczucie zgrozy. Stał nieruchomo, patrzył w jeden punkt i czekał ze strachem, z której strony i z jaką siłą zadadzą mu cios. Myśli jego, wytrącone z równowagi całem tem przejściem, przeskakiwały niespokojnie z jednej rzeczy na inną, by rozwiązać cały szereg niepokojących go domysłów.

Nareszcie Rudy, widocznie starszy wśród nich, podniósł głowę i wlepił w Sawka swe przenikliwe, wyłupiaste oczy. Chwilę patrzył, jakby go chciał zaczarować.

— Chodź tutaj!—cicho, ale rozkazującym głosem zawołał na Sawka.

Sawko, zbity i pomięty, cały w sińcach i z kajdankami u rąk, postąpił dwa kroki ku stołowi i zatrzymał się

„Żwawy“ wpatrywał się w Sawka myszemi oczkami. Słodziutki uśmieszek jeszcze bardziej skrzywił mu nos.

— Gdzie ciebie tak pobito?—ze współczuciem spytał Sawka.

Ze wzruszenia i wszystkiego, co przeżył w ostatnich czasach, Sawko miał gardło wyschnięte i głos ochrypły.

— Piliśmy i pobiliśmy się,—krótko odpowiedział Sawko, myśląc w duchu, że nie warto zbyt dużo gadać, bo można się łatwo zaplątać. Trzeba tylko odpowiadać na pytania. To samo mówili ludzie, którzy przeszli praktykę badania.

— Piliście i pobiliście się!—powtórzył „Żwawy“, i uśmiechnął się znacząco. Uśmiech ten zdawał się mówić:— „Gadaj zdrów, gadaj! A my wiemy coś innego, coś o wiele gorszego“.

Dalej badanie prowadził Rudy.

— Jak się nazywasz?

— Ile masz lat?

— Czem się trudnisz?

— Czy byłeś sądzony?

— Za co cię sądzono?

I te i inne pytania tego rodzaju nie były dla Sawka nowością; odpowiadał na nie już nieraz. Ale i na te najprostsze rzeczy Sawko odpowiadał plącząc się, by ujawnić swą głupotę. Wiedział dobrze, że czekają go daleko trudniejsze pytania. Istotnie, Rudy zaczął je zadawać.

— Czy uznajesz rząd polski?

Sawko pomyślał i odpowiedział:

— Uznaję.

— A więc wiesz dobrze, że wójt jest urzędową osobą. Cóż cię skłoniło do zamachu na życie wójta?

— Do zamachu na życie?—zdziwił się Sawko.—Żadnego zamiaru zabójstwa nie było, i w głowie mi to nie powstało.

— Ale nóż mu pod żebro wsadziłeś?

Sawko zdziwił się jeszcze bardziej. Na twarzy jego odbiła się zgroza... Czyż to być może, żeby on wraził nóż w bok wójta?

— Więc któż go pchnął nożem?

— Ja tego nie pamiętam.

— Ale pamiętasz, żeście „pili i pobili się“?

„Żwawy“ ze słodziutkim uśmiechem przypomniał Sawkowi jego własne słowa.

— Żeśmy pili, i żeśmy się pobili—pamiętam. Ale jak pobiliśmy się i czym się rzucił na wójta i to z nożem w dodatku,—tego nie pamiętam.

— A o coście wszczęli bójkę?

Było to niebezpieczne dla Sawka pytanie. By dać na nie odpowiedź, trzeba było o wielu rzeczach opowiedzieć. Sawko zaś nie wiedział, do jakiego stopnia poinformowani są jego sędziowie. Lepiej odpowiadać ostrożnie.

— Przy wypitce zawsze się zdarzają kłótnie i bijatyki. Pijany byłem i nic nie pamiętam.

Sawko uczepił się pijaństwa, jak deski zbawienia.

Tym razem „Żwawy“, który nie spuszczał oczu z Sawka, roześmiał się tak złośliwie i wyraziście, że Sawko zrozumiał, iż mu nie wierzą.

— No, to ja ci przypomnę,—powiedział Rudy. I powtórzył dokładnie rozmowę Sawka z wójtem i jego przyjaciółmi.

Sawko zrozumiał, że sędziowie jego już wiedzą o tej roli, do której go wynajęto. Puścił się więc na fortel:

sam opowie o wszystkiem, nie wspomni tylko o spotkaniu z Tymkiem i Tałaszem, by na wszelki wypadek zabezpieczyć się wobec nich. Tak też postąpił, zacząwszy swą opowieść od tego, że powie całą prawdę i przyzna się do wszystkiego.

Słuchano Sawka uważnie. Kiedy Sawko skończył, pochwalono go nawet, że wziął się do dobrej sprawy, do dzieła wykrycia zbrodniarzy i wrogów rządu polskiego, który niesie ludowi wolność i wyzwolenie od jarzma bolszewickiego. Spodziewali się jednak posłyszeć od Sawka o najważniejszej rzeczy i z takiego „przyznania się" nie byli zadowoleni.

Ale Sawko skończył i milczał. Milczeli czas jakiś i oni. „Rudy", przyglądając się Sawkowi, bębnił palcami po stole. „Żwawy" wyglądał tak, jakby dopiero teraz przygotował się do wysłuchania najciekawszej rzeczy. Nawet „Długi" nastawił uszu. Wreszcie „Żwawy", nie doczekawszy się od Sawka finału opowiadania, podsumował wyniki śledztwa.

— Uważamy za rzecz bezwzględnie udowodnioną, że zamiar zabójstwa osoby urzędowej z twej strony był. Niech pan to tak zapisze,—zwrócił swój krzywy nos do długiego i ponurego człowieka o ziemistej cerze.

— Tak, zamiar zabójstwa—to fakt ustalony,—powtórzył „Żwawy", zwracając się do Sawka.—To jedno wystarczy, by cię, wedle praw stanu wojennego, powiesić.—Tak, powiesić! Dalej. Z twego zeznania widać jasno i logicznie, że miałeś do czynienia z powstańcami, przeciwko rządowi polskiemu, a tyś to zatail. Stąd wynika, że współczujesz zbrodniarzom i ukrywasz ich. Inaczej mówiąc, sam jesteś takim zbrodniarzem i po raz drugi

zasłużyłeś na szubienicę. Tak, tak! Ale ratunek dla ciebie jeszcze jest, jeśli powiesz, gdzie są zbrodniarze, z którymi się widziałeś i rozmawiałeś, i jeśli pomożesz ich złapać.

Sytuacja była fatalna. Ale Sawko myślał, że biorą go na kawał. Zaciął się i uporczywie zaprzeczał, jakoby się widział z powstańcami i rozmawiał z nimi. Długo męczyli się nad nim panowie śledczy, starając się podziałać nań to obietnicami, to namową, to groźbą. Ale Sawko twierdził swoje:

— Nie wiem. Nie widziałem.

Wówczas „Rudy" nagle zmienił taktykę. Zerwał się, krew uderzyła mu do głowy. Huknął pięścią w stół i wrzasnął:

— Łżesz, gałganie! Ale my cię zapytamy inaczej.

Wyszedł z za stołu i skierował się ku niskim wąskim drzwiom. Stuknął mocno w te drzwi dwa razy i zawołał:

— Adolf!

Drzwi się otworzyły natychmiast. Pochyliwszy się, wyszedł z nich zbój olbrzymiego wzrostu i kształtów.

— Słucham pana!—zagrzmiał jego głos. Rudy skinieniem wskazał mu Sawka.

— Dowiedz-no się od niego prawdy!

Sawko ani się spostrzegł, jak go porwały żelazne ręce i powlokły do owego straszliwego narzędzia, które przedtem jeszcze zwróciło jego uwagę. Na chwilę stracił przytomność. Odzyskał zaś ją dopiero wtedy, gdy szyję jego ujęły szczelnie drewniane kleszcze. Poczuł, że jakaś siła odrywa go od ziemi. Straszliwy ból mgłą zasnuł mu oczy. Żyły jego wyciągnęły się, kości trzeszczały i go-

towe były pęknąć lada chwila. Sawko zawył dzikim głosem i zemdlał. Gdy się ocknął, zobaczył, że leży na podłodze, a koło niego stoją: straszny Adolf, Rudy i Żwawy.

Sawko tępo spojrzał Rudemu w oczy.

— Powiesz prawdę? Gdzie są powstańcy?

— Nie wiem,—odpowiedział Sawko.

Myślał, że teraz mu uwierzą, ale Rudy znowu nazwał straszne imię:

— Adolf!

Sawko poczuł, że sił mu nie wystarczy, że nie wytrzyma i poddał się.

. . . .

Troje obszernych sań, zaprzężonych dobremi końmi, szybko mknie przez groble i leśne drogi między bagnami. W saniach jacyś nieznani ludzie, widocznie zdaleka. Na trzech furmankach jest ich trzynastu. I wszyscy, to narod krzepki, młody i zdrów, jak na wybór.

Z wyglądu, to właściciele folwarków, średniej kondycji obywatele. Zachowują się kulturalnie, poważnie. Dokądże to jadą oni? Czy nie w gościnę do jakiegoś folwarczku?

Ciekawe, że jadą sami mężczyźni. Ale noc ukrywa ich przed okiem ciekawych. Chyba tylko spóźniony w drodze podróżny odprowadzi ich badawczym wzrokiem, i uskoczywszy na bok, zapyta w duchu: „A cóż to za ludzie". I nikt się nie domyśli, że to przebrani agenci polskiej defenzywy, że na pierwszej furmance siedzi Sawko Milhun i wskazuje drogę do lasu, gdzie znalazł sobie schronisko wygnany z domu Tałasz. I nie domyśla się Sawko, że tam w lesie już oczekują i jego i „gości".

Sawko czuje się marnie. I nie dlatego, że go porządnie zbili wójtowi przyjaciele i wydali go w ręce tych katów, nie dlatego, że go katowano, wyciągając żyły i kości...

Nie, Sawko czuje się źle dlatego, że złamano jego wolę, upór, zaciętość. Że zmuszono go robić to, co im było potrzebne.

Sawko chciał skwitować się z wójtem i jego wspólnikami. Chciał zerwać z nimi kontrakt i wycofać się z tej brudnej roli, do której go namówiono. Dałby sobie jakoś radę. Żył na świecie i bez ich łaski. Ale stało się inaczej. Rzecz przybrała ohydny, wstrętny obrót.

I straszno Sawkowi, boi się tego lasu, tego szałasu, w którym rozmawiał z dziadem. I sam dziad Tałasz stoi mu w oczach, a w uszach dźwięczą surowe jego słowa: „Trzymajże język za zębami".

Sawko chciał trzymać go za zębami i nie dlatego, że tak rozkazał dziad Tałasz. Nie! Sawko poprostu sam się przeraził tej ohydnej roli, jaką tak lekkomyślnie podjął się wykonać.

A może tam nikogo nie będzie? Ot, dobrzeby było, żeby tam nie zastali nikogo! I Rudy nic mu nie zrobi, jeśli szałas okaże się pusty: nie mógłże Sawko przywiązać doń dziada Tałasza! A ślady pobytu tego tam znajdą.

Sawko nie myśli o tem, co będzie, gdy wrócą z lasu. Nie myśli nawet o tem, że jest jeńcem, że z rąk jego nie zdjęto kajdanków. Zdejmą je wówczas, gdy Sawko wskaże szałas, gdzie się ukrywają niebezpieczni przywódcy powstańców. Tak mu obiecano. Ale Sawko już im nie wierzy.

Teraz zaś każdy jego ruch jest pilnie śledzony. Dwie pary oczu nań patrzą. Dwie ręce rewolwery trzymają w pogotowiu. Dość, żeby Sawko poruszył się swobodniej, dość krzyknąć, że jest jeńcem, by go zastrzelono jak psa. A może jednak spróbować machnąć do lasu? Noc, las, pustka. A nuż się wyrwie, a nuż ucieknie?

Ohydnie czuje się Sawko, a to dlatego, że nie doprowadza do końca swych myśli, robi wszystko na chybił-trafił, polegając na szczęśliwym wypadku. I znów straszny jest dla Sawka ten las. Nie, nie las, a ludzie Straszniejszy jest sąd ludzki. A las już blisko. Zaraz droga się skończy—trzeba iść pieszo.

Pierwsze sanie zatrzymują się. Dwoje pozostałych nadjeżdża i staje bliziutko. Trzy kilometry dzielą ich od miejsca, gdzie stoi szałas, ukrycie i schronisko starego atamana, jego i syna i pomocnika jego, Marcina Ryla.

Rej prowadzi Rudy.

— Do broni!—rozlega się stłumiona komenda...

Szpicle i agenci porzucają maskaradę, biorą karabiny i rewolwery, ładują je i wyskakują z sań. Wyciągają się w łańcuch na wąskiej drożynie leśnej. Na czele Sawko i jego warta. Ci dwaj nie spuszczają zeń oczu, nie wypuszczają z rąk. Posuwają się ostrożnie, by nie robić hałasu.

A las, spowity w mrok, czujnie łowi każdy nieostrożny dźwięk, każdy szmer. Las milczy głucho, uporczywie Zdaje się—pusto w nim jest, bezludnie.

Lecz to tylko pozory spokoju i martwoty. Wśród tej głuchej ciszy snują się ludzie, jak niewidoczne cienie, mrok przebijając oczyma. Widzą już—wróg jest w lesie, wróg śmiertelny, zawzięty, nie mający litości. Ludzie obliczają siłę przeciwnika, szeptem podają wieści

o liczebności wroga wzdłuż ciasnego ludzkiego łańcucha i coraz bardziej zwężają swe koło.

A wróg się zbliża. Oczy Sawka z trwogą i niepokojem wpatrują się w mrok lasu, w tę stronę, gdzie stoi szałas. Skradają się już chyba godzinę. Szałas powinien być blisko. I nagle—błysnął w lesie płomyczek. Miga jak wilcze oko w ciemności pod namiotem gałęzi. Ech, stary, stary! sam pomagasz wrogowi, ułatwiasz mu zadanie. Sawko drży, jak w febrze, ręce mu latają.

— Tu!—szepcze do swej warty, wskazując mały, płochliwy płomyczek.

Zatrzymują się.

Sawko i dwaj jego wartownicy zostają styłu. Misja Sawka, ohydna misja zdrajcy—skończona.

A dziesięć osób pod dowództwem Rudego idzie dalej, rozchodzi się w tyraljerkę, zdaleka otacza dokoła szałas i łagodne mdłe światełko koło niego.

Powoli, w bolesnem naprężeniu mijają chwile, długie, męczące. W miarę zwężania się koła, posuwają się wartownicy, podpychają Sawka. Nogi mu nie służą, drętwieją. Szałas już blisko, otoczony jest szczelnie, beznadziejnie dla tych, co znaleźli w nim schron i spoczynek.

Mija chwila i druga, chwila nieznośnej ciszy. Błysnęły białe światełka: szpicle latarkami oświetlili wnętrze szałasu.

W szałasie—pusto...

Zostało tylko siano i kilka starych kilimków. Rudy i jego podwładni schodzą się do kupy, kręcą się koło ognia, słychać ich głosy. Są rozczarowani, zdetonowani: przeklęty powstaniec zniknął, jak zły duch. A był tutaj, był niedawno!

Rudy obmyśla plan dalszego działania. Gotów już jest wydać nowy rozkaz, gdy nagle, jak proch, zapłonął stos opodal szałasu. Płomień buchnął do połowy wysokości lasu i ogarnął jego konary i gałęzie. I drugi ogień, takiż gwałtowny i szybki, oświetlił las z drugiej strony. I szałas i las dookoła zostały oświetlone tak jasno, jakby południowem słońcem. To Tymko Budzik, specjalista podpalania pańskich stodół, urządził taką iluminację.

— Złóż broń!—jak grom huknął czyjś potężny głos.

— Złóż broń!—jak echo odpowiedział grzmot głosów ludzkich. Ze wszystkich stron, z mroku lasu, zgęszczonego przez ogień, runęli partyzanci z karabinami „do ataku" i otoczyli gęstą ścianą Rudego i jego oddział.

W milczeniu i pokornie porzucali wszyscy swą broń.

— A my tu na was dawno już czekamy!—powiedział stary ataman. Niedobry uśmiech rozsunął mu usta i rozjaśnił surową twarz.

Z natłoku partyzantów przecisnął się Panas. Wzdrygnął się, spojrzawszy na Rudego.

— A to ten sam, co mnie zaaresztował!

Sawko upadł na śnieg. Wystraszeni wartownicy popadali również. Styłu nadbiegli partyzanci, z całym lasem nastawionych bagnetów. Rozbroili ich, i wszystkich trzech poprowadzili do szałasu. Tu też odbył się krótki sąd. Sądzono hurtem.

Kilka salw było odpowiedzią na wyrok sądu.

A Sawka—sądzono osobno. Sądzono uważnie i długo. W lesie wiedziano, że Sawko wraził nóż pod żebro wójtowi, że Sawka oddano w ręce władz polskich. Sawko miał ręce zakute w kajdany, sińce na twarzy, a na szyi ślady katowania. Lecz nie było zgody w poglądach sę-

dziów. Jedni byli za tem, by Sawkowi darować, inni—żądali śmierci dla Sawka. Nareszcie uchwalono oddać decyzję w ręce Tałasza i Marcina Ryla, wobec tego, że zbrodnia Sawka przedewszystkiem przeciwko nim była skierowana. Stary Tałasz patrzył na Sawka, patrzył długo, z wyrzutem.

— Idź, idź precz! Niech cię nie widzą oczy moje. Żyj!

I spytał Marcina:

— Zgadzasz się?

Marcin w milczeniu skinął głową.

XXIX

Niespodziewane mrozy, co nagle spadły na Polesie po kilku dniach cichej i łagodnej pogody, przed końcem zimy—trzymały niedługo. Pogoda zmieniła się odrazu. W ciepłem powietrzu nad przestrzenią bagien zawisła szafirowa smuga—zwiastun ciepła i odwilży.

Po lasach i bagniskach głęboki śnieg osiadł. Przyjaźnie rozkołysał południowy wiatr wyziębłe gałązki, otrząsnął z nich białą śnieżną odzież, z wiosenną pieśnią przeleciał nad zastygłemi krzakami i wieścią o wiośnie załopotał w słomianych strzechach chat. Weselej spojrzały na świat wyzwolone od zimna drzewa, radośnie odpowiedziały szerokim poszumem na podmuchy ciepłego wiatru. Zapłakała zima miljonem łez. Rozmiękły, nasiąknięty wodą śnieg, kupami popełznął ze strzech, niepokojącym szelestem naruszając ciszę. Na ulicach i drogach zaczęły występować mętno-żółte kałuże i ruszyły w swą drogę pierwsze wiosenne strumyki. Hymnem wiosennym zadźwięczały pieśni skowrończe.

Wiosna, młody burzliwy wir życia, potężny niepowstrzymany ruch w nieokreślone przestwory, szerokie jak swoboda i niejasne, jak owe dale zamglone.

Wiosny zaś na Polesiu oczekiwano ze strachem i niepokojem.

Ruchliwiej zabrały się do roboty sztaby wojenne, już to umacniając pozycje, już to przegrupowując żywe siły, ściągano działa i opancerzone maszyny, wybierano najsłabsze miejsca i najczulsze ośrodki swego przeciwnika, kombinowano.

Wczesna wiosna, szybko i gwałtownie nabierająca sił, w kilka dni przeistoczyła poleski krajobraz. Bagna zmieniły się w pustynie wodne, z których smętnie sterczały rude kępy suchej zeszłorocznej trawy, nagie rózgi łóz do połowy wodą zalanych i wysokie kikuty olch, z których już życie uciekło.

Tylko ciemne puszcze zachowały swą zwykłą surowość, nawet ponurość, kryjąc w swem wnętrzu legowiska zwierza, nieprzebyte grzęzawiska, rzeczki i jeziorka, piaszczyste wysepki, wąskie, nie wszystkim znane, przejścia, drogi z nieskończonemi brodami, i szerokie strumienie wody śniegowej, co ruchomą, choć powolną, lawiną przelewały się z bagniska w bagnisko, zmierzając ku Prypeci.

Ale jakież wesołe i wabiące są skraje tych puszcz, gdzie każda piędź ziemi, ogrzana słońcem wiosennem, żyje radosnem twórczem życiem, wydając pierwsze pędy młodej zieleni.

Zaroiły się mrówki, rozmaite żuczki i muszki, takie malusieńkie, że trzeba się uważnie przyglądać, by zauważyć ich radosny ruch na każdym ogrzanym kawałku

ziemi, na suchych badylach, na korze dawno zgniłego drzewa.

A w powietrzu dzwoni rozgwar ptaszęcy i radosne pokrzykiwanie.

Rozlewa szerokie wody powódź, odzwierciadlając czyste niebo i jaskrawe słońce. Jak wysepki, tu i owdzie, porozrzucane są siedziby ludzkie. I cicho w nich, człowieka nie widać. Przyczaiła się wioska poleska. Ale to tylko zwodniczy pozór ciszy i spokoju. Wodna pustynia nosi na swem łonie bystre ostrodziobe czółna i lekkie czajki-duszehubki. A w tych czółnach i czajkach przesuwają się od wsi do wsi ludzie, skryci, zamknięci w sobie synowie Polesia, wypłoszeni, wytrąceni z normalnego biegu życia wdarciem się znienawidzonych okupantów.

Podejrzliwie wpatrują się oni w dale zalanych wodą bagien i pomykają w swych czółnach, kryjąc się w krzakach, wśród wysokich suchych oczeretów.

W tych wodnych przestworach, pod ciemną kopułą ponurych lasów kryją się groźne zamiary chłopów-powstańców. Tajemna zmowa kryje się pod strzechami zapadłych chat.

Zaczęło się.

A niespokojne myśli rysowały ludziom straszne obrazy wojny.

I ludzie w ciszy swych głuchych leśnych zakątków rozmyślali, jak przechować mizerny zapas zboża przed żarłoczną paszczą wojny, jak ustrzec swą chudobę, konia i inny dobytek przed pańską chciwością, jak wreszcie wykręcić się samemu, by nie trafić pod krwawe koła wojny.

Ludzie rzucali się do pracy, by wykorzystać póki

czas, każdy dzień, każdą godzinę, by oddać ziemi na przechowanie i procent choć małą ilość zboża i ziemniaków, a resztę ukryć przed nieproszonymi gośćmi. Śpieszono z siewem, ukrywano chudobę po niedostępnych wyspach.

Chociaż wszyscy wiedzieli, ze z wiosną wojna wybuchnie z nową siłą, ale gdy przyszła wiosna i wieść o wojnie, denerwowało i męczyło to ludzi.

A wojna dopiero się zaczynała, dopiero nabierała rozpędu.

Pierwsi zaczęli ją białopolacy. Moment był odpowiedni. Całe oddziały Armji Czerwonej zostały odwołane z tego frontu, by je przerzucić na południe. Białopolacy ściągnęli wojska, podwieźli działa, samochody pancerne, broń. Przeszło dziesięć dywizyj zgromadzili na prawo od Polesia i pchnęli je na Kijów.

Szybko posuwało się naprzód wojsko polskie. Rozwinięto natarcie na szerokim froncie. Polskie ulotki i gazety zaszeleściły, jak liście późną jesienią. Tłustym drukiem głosiły one o zwycięstwach polskiego oręża, o zagarnięciu wiosek, miast i całych rejonów. Gorliwie modlili się księża po kościołach, odczytywali meldunki z' frontu, i nawoływali lud do ofiar, do bohaterstwa, do wojny o świętą wiarę katolicką przeciwko bezbożnikom-bolszewikom.

Granic nie miała radość panów.

Radość, zapał patrjotyczny, jak powódź wiosenna zalewały pańską Polskę. Zaślepieni tym wirem patrjotycznego entuzjazmu nie widzieli, czy nie chcieli widzieć panowie, że nie wszystko było spokojne na głębokich i bliskich tyłach frontu wojennego.

XXX

Ze dwa tygodnie przeleżał Wasyl Busyga po bójce z Sawkiem Milhunem. Z pięć dni był w szpitalu. Jedną stronę życia Wasyla Busygi uniósł wartki prąd niepowodzeń. Od pierwszej chwili wójtostwa nie szło mu w pożyciu rodzinnem. Skończyło się to burzliwym konfliktem z Jagną, a konflikt skończył się tem, że wójt wygnał Jagnę z domu. Marcin Ryl, w którego aresztowaniu wójt niepoślednią rolę odegrał, uciekł spod eskorty. Dziada Tałasza, bez względu na różne machinacje, jak, naprzykład, aresztowanie Panasa, w żaden sposób złapać nie można. Sawko Milhun, którego wybrał jako swoje oko w śledzeniu powstańców, nieoczekiwanie zdradził go i skończył skandalem, w dodatku wraziwszy jemu, wójtowi, nóż pod żebro. Czarnym cieniem zapadł teraz Sawko w serce wójta, a to dlatego, że wójt nie wiedział, gdzie się podział Sawko. Wójt wie, że Sawko poprowadził polską defenzywę do lasu, by ująć niebezpiecznych powstańców i że defenzywiacy polscy z lasu nie wrócili: rozstrzelano ich tam co do jednego. Trupy ich znaleziono w lesie, ale Sawka nie było wśród nich. Wszystko to wskazywało, że na polaków urządzono w lesie zasadzkę. Ale jak się to stało? Jaki udział brał w tem Sawko?

Oto pytania, które dręczyły i nękały wójta, przesłaniając swym ogromem wszystko inne. Wasyl Busyga chodzi ponury. Sczerniał i osunął się. W chacie pusto i cicho: on i ojciec, stary Cyprjan. Widać z zachowania się starego, że nie pochwala on postępowania Wasyla z Jagną i Olesią. Dziad Cyprjan ma swoje zdanie: trzeba

było trochę „poświęcić“ żonkę lejcami, jeżeli zawiniła i na tem koniec. Ale kto posłucha starego? Zmądrzała młodzież, nie słucha starszych. Stąd się zaczęło zamieszanie na świecie. Żal mu Wasyla, ale jego, starego, kto pożałuje? Kto zwróci uwagę na jego słowa? Eh, starość, starość! Komuś ty potrzebna? I dziad Cyprjan rozmyśla o nieporozumieniach w chacie.

Jagna przychodziła, gdy Wasyl był w szpitalu.

— No, to i dobrze, żeś przyszła,—spokojnie spotkał ją stary.

Stary uważa, że Jagna powinna wrócić i pogodzić się z Wasylem, tem bardziej, że się z nim takie licho zdarzyło.

— Nie wołał on mnie i nie wrócę,—odpowiedziała Jagna; w głosie jej brzmi obraza i krzywda. I dodaje twardo i stanowczo:

— A choćby prosił, choćby błagał, bym wróciła, wszystko jedno żyć z nim nie będę.

Dziad trzęsie głową.

— Nie trzeba tak się zacinać, Jagno. Mało co tam bywa między mężem a żoną...

— On mi wymawia chleb i odzież, jakbym nie pracowała. Więc nie chcę ani chleba jego, ani odzieży, ani jego bogactwa. Dosyć już tego, żem się połakomiła na to jego bogactwo, niech je piorun spali!

— Więc pocóżeś przyszła?—dziwi się dziad Cyprjan.

— Przyszłam zabrać to, co z domu ze sobą przyniosłam, i chleba dla dzieci wziąć. Karmić je przecież muszę?

Dziad Cyprjan milczy. Wie, że dzieci jeść muszą. Ale wie również, że jeśli Jagna weźmie chleb, a on na

to pozwoli, to stanie się jakby wspólnikiem synowej w zmowie przeciwko Wasylowi.

Protestuje więc dziad, stoi na swojem, że trzeba zabrać dzieci i wrócić do chaty.

Wnuczęta jego, gdy tylko ojca wzięto do szpitala, pouciekały do matki. Ale Jagnie nic wmówić nie można. Uparła się kobieta przy swojem, i ani rusz! Dziad bezradnie trzęsie głową, rozkłada ręce. No, co on z nią poradzi? A dzieci karmić trzeba, to prawda... Eh, niech tam robią, co chcą.

Jagna zabiera swój kufer, worek kaszy, dwa worki mąki i kładzie to wszystko na sanie. Dziad Cyprjan, czy to z żalu, czy z innych powodów, powiada:

— To weźże mięsa i omasty.

O tem wszystkiem zameldował synowi po jego powrocie. Co Wasyl pomyślał—niewiadomo, ale nic nie powiedział. Jednym słowem wójt trafił w cały potok przykrości i niepowodzeń. A najgorzej jest z Sawkiem, Tałaszem i Rylem. Świat mu oni zamknęli i dopóki z nimi nie dojdzie Wasyl do ładu, spokoju mieć nie będzie.

Lecz nietylko wójta niepokoił Sawko. Myśleli o nim również i przyjaciele wójtowi. Nie myśleć o nim nie można: zbyt blisko był z nimi związany. Ot i macie Sawka, macie „partyzanta“! Tak sprawę zagmatwał, że stokroć lepiej było nie mieć z nim do czynienia. Toć to nie żarty: dwunastu polaków stracono w lesie, zamiast tego, by zabrać trzech powstańców. Widać, siła ich tam niemała! A co będzie, jeśli Sawko zdradził ich sekret? Sawko Milhun stał się dla nich postrachem i symbolem niepewności.

Przestronna jest chata wójta. Teraz sprawia nawet
wrażenie pustki, choć dobra wszelakiego w niej pełno.
Brak tu żywych ludzi. Nie widać gospodyni, a bez ko-
biety pustka w chacie nabiera charakteru smutku i mar-
twoty. Nie widać żwawych postaci dziecięcych, nie sły-
chać ich szczebiotu. Cicho jest w chacie wójta, jak w
grobie. A może tak się tylko wydaje z nieprzyzwyczaje-
nia? Dziad Cyprjan leży na piecu. Stygnie stara krew,
a tu ciepło. Dziad Cyprjan i chata jego syna, to kate-
gorję teraz już słabo z sobą związane. Zakres zaintere-
sowań dziada się zwęża i chata powstaje jakby poza tym
zakresem.

Wójt chodzi po chacie i myśli. Rozterka szarpie
wójtem, tylko charakter tej rozterki jest inny, niż u
dziada. Droga wójta i drogi oraz ich kierunek prze-
ważającej większości chłopów, a w ich liczbie i Jagny,
leżą w różnych płaszczyznach. Wójt tego nie wie, ale
to odczuwa, odczuwa swe odosobnienie i obcość. Może
dlatego jest taki ponury?

Rozjaśnia się nieco, gdy w drzwiach ukazali się Birka
i Bruj.

— No, jakże zdrowie, Wasylu?

Obaj witają wójta podaniem ręki.

Ale i to zwykłe powitanie „Jak zdrowie?“ brzmi dziś
nie tak, jak zwykle. Wywołuje ono szereg wspomnień
ubiegłych wypadków i przedewszystkiem ów wieczór, gdy
Sawko wrócił z „wyprawy“.

Spoczątku rozmowa się nie klei i dopiero, gdy Bruj
postawił na stole butelkę, pogawędka się ożywiła.

— A jednak, moiście wy, gdzie to mógł podziać się
Sawko?

Birkę zaciekawia to nie mniej, niż wójta i Bruja. Bruj milczy. Myśleli już o tem obaj z Birką. Ciekawe, jak się na to zapatruje Wasyl.

— A licho go wie,—wzrusza ramionami wójt.

— A nie przypuszczacie, że przystał on do partyzantów-powstańców?—pyta dalej Birka.

— Po Sawku można wszystkiego się spodziewać,—mówi Bruj.—Gdzie mu więcej dadzą, tam pójdzie.

— Szkoda tylko, żeśmy o tem wcześniej nie pomyśleli,—z wyrzutem odzywa się wójt.—Najciekawsze, dlaczego nie chciał powiedzieć, że był u nich, i wie gdzie są oni? Przyznał się wtedy dopiero, gdy go przyciśnięto do muru i zapytano jak należy.

— No, to jest jasne dlaczego,—mówi Bruj,—skoro poszedł z nimi do spółki, więc nie chciał ich wydawać. A może i przestraszył się ich.

Ostatnie przypuszczenie zmusiło wójta zamyślić się.

— To być mogło,—zgodził się,—ale przebieg wypadków mówi co innego. Jakże to się mogło stać, że dwunastu ludzi, trzynasty Sawko, pojechali tam, a nikt z nich nie wrócił. To znaczy, że napadnięto na nich znienacka. To znaczy, że tam się spodziewano, że przyjadą ich brać i dobrze się przygotowano do tego. Niemało ich tam było... Jakże mi to wytłumaczycie?

Bruj i Birka milczeli.

— Licho go wie, jak tam było,—robi gest powątpiewania Bruj.

— W tem cała bieda, że to ciemna sprawa. Przypuśćmy,—rozważa dalej wójt,—że Sawko wydał powstańcom nasze sekrety? Cóż wtedy zrobiliby oni? Gdyby nie mieli siły, przeszliby wprost na inne miejsce. A po-

nieważ siłę posiadali, to polecili Sawkowi: „Idź, opowiedz im (to znaczy nam), gdzie jesteśmy. Tamci powiedzą, gdzie należy i przyjdą nas łowić, a ty ich poprowadzisz tutaj“. Oto coby mu powiedzieli powstańcy, Sawko nie miałby wtedy powodu do milczenia. A jednak Sawko nic nam nie powiedział.

Widać wójt dobrze namęczył głowę, rozmyślając o tej strasznej i niejasnej historji. A niejasność ta dusiła go, przytłaczała, jak przytłaczała również Birkę i Bruja.

— Więc sądzisz, że Sawko nie wydał im naszej zmowy?—zwraca się Birka do wójta.

— Trudno tu coś pewnego powiedzieć. Ale jak już mówiłem, sam przebieg sprawy wskazuje, że Sawko nie powiedział im nic.

Odpowiedź wójta nieco uspakaja Birkę, robi mu się lżej na sercu.

Ale głos zabiera roztropny Bruj.

— Ty, Wasylu, wszystko to dobrze rozważyłeś i nic przeciwko temu rzec nie można. Sawko napewno nie mówił, żeśmy go podesłali. Ale że z Sawkiem stało się coś, co go mocno poruszyło, za to ręczę. Pamiętacie, jaki on był wtedy? Niepodobny był do Sawka i takim nie był on nigdy.

Bruj odetchnął głębiej i zniżył głos.

— Dla mnie teraz co innego jest jasne. To nie Sawko, a ktoś inny nas wyśledził i opowiedział Tałaszowi i o Sawku i o nas.

Słowa te zrobiły wrażenie pioruna, który strzelił z komina chaty wójtowej. Birka zadrżał, a wójt pociemniał jeszcze bardziej. Wójt przypomniał sobie Jagnę w ów wieczór, gdy chodziła do Tałaszowej chaty. I przed

oczyma Birki zamajaczyła postać Jagny. Z przeraźliwą jasnością przypomniał sobie chwilę, gdy wszedł do tej samej chaty i, zastawszy Jagnę przy piecu, rzekł do niej: „Chłodno jest, Jaguś! Czy nie można się ogrzać koło ciebie?“ I jeszcze własne słowa przypomniał sobie Birka: „Ja wojować nie pójdę, my zamiast siebie wojaka poślemy“.

Wójt milczy ponuro. Birka też nie ma odwagi się odezwać i nazwać rzecz po imieniu.

XXXI

Wczesne i gwałtowne natarcie armji polskiej na szerokim froncie ogarnęło i Polesie. Na okupowanym terenie polacy ogłosili mobilizację. Tysiące milczących i ponurych synów Polesia, wbrew woli i chęci, musiało pod przemocą polskich żołdaków iść na głęboki tył frontu, by formować nowe oddziały dla ukompletowania wojsk na froncie.

Dowództwo polskie, ogłaszając mobilizację, miało również na względzie ruch partyzancki i zamierzalo w ten sposób zmniejszyć jego rozmiary.

Ale sposób ten dał całkiem odwrotne rezultaty. Przedewszystkiem, znaczna część poborowców, zamiast iść na punkt poborowy, ruszyła odrazu w lasy, a reszta, zabrana gwałtem, kryjąc w sobie nienawiść do okupantów, uciekała z koszar, z oddziałów, zmykała skąd się dało przy pierwszej sposobności. Łowiono ich, rozprawiając się z nimi w okrutny sposób. Ale ostre kary nie powstrzymywały potoku dezercji, przemocą zabranych do wojska chłopów.

Wiosna, ciepło i bogactwo puszcz sprzyjały temu, że głębokie ich wnętrza stały się bezpiecznem schronieniem dla tych, którzy się zdołali wyrwać z wojska polskiego, nie chcąc walczyć o wrogie sobie interesy pańskiej Polski.

Lasy przygarniały niespokojnych ludzi, na których spadła pańska niełaska i zemsta policji. Też same lasy stały się szkołą ich klasowego uświadomienia. Wślad za nimi ściągały tu kadry nielegalników i prowadziły szeroką propagandę o władzę Rad, objaśniając program bolszewików, zadania i cele. Kadry te, organizując masy, demaskowały treść i cel białopolskiej wojny i wszystkich tych, co stali za plecami Polski i de fakto nią kierowali. Lasy żywiły i powiększały grupy partyzanckie i całe ich oddziały, stanowiące gęstą sieć na dalekich i bliskich tyłach frontu polskiego.

Na piaszczystym wzgórku, gdzie jak owce na paszy, rozproszyły się młode przysadziste sosenki, cicho jest, przytulnie i dobrze. Z jednej strony ciągnie się szerokie pole otoczone lasem z niskim sośniakiem po skrajach. Z drugiej strony wzgórka stoi las mieszany, gęsty i ponury. I las ten i pole otoczone są znowuż nieprzebytem bagniskiem.

Wzgórze to ze wszystkich stron stanowi doskonałą pozycję. Gdy jesteś tutaj, nikt cię nie zobaczy, ale sam widzisz stąd i pole, i drogę przez nie, i wszystkie dojścia do wzgórka. Poza tem możesz tu się wygrzewać na wiosennem słonku, ile ci się zamarzy. A jeśli masz ochotę pofilozofować na rozmaite zawiłe tematy, lub poprostu pomarzyć przyjemnie, to i w tem nikt ci tu nie przeszkodzi.

Oto dlaczego dziad Tałasz obrał to wzgórze na swój czasowy przytułek. Teraz stary Tałasz nie sam tu jest: Marcin Ryl, nieodłączny druh i towarzysz broni, jest tu również. I nie dla wypoczynku przyszli tu obaj. Wkrótce zejdą się tu inni ich towarzysze: Tymko Budzik, Mikita Samek i Kuźma Łodyga z Wieprów. Być może trzeba tu będzie zwołać szerszą naradę. Dużo jest ważnych kwestyj, o których trzeba pomówić. Trzeba nareszcie się zabrać do roboty na serjo. Tu również przychodzą ludzie wtajemniczeni, przynosząc nowiny i wieści. Słowem, wzgórze to—jest czasowym sztabem starego Tałasza.

Zewnętrznie dziad Tałasz wygląda teraz jak człek wojskowy. Na głowie ma czapkę czerwonoarmisty. Zamiast łatanego, wyszmelcowanego kożuszka nosi wojskowy mundur polski. Coprawda, został z niego tylko krój i materjał, kołnierz zaś i guziki z białym orłem dziad Tałasz odpruł i zastąpił je guzikami własnego wyrobu. Na nogach ma nie łapcie, lecz eleganckie buty wojskowe i spodnie z dobrego sukna z lampasami, jakby jaki generał czy kozak. Alboż to nie zasłużył dziad Tałasz, partyzancki ataman, na noszenie takiego umundurowania? Jest mu ono do twarzy i wyróżnia go wśród partyzanckiej braci. Samym zaś partyzantom nadzwyczaj imponuje.

Marcin Ryl, wsparty na łokciu, leży na wygrzanej darninie. Myśli jego błądzą gdzieś daleko od tego wzgórka.

— I kiedyż my do roboty się zabierzemy? Sam czas siewu jest teraz,—myśli na głos Marcin.

— Będziemy żyć, to i do ziemi się zabierzemy, gołębiu mój, a jakże. A teraz niech kobiety i kto tam doma

się ostał dają sobie radę z robotą. Nasza zaś, gołębiu mój, robota—dopiero się teraz zaczyna.

— O, teraz jest gdzie się rozpędzić,—ożywia się Marcin.—Na wiosnę i czort nam nie straszny. Znaj tylko las a umiej w dobry czas z lasu wyskoczyć... A patrzcieno go, jak to podlec polak prze naprzód!

— Poczekaj trochę, gołębiu mój. Natknie się on na rożen,—znacząco i kompetentnie odzywa się Tałasz.

Trudno się nawet domyślić, o czem tu napomyka stary. Można pomyśleć, że mówi on o szerokiej akcji partyzanckiej.

I tak jest w istocie. Ale nie na tem jedynie pokłada dziad Tałasz nadzieję. Do ostatniej chwili nie traci on łączności z Armją Czerwoną. A tam słyszał stary od dowódców, że natarcie polaków wcale nie jest niespodzianką i nic groźnego w niem niema dla Armji Czerwonej, że na czas jakiś musiała się cofnąć na wschód: dużo wojsk czerwonych z tego frontu przerzucono na południe, by dobić doszczętu Wrangla. Potem przyjdzie kolej i na białopolaków. Między innemi i ta kompanja, w której był Bukrej, również ruszyła na Wrangla.

— A tam ktoś z lasu wyszedł.—Marcin podnosi głowę i wskazuje drogę, co przez pole prowadzi do lasu.

Obaj wpatrują się w postać ludzką. Człowiek zatrzymał się: stoi i rozgląda się dokoła.

— Widać nie nasz,—odzywa się Marcin.

— Zaraz się dowiemy: na drodze jest nasza warta,—spokojnie odpowiada dziad Tałasz.

Nieznajomy odrywa się od lasu, idzie drogą i mija pole.

Dziad Tałasz i Ryl milczą; nie spuszczają oczu z nieznajomego. Ten zbliża się do lasu. Idzie krokiem miarowym, równym. Już jest blisko. Chwila, a zagłębi się w las.

— Jakbym gdzieś widział tego człowieka: i chód i postać znajoma.—Przypomina dziad Tałasz i nie może przypomnieć skąd zna tego obcego.

— Może to Sawko?—kpi Marcin.

— Sawko? Nie, to nie Sawko. A wiesz—z Sawka nie taki już stracony człek. Przecież nie powiedział Wasylowi o nas, choć złodziej z niego i koniokrad. Z nożem się nań rzucił, bok mu rozpruł. Szkoda tylko, że nie uśmiercił gada. Ale myśmy się z nim jeszcze nie skwitowali.

— A powiedzcie-no, ojcze Tałaszu, skąd wyście się dowiedzieli o tej zmowie Sawka z Wasylem i jego wspólnikami?

Stary przez chwilę patrzy na Marcina w milczeniu.

— Proszono mnie bardzo, nie mówić o tym człowieku, co zmowę ich wydał. Ale tobie powiem: to Jagna, żona Wasyla.

Marcin zadrżał, lecz postarał się ukryć przed dziadem Tałaszem swe wzruszenie.

— Ciekawe,—spokojnie i obojętnie odezwał się Marcin. Bo i co mu do Jagny?

— Ale ty o tem nikomu nie powiesz?—pyta stary i cwanie zagląda Marcinowi w oczy.

Marcin nie zdążył odpowiedzieć. Od strony lasu dało się słyszeć głuche stąpanie nóg po miękkiej ziemi. Dziad Tałasz i Marcin zwrócili głowy w tę stronę. Z za niskiej

sosenki wyłoniły się dwie postacie: partyzant-wartownik i ten sam nieznajomy, który szedł drogą przez pole.

Dziad Tałasz spojrzał na nieznajomego. Uśmiech odrazu rozjaśnił mu twarz. Jak młodzieniec zerwał się i poskoczył witać.

— Towarzysz Niewidny! A bodajżeś zdrów był!—powitał go dziad Tałasz.

Na chwilę Niewidny się zawahał: w nowem ubraniu stary tak się zmienił, że odrazu trudno go było poznać. Potem twarz Niewidnego rozjaśniła się.

— Dziad Tałasz!—i serdecznie dłoń mu uścisnął.—Jak to dobrze, żem cię spotkał, stary druhu! A ja idę i rozmyślam: dokądże to mnie towarzysz prowadzi?

I wskazał na partyzanta.

— No, przecież was nie znam, a sprawdzić trzeba,—rzeczowo zauważył wartownik.

— Słusznie, towarzyszu, słusznie!

A stary Tałasz uśmiecha się z zadowoleniem: jego wojacy znają obowiązki służbowe! Porządek jest wśród nich i rygor, jak w armji.

— Jakiż dobry wiatr i skąd was przywiał, towarzyszu Niewidny?

— Obchodzę swój rejon. Roboty moc. A trzeba przecie do tej roboty ludzi dobrać.

— Cóż dobrego widzieliście, coście słyszeli?

— Dużom widział. Sprawa nasza żyje, rośnie. A co u was?

Opowiedział Tałasz o wyprawie Bukreja, o starciu z Polakami koło wsi Hanusy, o swoich przygodach, o ujęciu defenzywiaków.

Niewidny słuchał uważnie.

— No, toście czasu nie tracili po próżnicy. Zuchy z was! Daleko słychać o was.

— Ruszamy się pomaleńku,—odpowiada stary.—A dziś naradę zwołujemy. Chcemy nieco z lasu wyjść. I bardzo dobrze, żeście do nas trafili. Powiecie nam słów kilka o wojnie z panami.

— Rad będę pogadać z wami, towarzysze!

— A więc, dalejże, Marcinie. To mój wierny towarzysz, jeden z tych, co rozbroili eskortę polską,—przedstawił teraz dopiero Niewidnemu Marcina Ryla.—Zwołujmy, bracie, ludzi.

Marcin wstał.

Teraz dopiero zauważył Niewidny, że Marcin, oprócz karabina, ma przy boku róg na zielonym sznurku, duży krzywy drewniany róg, szczelnie owinięty korą brzozową.

Marcin zbliżył się do lasu, przyłożył róg do ust, lewą nogę nieco naprzód wysunął i zatrąbił tak, jak trąbią w lesie pastusi.

Donośny i niesamowity dźwięk rogu popłynął przez las i zamarł. Po chwili, gdzieś z głębi lasu, odpowiedział mu inny róg. Dziad z zadowoleniem kiwał głową w tym kierunku, skąd przyszła odpowiedź.

Wreszcie, o wiele dalej i ciszej ozwał się trzeci. Dziad Tałasz uśmiechał się z zadowoleniem, słuchając echa rogów pastuszych.

— I co to kogo obchodzi, że w lesie „pastuchy" trąbią?—rzekł wesoło.

Nie przeszło i kwadransa, gdy z lasu poczęli wychodzić ludzie, całe grupy z karabinami, strzelbami, ber-

dankami z „obrezami"[1], z austrjackiemi i niemieckiemi fuzjami. Na czele grup byli ludzie wypróbowani w potrzebie wojskowej. Starali się oni nadać swoim podwładnym wygląd i wyrobienie wojskowe.

Odziani i obuci byli w co się dało. Trafiały się tam stare czapki sołdackie, co widziały Galicję, Karpaty, Polskę i Niemcy. Tu i owdzie widać było białe bluzy i wojskowe paski rzemienne. Jeden miał buty, inny kamasze z owijakami czasów kiereńszczyzny, inny znów tradycyjne łapcie poleskie. Lecz był to naród twardy, zahartowany w burzach wojny i rewolucji i gotów się bić nie na żarty, naród, z którym nie tak łatwo jest walczyć w tych poleskich bagnach i puszczach. A grupy wciąż przybywały, tłum uzbrojonych ludzi rósł. Wreszcie, gdy zbiórka się skończyła, wystąpił dziad Tałasz.

— Towarzysze, wojsko partyzanckie!—zaczął.—Pomówimy o sprawie. Czas nam do dzieła się zabrać. Nie z dobrej woli, sokoły moje, ukrywamy się po tych lasach. Powstała przeciwko nam nawała pańska. Powyganiali nas pany swem wojskiem z naszej ziemi rodzonej, popalili sadyby nasze, rozgrabili krwawicę naszą, cały dobytek nasz mizerny. A za co?—Za to, żeśmy nie chcieli parobkami pańskimi być, żeśmy się ośmielili jarzmo z karku zrzucić, to jarzmo, do którego zaprzęgli lud pracujący panowie i kapitaliści. Za to, towarzysze, żeśmy stali i stoimy za bolszewików, za władzę radziecką, co zwaliła rządy bogaczy i oddała je w ręce robotników i biedoty chłopskiej! Rzucili panowie do ataku swe białe wojsko, by ziemię nam odebrać, by zrobić z nas swoich podda-

---

[1] obrez—fuzja z obciętą lufą.

nych i znowu zmusić nas pracować na panów. Czyż mamy się zgodzić stać się znowu niewolnikami pańskimi?

— Precz z panami!—hukneli partyzanci.

— Więc dość nam się ukrywać po lasach, a siedzieć z założonemi rękami. Posiadamy już siłę i cośniecoś zrobić możemy. Cóż mamy robić? Związżemy tu panom ręce, zmusimy ich trzymać tu jaknajwięcej wojska, będziemy napadać na ich tabory, niszczyć mosty, psuć drogi, palić ich majątki, bez miłosierdzia tłuc tych, kto jest z panami. Pomożemy naszej Armji Czerwonej, aż zbierze siły, i razem z nią wygonimy panów, ich policję, księży i różne paskudztwo!

Po Tałaszu zabrał głos Niewidny.

— Pozwólcie, towarzysze, w imieniu partji bolszewickiej powitać was, aktywnych bojowników, którzy zorganizowanie i z bronią w ręku wystąpili przeciwko bezczelnej zgrai najmitów kapitalistycznej Europy! Towarzysze! Partja nasza, zahartowana w ogniu Rewolucji Październikowej, obaliła władzę kapitału w Rosji i wzięła ster państwa w swe ręce poto, by wyzwolić masy robotników i pracujących chłopów spod ucisku kapitału, spod jarzma pańskiego, by oddać w ręce mas pracujących fabryki i ziemię, by uczynić ich gospodarzami tych fabryk i ziemi, by sami stali się oni budowniczymi swego dobrobytu, swego życia na nowych socjalistycznych zasadach.

Wygnani fabrykanci, kupcy, przemysłowcy, bankierzy, obszarnicy, carscy generałowie i cała zgraja różnych darmozjadów, znaleźli podtrzymanie u zagranicznych kapitalistów. Z ich pomocą zebrali oni zastępy białogwardzistów, i, uzbroiwszy ich w pancerniki i czołgi, pod wodzą carskich generałów i oficerów rzucili przeciwko władzy

Rad, by krwią robotników i pracującej biedoty chłopskiej zagasić ogień rewolucji i przywrócić sobie władzę, władzę batoga i nahajki.

Co to za władza, przekonaliście się i wiecie teraz sami. Denikin z południa, Kołczak—z dalekiego wschodu, Judenicz—z zachodu, Anglicy—z północy, ciasnym pierścieniem otoczyli nasz kraj, by zamorzyć go głodem, by nas, głodnych i wyniszczonych, wziąć w swe ręce i zniszczyć władzę radziecką.

Ale, towarzysze, nasza młoda rewolucyjna Robotniczo-Chłopska Armja Czerwona, pod kierownictwem partji bolszewickiej, nawpół głodna, słabo uzbrojona, rozbiła doszczętu carskich generałów i admirałów, wygnała precz obce wojska zagranicznych kapitalistów, a teraz dobija Wrangla.

Lecz nasi zaklęci wrogowie, kapitaliści zagraniczni, z Anglją na czele, nie mogą się uspokoić. Stworzyli oni tak zwaną „Wielką Polskę“ i wykorzystali pańską chciwość do cudzej ziemi, by skierować tę Polskę przeciwko władzy radzieckiej. I oto, towarzysze, wojna się zaczęła. Co niesie i czem grozi nam ona, wiecie dobrze. Samiście za broń chwycili, samiście wybrali słuszną drogę: innej drogi, innego wyjścia—niema. Towarzysze, my walczymy nie poto, by cudze ziemie zagarniać. Zmuszeni jesteśmy wojować, by bronić swej ojczyzny, swej władzy, swych praw. Władza Radziecka—to symbol wyzwolenia całej uciśnionej ludzkości z niewoli kapitalizmu. Prowadzimy wojnę nie z Polską wogóle, lecz z Polską białą, z pańską Polską. W szeregach wojska polskiego jest dużo robotników i chłopów częściowo otumanionych przez rząd, przez księży i zdrajców sprawy robotniczej, częściowo zmuszonych siłą wstąpić do wojska. Trzeba więc, towa-

rzysze, nietylko orężem walczyć z panami, lecz trzeba również otwierać oczy nieuświadomionym polskim żołnierzom, budzić w nich świadomość klasową: z wrogów staną się oni naszymi sojusznikami i ramię przy ramieniu pójdą z nami przeciwko swym ciemiężcom. W szeregach zaś naszych, towarzysze, w szeregach partji bolszewickiej, jest wielu polaków, tysiące wybitnych bolszewików-polaków, którzy wspólnie z nami walczą z pańską Polską.

Towarzysze! My zwyciężymy! Przyszłość do nas należy! Przystępujcie do organizowania komitetów rewolucyjnych—tej bojowej organizacji władzy radzieckiej. Bliski czas, gdy władza radziecka stanie tu mocną i pewną stopą. Niech triumfują wrogowie nasi spowodu swych zwycięstw—krótki to triumf.

Więc, do dzieła, towarzysze! Do dzieła o naszą wspólną robotniczo-chłopską sprawę, o nasze wyzwolenie, o bezwzględną walkę klasową z panami.

Niech żyją czerwoni partyzanci!

Niech żyje Armja Czerwona i jej organizator i kierownik—partja komunistyczna!

Wiec zakończono przysięgą bić się do końca z panami, walczyć o wyzwolenie ludu pracującego.

XXXII

Najcięższą i najstraszniejszą chwilą, jakiej nigdy jeszcze nie przeżywał Sawko Milhun, była dla niego chwila, gdy dziad Tałasz ogłosił swój wyrok.

Gdyby stary Tałasz powiedział: „Śmierć Sawkowi!"— nie dotknęłoby go to do takiego stopnia, jak go dotknęły proste słowa surowego, ale w istocie dobrego, pro-

stodusznego człowieka: „Idź, idź precz, niech cię nie widzą me oczy!“ I jego ostatnie słowo: „Żyj!“

Sawka tak mocno zmęczyło badanie w polskiej defenzywie, a szczególniej te chwile, gdy go zmuszono pokazywać drogę do lasu, by znaleźć szałas, gdzie się ukrył ataman powstańców z synem i towarzyszem, że Sawko całkiem był odurzony i słabo reagował na wszystkie dalsze zdarzenia.

Nagłe wybuchy ognia, straszne postacie uzbrojonych ludzi, wynurzające się z mroku, sądy, salwy rozstrzałów i wszystko inne małe na nim wywierało wrażenie.

Ale owa chwila, gdy Tałasz spojrzał mu w oczy swemi ciemnemi, przenikliwemi oczami i jego słowa, darzące Sawka wolnością i życiem,—mocno, nieskończenie głęboko wstrząsnęły Sawka.

— „Idź, idź precz!“

A jeszcze wraził się w pamięć Sawka Marcin Ryl, milczący i nieco ponury, ten sam Marcin, którego Sawko miał zamiar zaprzedać wójtowi i jego przyjaciołom. Ten Marcin zbliżył się do Sawka i własnemi rękami, jak stalowemi szczypcami, złamał Sawkowe kajdanki i wyzwolił mu ręce.

I otworzyło się przed Sawkiem ciemne bagnisko, a straszliwa pustka ogarnęła go całkowicie.

Żyw jest i wolny, a przed nim taki przestwór szeroki, którego nie widział był niegdyś, i dopiero teraz odczuł jego nieskończoność. Ale na tem przestworzu niema miejsca dla Sawka.

„Idź, idź precz!“

Pustka, mrok i samotność ogarnęły Sawka.

Nie podnosząc oczu, ze spuszczoną głową ruszył w

las. Surowi partyzanci odprowadzili go wzrokiem. A Sawkowi wyrwały się słowa:

— Darujcie mi. Zawiniłem wobec was.

Był bardzo znużony, przybity, znękany. Nie miał określonego celu. Szedł, gdzie oczy powiodą, dokąd nogi poniosą, bo tutaj miejsca dla niego nie było.

— „Idź, idź precz!“

Słowa te dzwoniły mu w uszach i gnały przed siebie.

Milcząca, głucha noc ogarnęła las. Umilkły głosy ludzi. Pogasły ognie i Sawko znalazł się w zupełnej ciszy i samotności. Długo błąkał się po lesie bez drogi. Suche gałązki czepiały się jego odzieży, biły po twarzy. Nogi zapadały i grzęzły w śniegu. Natykał się na pnie, zapadał w doły i jamy.

Nareszcie wybrnął na drogę. Szedł, dopóki nie poczuł, że dłużej iść nie może. Zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Noc, cisza, czarne niebo nad głową, las i bagniska dokoła.

— „Idź, idź precz!“

I powlókł się dalej, ledwo poruszając nogami i rozglądając się dokoła. Niedaleko od drogi, na bagnie wśród niskich zarośli niejasno majaczy w ciemności sylwetka stogu. Sawko zawrócił z drogi, doszedł do stogu i zatrzymał się. Tu można odpocząć. Wygrzebał w stogu norę i zaszył się w wystygłe na chłodzie siano. Sawko odczuł swem zmęczonem ciałem i zbolałemi kośćmi całą słodycz odpoczynku. Teraz nic mu się nie chce. Leżećby tak i leżeć bez końca, byle się nie ruszać. I Sawko zasnął mocnym i ciężkim snem bezmiernie znękanego i znużonego człowieka.

Spał długo i mocno, jak zabity, a gdy się ocknął,

było już zupełnie jasno i dzień, widać, zaczął się dawno. Chwilę Sawko był mocno zdumiony, że leży w sianie. Ale tę krótką przerwę i pustkę w jego pamięci szybko wypełniły wspomnienia, i cała straszna rzeczywistość stanęła przed nim jasno i wyraźnie. Poleżał chwil kilka, by trochę się otrząsnąć i przyjść do siebie. Sen pokrzepił go nieco, wszystkie przeżycia, wobec jasnego światła dziennego odsunęły się nieco dalej, straciły swą wyrazistość i nie ciążyły mu tak dotkliwie, jak wczoraj.

Sawko leżał i myślał. W takiem ciężkiem beznadziejnem położeniu nie był nigdy. Dokądże się uda? Co pocznie? Do czego się weźmie? Przypomniał sobie pokój badań i wzdrygnął się. Straszliwy kat Adolf i Żwawy do lasu nie pojechali. Zostali na miejscu i biada Sawkowi, jeśli trafi w ich ręce! Spytają go, czemu rozstrzelano polskich agentów, a jemu darowano życie?..

Od takich myśli Sawka chłód począł przejmować.

I dlaczego nie wrócił wtedy, gdy szedł z lasu po rozmowie z Tałaszem i nie opowiedział Tymkowi Budzikowi wszystkiego? Czemu się nie przyznał, co z niego za partyzant? Tego Sawko nie może sobie darować. Tymko, stary znajomy, skoncentrował teraz na sobie wszystkie myśli Sawka. Chwycił się teraz Sawko Tymka Budzika, jak się chwyta zbawczej kępy wśród trzęsawiska człowiek, co stracił grunt pod nogami i ostatnim wysiłkiem walczy z chłonącą go bagnistą otchłanią. Teraz Sawko zobaczył w otaczającym go mroku promyczek światła, i promyk ten pociągnął go ku sobie, budząc w nim niejasną nadzieję.

Kilka dni ukrywał się Sawka w Karnaczach i okolicy, by spotkać Tymka Budzika. Cierpliwie pilnował

drogi, którą tak niedawno prowadził go Tymko do dziada Tałasza. Przy sposobności rozpytywał o Tymka, ale ten się nie zjawiał. Sawko jednak nie tracił nadziei odnalezienia Tymka. Nareszcie raniuteńko, gdy się jeszcze niezupełnie rozwidniło, Sawko odważył się zajrzeć na podwórko Tymkowej chaty.

Spotkał Tymka na dziedzińcu koło śpichlerza. Sawko, z natury chuderlawy, wychudł i zmarniał ostatecznie w ciągu tych kilku dni zgryzoty i męki. Wyglądał też, jak człowiek z krzyża zdjęty.

— Witaj, Tymko!—pozdrowił go Sawko, uśmiechając się z zakłopotaniem i wstydząc się spojrzeć mu w oczy.

Tymko spojrzał na Sawka i wzdrygnął się, jakby stanął przed nim nie Sawko, lecz jego cień z grobu. Chwilę milczał, wreszcie rozejrzał się podejrzliwie dokoła.

— „Skądeś się wziął i jakie cię tu licho przyniosło i poco?"—pomyślał w duchu, a głośno dodał:

— Czego tu chcesz?

Głos Tymka brzmiał obco i surowo.

— Nie gniewaj się, Tymku! Zaraz sobie pójdę. Chcę tylko pomówić z tobą. Szukam ciebie już od kilku dni.

Tymko spojrzał badawczo na Sawka i uczuł jakiś niepokój.

— A czegoż ty chcesz ode mnie?—zapytał tym samym chłodnym tonem.

— Nie tyle jam zawinił, jak wam się zdaje.

— No, więc co z tego? Puściliśmy cię przecież wolno.

— Chcę, żebyście wiedzieli prawdę.

Tymkowi nie wszystko jasne było w całej sprawie Sawka, zapytał przeto łagodniej.

— Jaką prawdę?

— Ja, Tymku, nie będę się usprawiedliwiał: wziąłem się do ohydnej, wstrętnej sprawy. Wójt i jego kamraci najęli mnie, bym się stał fałszywym partyzantem i donosił im na was. Maksym Tałaszów skierował mnie do ciebie: rozpytywałem Maksyma, jak was znaleźć. Spocząktu nic mi o was nie mówił, a potem...

— A potem sam stary Tałasz powiedział Maksymowi, by ci wskazał drogę do mnie,—przerwał Sawkowi Tymko.

— Sam Tałasz?—zdziwił się Sawko.

— Powiem ci prawdę: zanim przyszedłeś do nas do lasu na wywiad, tośmy już znali wszystkie twoje sekrety, wiedzieliśmy już o twej zmowie z wójtem!

Sawko zdumiał się jeszcze bardziej, a Tymko w dodatku począł mu mydlić oczy.

— Dziwak z ciebie,—mówił.—Przecież my wiemy, jakie myśli ludziom po głowie chodzą. Osobliwie, jeśli to są myśli o zdradzie. No i wiedzieliśmy, że ty panów swoich do nas przyprowadzisz.

I Tymko wybuchnął śmiechem djabelskim.

Sawko stropił się doszczętu i ze zdumieniem spoglądał na Tymka. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego tak zgodnie i gładko przyjeto tam w lesie „panów“, jak ich nazywa Tymko.

— Jeżeli wy wszystko wiecie,—zaczął zdetonowany Sawko,—toście powinni wiedzieć i to, żem porzucił wójta i swoją służbę u nich.

— A jednak przyszedłeś z panami,—zauważył nieubłagany Tymko.

Sawko spuścił głowę: co ma mówić, skoro to jest prawda?

— Ale, Tymku, ty nie wiesz, ile to mnie kosztowało. Jam z dobrej woli ani słówka o was nie powiedział, nikogom z was nie nazwał. Ani wójtowi, ani tam, na badaniu. Ale męczyli mnie, katowali. Rozciągano mi żyły i kości. I potem nawet do niczegom się nie przyznał. Ale gdy mnie znów położono na kobyłkę, nie wytrzymałem. Nie w mojej mocy było wytrzymać.

Ale i te jego słowa nie wzruszyły surowego Tymka.

— To znaczy, że nie jesteś twardym człowiekiem.

I temu znowuż nie mógł zaprzeczyć Sawko.

— Wówczas, gdym wracał z lasu, jakeś ty mnie do szałasu zaprowadził, tom chciał wrócić i przyznać ci się, że mnie podesłał wójt i jego kompanja.

— Aleś nie wrócił.

— Zabrakło mi odwagi przyznać się: samego ohyda mię ogarnęła do całej tej sprawy i do siebie. Nie myślałem, że tak się wszystko obróci. Biłem się z nimi. Wójta nożem w bok pchnąłem. Uciekłem był od nich, wyrwałem się. Z psami się pognali za mną. Gdyby mnie wówczas nie schwytano i nie oddano w ręce katów, tobym był przyszedł do was. Przyszedłbym napewno.

— Wtedy inaczejby się rzecz miała,—sucho odpowiedział Tymko.

Sawko spodziewał się, że jego opowiadanie choć trochę wzruszy Tymka, że Tymko okaże mu współczucie, zrozumie go i podtrzyma w ciężkiej godzinie.

Ale Tymko zachował się względem Sawka sucho, a nawet wrogo i nie powiedział ani słówka dobrego. Ta przepaść, co legła między nimi, pozostała tak samo bezdenna i ciemna.

Rozmowa ucichła.

I o czemże było mówić jeszcze?

Sawko postał chwilę, wreszcie rzekł:

— No, pójdę już chyba.

— Pewnie!—ozwał się Tymko, byle tylko coś rzec

— Możebyś mi dał choć kawałątko chleba na drogę?—nieśmiało poprosił Tymka.

— Cóż, można... Chodźmy!

Zbliżyli się do Tymkowej chaty. Sawko zatrzymał się koło drzwi. Tymko wyniósł spory kawał chleba. Sawko wziął chleb i podziękował.

— No, bywajże zdrów!

— Bywaj.

Sawko postąpił krok i zatrzymał się.

— Więcej ode mnie nic złego nie zaznacie. Nic złego, Tymku. Wstyd mi teraz w oczy wam spojrzeć, ale okupię winę swą, okupię, czem tylko potrafię. Powiedz o tem staremu Tałaszowi i Marcinowi Rylowi.

Sawko rozczulił się. Oczy nabrzmiały mu łzami. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale głos mu się załamał. Westchnął ciężko.

— Człowiekiem chcę być!—powiedział.

— No, no...—łagodniej odezwał się Tymko.

W tem „no, no“ odczuł Sawko nutkę współczucia i ulżyło mu. Chuda i wysoka jego postać poruszyła się i znikła w głębi za budynkami wśród drzew.

Tymko stał chwilę i patrzał mu wślad.

— Kto go wie? Może naprawdę człowiekiem zostanie!—pomyślał.

Dosyć długo nic nikt nie słyszał o Sawku. Nie widziano go ani w Wieprach, ani w Prymakach. Chodziły o nim sprzeczne pogłoski. Jedni mówili, że Sawko nie

żyje, bo go zabili partyzanci. Inni dowodzili, że Sawka zabrali polacy i udusili go w więzieniu. Inni znów twierdzili, że Sawka sam djabeł nie weźmie, że tacy ludzie, jak Sawko, nie giną. Dowodzenia ich miały tę podstawę, że Sawko nieraz znikał na całe miesiące.

Istotnie, ci się nie mylili.

Skoro śnieg stopniał i powódź spłynęła, a ziemia podeschła nieco, Sawko wrócił pokryjomu do swej chaty i nawet przyniósł cośniecoś żonie i dzieciom. Poczem surowo przykazał żonie i dzieciom nic o nim nie opowiadać, tak jakby go na świecie nie było. W domu zebrał wieści o wójcie i jego przyjaciołach.

Całemi dniami Sawko gdzieś przepadał i nikomu się na oczy nie pokazywał. Wykombinował sobie coś ważnego, nad czem łamał sobie teraz głowę. Sawko nie zapomniał słów, wyrzeczonych przy pożegnaniu z Tymkiem, że chce stać się człowiekiem.

Przedewszystkiem Sawko wyśledził miejsce, gdzie przeważnie zbierali się partyzanci. Należało to do jego planu. Gdy tego dokonał, przystąpił do wykonania całej swej kombinacji. Musiał w tym celu pracować większą część nocy.

Cicho, jak cień, wszedł Sawko na podwórko Konrada Birki. Nastawił jedno ucho, potem drugie, posłuchał. Cicho, wieś śpi głębokim snem. Pies Birki, zawczasu ułagodzony przez Sawka, przyjaźnie pomachiwał ogonem, a ze stajenki dolatywało parskanie rasowego źrebca, krasy i dumy gospodarza. Ale wrota stajni były duże i tęgie, zamknięte mocno od wewnątrz. Sawko zaszedł od innej strony. Miał już na uwadze kamień pod podwaliną. Sawko położył się, odgarnął ziemię spod ka-

mienia i powolutku wytoczył go na podwórko, a pozostałą po nim dziurę rozkopał. Po chwili był już w stajni i głaskał źrebca. Potem cichutko odsunął żelazny skobel. Bez skrzypnięcia otworzył wrota i wyprowadził źrebca na podwórko, potem za stodołę, a stamtąd—do lasu.

Ale to jeszcze nie koniec.

I wójt i Bruj mieli po parze ładnych wołów, wykarmionych i z wielkiemi rogami. Trudno było powiedzieć, czyje woły są lepsze, wójta czy Bruja, tem trudniej, że zdania samych gospodarzy co do tego były rozbieżne.

Z wołami poszło o wiele łatwiej.

Sawko zaczął po porządku. Wypędził najpierw woły Bruja. Potem opłotkami przedostał się do Wasyla Busygi. Wójt jeszcze z wieczora pojechał do pana Królewskiego w sprawach urzędowych. Dziad Cyprjan zaś leżał na piecu i podsumowywał przeżyte lata. Woły wójta były bardziej uparte i nie chciały wychodzić z chlewa. Ale zachęcił je i pokazał im drogę roczny byczek. We troje poszły weselej i, gdy Sawko do nich dołączył rogaczy Bruja, wszystko ruszyło zgodnie razem z Sawkiem.

Jeszcze przed wschodem słońca dwie pary wołów, byczek-roczniak i rasowy źrebiec były na miejscu. Sawko puścił je na dobrą paszę, źrebca przywiązał, a sam zaczął wałęsać się po lesie. Wkrótce zatrzymała go warta partyzancka i odprowadziła do sztabu. A Sawkowi o to tylko chodziło.

Zdziwili się Tałasz, Budzik i Ryl, zobaczywszy Sawka.

— Z czemże teraz przychodzisz?—zapytał dziad Tałasz.

— Nie gniewajcie się ojcze i wy bracia: przyprowadziłem wam źrebca waszego, a obecnie i mego wroga Konrada Birki, parę wołów wójtowych, a z niemi i byczka-roczniaka, no i jeszcze parę wołów Szymona Bruja. Człowiekiem chcę być i nie myślcie o mnie, żem wasz wróg.

Tałasz, Budzik i Ryl spojrzeli jeden na drugiego. W oczach ich były iskierki śmiechu.

— Sawko Sawkiem pozostał,—żartowali potem.

A Sawko, wychodząc z lasu, wyżej trzymał głowę, czując, że zrobił krok naprzód ku temu, by „stać się człowiekiem".

XXXIII

Razu pewnego na odwieczerz wracała Jagna z lasu. Niosła na plecach duży worek pierwszej młodej trawy. Matka, u której teraz mieszkała Jagna z dziećmi, miała cieliczkę. Dla niej to niosła Jagna trawę. Szła opodal drogi, by się ludziom w oczy nie rzucać, osobliwie zaś polskim żołnierzom, których niedawno przygnano do Wieprów. Żołnierzy się bała: można się po nich wszystkiego spodziewać.

Jagna, od czasu jak opuściła dom mężowski, nie widziała się z Wasylem ani razu. Chociaż życie u matki nie było łatwe, jednak Jagna nie miała zamiaru wracać do Wasyla. Wygnana tak haniebnie, zniesławiona, jakże miała wracać? Kłaniać mu się, godność swą kobiecą poniżać przed nim? Gdyby tak niezbędnie była mu potrzebna, czyż nie znalazłby drogi do niej.

Jagna spodziewała się, że Wasyl przyjdzie jeśli nie do niej, to do chłopaków. Z jednej strony Jagnie nie

chciało się ani wracać do Wasyla, ani mu oddawać chłopców. Z drugiej zaś strony było jej przykro, że Wasyl się nie pokazuje i nie prosi, żeby wróciła. Rzecz jasna, że gdyby ją prosił, nie wróciłaby również. Nagadałaby mu kupę nieprzyjemnych dla niego rzeczy, obraziłaby i zniesławiła go jeszcze gorzej, niż on to z nią zrobił.

W tajemnicy od Wasyla, gdy go nie było w domu, Jagna wpadła raz jeszcze do dziada Cyprjana, by cośniecoś z jedzenia otrzymać. Czyż nie powinien Wasyl dawać na utrzymanie dzieci? Ale Wasyl surowo przykazał staremu ojcu nie dawać jej nic. Stary widział, że do zgody nie dojdzie i nic już ze swej strony w tym kierunku nie robił. Bo czyż posłuchają starego? Dziad kiwał głową i nie wtrącał się do ich spraw, ale pod sekretem od czasu do czasu cośniecoś wnukom posyłał.

Wasyl zaś czekał, że Jagna, zmuszona niedostatkiem, zatęskni do spokojnego kawałka chleba i sama przyjdzie do niego, pokłoni mu się i będzie się płaszczyć przed nim. Od owej chwili, gdy się w mózg jego wkradło podejrzenie, że to właśnie Jagna uprzedziła starą Tałaszową, zdradzając jej tajemną zmowę jego z Sawkiem Milhunem, Wasyl się zaciął, i czekał tylko, by Jagna wróciła. Czekał nie poto, by wspólnie pędzić życie, lecz poto, by rozgadać się z nią, jak należy, a potem wypędzić sromotnie i raz na zawsze.

Wójt rozglądał się już za inną kobietą, by ją pojąć za żonę. Niestary jest jeszcze. Niech sobie tylko wybierze—pójdzie za niego każda. Stanowisko jego jako wójta i stronnika władz polskich krzepło z każdym dniem: polacy naciskali, a front czerwonych wojsk—cofał się. Mozyrz i Rzeczyca zostały już obsadzone przez

polaków. Prawe skrzydło ich wojska szybko posuwało się naprzód na Ukrainie i Kijów był już zagrożony. Ruch partyzancki zdawał się zacichać. Tu również ściągnęli polacy wojsko. Zaklęci jego wrogowie, Tałasz i Ryl, napewno poszli razem z czerwonymi i bodaj, że tu już nie powrócą, a jeśli wrócą, to nie będą zbyt straszni dla Wasyla.

Oto jakie myśli chodziły wójtowi po głowie. Czerwona tarcza słońca przecięła już wierzchołki lasu i smutnym uśmiechem pożegnania rozsypała ogniste warkocze wgłąb nieba, znacząc na ziemi różowe ścieżki tam, gdzie jeszcze nie legły cienie od lasu, płoniąc strzechy budynków, wierzchołki drzew i oniemiałe w ciszy wieczoru wiatraki wieprowskie.

Od bagien tchnęło chłodem i wilgocią, a gdzieś daleko-daleko wzdychała ziemia i bojaźliwie wzdychały bagna od głuchych wystrzałów armatnich.

Ten huk armat przypomniał Jagnie o wojnie i czuła niejasny smutek i trwogę przed nieznanem jutrem. Cofanie się Armji Czerwonej wywierało na niej wrażenie utraty osobistych nadziei i było przypomnieniem tego, że i jej osobiste położenie w związku z tem pogarsza się. Ale drogi powrotnej nie było dla niej i Jagna otwartemi oczami musi patrzeć w twarz tej przyszłości.

Jagna zatrzymała się.

Przez gałązki drzew przeświecało już pole wieprowskie i same Wiepry wyłaniały się wyraźnie w lekkim półzmroku wieczornym. Chciała już ruszyć dalej, ale ostrożny i lekki szelest gałązek i chrzęst chróstu pod czyjemiś nogami w gęstwinie sosenek, zmusiły spojrzeć w tę stronę.

Zwróciła tam głowę i zadrżała: z leśnej pomroki wystąpiła sylwetka wysokiego człowieka. Człowiek zatrzymał się również. Jagna chciała rzucić się do ucieczki, by wyskoczyć na pole, gdzie nie było tak strasznie i bliżej do wsi.

— Jagna?—zawołał na nią przyjazny niski i cichy głos.

Coś bliskiego, dawno znanego, było w tym głosie.

Jagna postawiła worek na ziemi i badawczemi oczami, co jeszcze zachowały swój urok, spojrzała na wysokiego człowieka.

— Marcin!—wyrwał się z jej ust cichy okrzyk.

— Ja, ja!—równie cicho odezwał się człowiek i podszedł do niej bliziutko.

Jagna bojaźliwie rozejrzała się dokoła. Kogo lub czego obawiała się w tej chwili, sama nie wiedziała. Może to był lęk przed Wasylem, może zwykła płochliwość młodej kobiety. Marcin obejrzał się również, ale strach jego był wywołany czemś innem. Długo trzymał w swych dłoniach twardą i szorstką od pracy rękę Jagny i patrzył jej w oczy.

— Witaj, Jagusiu! Jakże dawno nie widziałem ciebie. A myślałem o tobie dużo cały ten czas.

— Nie wartam ja tego, by myśleć o mnie,—odparła Jagna.

Chciała wprost wypróbować i sprawdzić, czy istotnie jest warta tego, by Marcin o niej myślał.

— A ja myślałem i... będę myślał.

Jagna spuściła oczy. Przyjemnie jej było, że Marcin myślał i będzie myśleć o niej.

— I cóżeś ty myślał o mnie? Dobrze czy źle?

— Trudno to opowiedzieć, Jaguś. Wiele rzeczy myślałem. Myślałem, jakby to się z tobą zobaczyć, pogawędzić... popatrzeć na ciebie. I to, co minęło, przychodzi na myśl...

Słowa „to, co minęło“ Marcin mówi ze szczególnym akcentem i jeszcze bliżej garnie się do Jagny.

Jagnie jest trochę niezręcznie i wstyd, więc się nieco usuwa od niego. A Marcin mówi dalej, jakby nic nie zauważył.

— Niby nic, a przyleci wspomnienie jakeśmy się z tobą na czółnach ścigali. Dawno już to było, a z pamięci nie znika. I wiesz, ty i ta kaczka, co to ją som połknął, jakoś dziwnie zlewają się w jedno w mej głowie. Kaczka staje się Jagną, a som—Wasylem.

— A ten som wyrzucił teraz z swej gardzieli kaczkę,—gorzko roześmiała się kobieta.

— Lepiej byłoby, by się nią odrazu udławił był. Ale tu, prawdę mówiąc, nie tyle był winien som, ile sama kaczka.

Jagna spuściła głowę. Rozmowa się urwała.

— A strzelec, który kaczkę postrzelił, nie byłże wcale winien?—cicho pyta Jagna.

I dodaje:

— Ale teraz już po czasie mówić o tem. Pewno, żem sama winna. Na bogactwo jego połakomiłam się. A to bogactwo życie mi zatruło. Radość—nie w dostatku, nie w bogactwie—szczęście. Obca byłam dla niego, a on dla mnie. I jednego mi żal: trzeba było samej go porzucić, a nie czekać zanim on mnie wyżenie.

— A czemużeś nie zrobiła tego?

— Dla dzieci, Marcinie. Cóż dzieci zawiniły?

— To znaczy, gdyby cię nie wygnał, to i teraz żyłabyś z nim?

— Nie wiem... pewno rzuciłabym go, bom o tem myślała i czekałam sposobnej chwili. Życie miałam nie takie słodkie, jak ci się zdaje. I ty wiesz, czemu... Powinieneś wiedzieć.

— Nie, nie wiem tego,—sucho odparł Marcin.

Jagna milczała. Na twarzy jej odbiła się przykrość i smutek. Marcinowi żal jej się zrobiło.

— A czemuż ci nie słodko żyć było. Znalazłaś to, czegoś szukała. I dlaczego to ja właśnie mam wiedzieć o tem?

Jagna z wyrzutem spojrzała na Marcina. Czyżby on nic nie rozumiał?

— Ja sama, tylko ja jestem winna, Marcinie, i sama karę ponoszę.

— Czemżeś ty zawiniła, Jaguś?

— Tem, żem wyszła zamąż, kochając nie jego, a jego bogactwo.

Jagna umilkła, a potem cicho dodała:

— Nie dziewczyną mnie wziął. To chyba powinieneś wiedzieć.

Teraz i Marcin wstydliwie spuścił oczy. A potem napadł na Wasyla.

— Bydlę z niego! Lizus pański. Donosiciel! Szpieg! To on wydał mnie w ręce polskiej policji. Przez niego chatę moją spalili, po więzieniach włóczyli. I nietylko mnie, lecz i innych. Ach ty, psia morda! Wyżle pański! Jeszcze ja ci się odwdzięczyć potrafię!

Spędziwszy złość na Wasylu, Marcin uspokoił się nieco.

— Opowiedz, jak on cię wygnał?

Siedzieli na worku z trawą. W lesie ściemniło się już. Na wiosennem czystem niebie pomiędzy koronami drzew migotały dalekie, obojętne gwiazdy.

— Ty się na mnie, Jaguś, nie gniewaj!—łagodnie odezwał się Marcin, kładąc dłoń na jej ramieniu.—Twardo i szorstko mówię z tobą i nie tak mówić chciałem. Ja dużo myślałem o tobie. Nie wychodzisz ty mi z głowy, kobieto. I napewno nikt tak ciebie nie kóchał, jak ja. I teraz, Jaguś, ja ciebie kocham,—zupełnie cicho zakończył Marcin i łagodnie przytulił Jagnę do siebie.

— Nie trzeba tego, Marcinie, nie trzeba!

I całem ciałem żachnęła się od niego, by się uwolnić z jego objęcia.

— Dlaczego? Przecież ja kocham ciebie?

— A co powie Ewa?

Na wspomnienie Ewy—Marcin ochłonął. Rozplótł ramiona i nawet nieco odsunął się od Jagny. Ewa była cichą i dobrą kobietą. Marcin miał dla niej szacunek i żałował jej.

— Ot, pogawędzimy lepiej. Przecież tak dawno nie widziałam ciebie, a myślałam o tobie pewno więcej, niż ty o mnie. Ja przecież też kocham ciebie, tylko nie tak, jak ty myślisz.

— Jakże to?

— A poprostu, jak brata. Ja przecież jestem sama, Marcinie, zupełnie sama. Matka moja, choć nie mówi mi tego, chciałaby jednak, bym wróciła pod dach Wasyla. A ja nie chcę i nigdy już nie wrócę do niego. Będę żyła sama z dziećmi. A wiesz—kogo jeszcze kocham?— Olesię. Toć to twoja córka, Marcinie. Wasyl ją zniena-

widził, jako cudze dziecko. Ona to czuła i drżała przed nim. Ma dwuch ojców, a nie ma pieszczoty ojcowskiej. Ażebyś wiedział, jakie to ciche, jakie dobre! Kiedy on nas wyganiał—to powiada: „Zabieraj swego bękarta i precz mi z chaty!“ Złapał mnie za ramię, by wypchnąć za drzwi, a Olesia stanęła między nim a mną, żeby mnie bronić przed jego wściekłością. On tak mnie potrącił, i ją razem ze mną, żeśmy obie zatoczyły się ku drzwiom, a dziecko mocno uderzyło się główką o odrzwia. Ale nie zapłakała, tylko się rączyną schwyciła za główkę, mówiąc do mnie cichutko: „Pocoś ty, mamo, kłóciła się z nim?“

— O cóż wam poszło? Za co cię wygnał?

— Jakby ci powiedziec? Zgody między nami nigdy nie było. On mi często dokuczał tobą, alem znosiła to, albo w żart obracałam, i starałam się go ułagodzić, byle spokój w domu był. Wszystko zaś zaczęło się z przyjściem polaków. Chodził ci on do swego pana Królewskiego. Tam go naznaczono wójtem. Przychodzi i chwali się przede mną. A ja tegoż dnia chodziłam tu, do Wieprów, i dowiedziałam się, że to on wydał ciebie polskiej policji. Znienawidziłam go za to i powiadam mu:

— Porzuć ty swoje wójtostwo. Z ludźmi powinieneś żyć w zgodzie, a nie z panami, bo panowie twoi w powietrzu wiszą.

A on na to:

— Z jakimi ludźmi? Z Tałaszem? Z Marcinem Ryłem?—Przekonał się, że się z nim nie zgadzam. No i zaczęło się. Im dalej, tem więcej. Chodziłam w tajemnicy przed nim do babki Nasty. Chciało mi się od niej o tobie coś posłyszeć. Ona się wygadała, żeś nocował z dzia-

dem Tałaszem u nich, a potem spostrzegła się i przelękła się, że mnie, żonie wójta, o tobie i o Tałaszu opowiedziała. Uspokoiłam ją. Potem kądziel przynosiłam jej prząść. Ciężko mi zaczęło być, Marcinie, z człowiekiem, który zaczął się zajmować takiemi sprawami, ludzi gubić, naprowadzać policję. Poco to? Na co komu potrzebne? Poto, by żyć samemu, a innym życie zawiązać? A niech je piorun spali, takie życie! Nawet dziecko, mała Olesia, jest przeciwko temu. Rozpytywała mnie o polaków, kto oni, czego chcą? Raz wyśledził mnie, jakem z Tałaszowej chaty wychodziła. Jak tylko wróciłam, wpada do izby i dalejże dopytywać się, poco tam chodziłam.

I Jagna opowiedziała dokładnie, jak powstała i czem się skończyła kłótnia.

— A czy wiedziałaś,—zapytał Marcin,—o jego zmowie z Sawkiem?

— Wiedziałam. Przypadkowo słyszałam trochę, a reszty się domyśliłam. Oni się ukrywali przede mną. Podpatrzyłam, jak częstowali Sawka. No i Konrad Birka wygadał się „Ja,—powiada,—sam wojować nie pójdę, a za nas pójdzie wojować ktoś inny“. No, więc uprzedziłam babkę Nastę.

— A ty, Jagno, wielką przysługę nam wyrządziłaś.

— A powiedzno, Marcinie, co to będzie z tą wojną? Czyżby tak tu polacy zostać mieli? I czyż ciągle będziecie się tułać po lasach? Nie będzie wówczas życia ani wam, ani mnie...

— Poczekaj trochę, Jaguś, pocierp. Polecą stąd precz polacy, aż się zakurzy za nimi.

— A ty, dokąd idziesz, Marcinie?

— Do domu chcę wpaść... Jak tam oni żyją zobaczyć chcę.

— Nie chodź! We wsi polscy żołnierze...

— A pal ich licho! Odprowadzisz mnie. Wezmę twój worek i pójdziemy sobie pomaleńku, jak niegdyś chodziliśmy z Prypeci.

— Boję się o ciebie, Marcinie.

— Nie bój się, Jaguś. Pójdziemy powolutku, rozglądając się.

Marcin wziął worek, zakrył nim swój nierozłączny karabin i o szarym zmroku ruszyli do Wieprów.

Na pożegnanie Marcin rzekł do Jagny:

— Pilnujże Olesi. Bogatszy będę, i tobie i jej dopomogę.

— No, bywajże mi zdrów! A uważaj, by cię nie złowiono.

Chciała już odejść, ale Marcin za rękę ją przytrzymał.

— Jaguś! Może już nigdy się nie zobaczymy. Pożegnajmy się serdeczniej.

Ogarnął ją ramionami i całował.

A Jagna wracała i myślała sobie, czy może śmiało patrzeć w oczy Ewie, żonie Marcina.

XXXIV

Czas jakiś na partyzanckim froncie była cisza. Nigdzie nic słychać nie było o partyzanckich walkach.

Polacy oraz ich stronnicy, właściciele folwarków, dzierżawcy i zamożni chłopi cieszyli się, że partyzanka, dzięki zwycięskiemu natarciu białopolskiemu, zamarła, że władze polskie zdołały ten ruch zlikwidować.

Aż raz w nocy, w drugiej połowie kwietnia, w cza-

sach największego triumfu oręża polskiego ciemne niebo nocne zabarwiło się nagle groźnym czerwonym odblaskiem. Krwawa czerwień ognistemi snopami szerzyła się po niebie. Strzeliste płomienie i czarne słupy dymu przebiły mrok nocy, przerwały jej zaklętą ciszę i złowieszczo oświetliły groźnym blaskiem pożaru.

Było coś tragicznego w tej grze czerwonych barw, w tych fantastycznych płomieniach na tle mrocznego nieba. Noc nagle pojaśniała, mrok zrzednął i stało się widno, jak o świtaniu przed wschodem słońca.

Z rozrzedzonego mroku występowały niejasne kontury lasów, rozrzuconych na dalekim horyzoncie, budynki o ponurych niskich strzechach i wysokie sylwetki drzew koło zabudowań.

Strwożone tem niezwykłem zjawiskiem psy zanosiły się niespokojnem szczekaniem, i ponuro wyły, jakby w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia, czy biedy.

Ludzie budzili się, spoglądali w okna i, uderzeni czerwonym kolorem, co oblewał potokiem światła strzechy budynków, wybiegali na dwór i ze strachem patrzyli na groźne płomienie pożaru, pytając jedni drugich:

— Co to się pali?

Starano się odgadnąć, gdzie hula pożar, co płonie i z jakiego powodu. Uczucie niepokoju i strachu przejmowało ich serca. Tam zaś, gdzie ludzie żyli w bliskiem sąsiedztwie pożaru, gdzie słychać było wyraźnie huk ognistego potoku i jasno widać buchające ku niebu płomienie z całą zamiecią iskier w kłębach czarnego i siwego dymu, tam było jeszcze straszniej. Tam już nie zgadywano, gdzie i co gore, lecz mówiono wyraźnie: pali się majątek takiego-to pana.

Cicho spoczywa w głębokim śnie majątek pana Długoszyca, ten sam majątek, w którym zimą było tak łuczno i wesoło, gdzie brzmiała wojskowa orkiestra i weseliła się szlachta z eleganckiem oficerstwem.

Staroświecki pałac, stare gniazdo polskiego rodu, wtuliwszy w płachtę mroku swą wysoką wieżę, ponuro zarysowuje się na tle nieba. Stajnie, stodoły, obory, gumna, śpichlerze toną w mroku i zda się jeszcze niżej tulą się do ziemi.

Cicho jest w majątku pana Długoszyca. Ale w tej ciszy, w mrocznych zakątkach dziedzińca, kryją się nieznani ludzie z karabinami i granatami w ręku. Cicho, bez szelestu, lgnąc do ścian zabudowań, prowadzą oni swą tajemniczą robotę.

Tu i owdzie wybuchają malutkie płomyczki i słychać przeciągłe gwizdnięcie. Powtarza się ono, jak echo, w różnych końcach dziedzińca. Nieznani ludzie opuszczają majątek i polem idą ku lasowi.

A w majątku w różnych miejscach wybucha ogień, wznosi się wzwyż, pełza z coraz większą siłą do góry, oświetla podwórze, sad i krwawy odblask rzuca na mury wysokiego pałacu.

Niewielka grupa ciemnych sylwetek szybko biegnie do lasu. Ukrywający ich mrok rzednie coraz bardziej i wkrótce całe pole, zalane blaskiem pożaru, wynurza się z mroku i odsłania grupę ludzi, z siedmiu osób złożoną. Już są tuż koło lasu i, zanim las ich pochłonie, stoją i patrzą na majątek pana Długoszyca.

— No, chłopcy, robota zrobiona na fest!—odzywa się jeden z nich ze śmiechem. Łuna pożaru oświetla jego

rozchylone w uśmiechu usta i obnażone zęby, co go czyni strasznym i bezlitosnym.

— Chodźmy!—mówi inny.

— Idźcie, chłopcy, nie czekajcie na mnie. Ja tu postoję trochę, nacieszę się,—znowu odzywa się pierwszy.

Sześciu ludzi zanurza się w las i znika w nim natychmiast. On zaś, Tymko Budzik, mistrz w dziedzinie podpalania, zostaje sam, ukrywa się w cieniu drzew na skraju lasu i patrzy, jak rozszerza się łuna, jak harcują płomienie. Ale pozycja ta nie zadawalnia go. Ogląda się i wybiera lepszy punkt obserwacyjny. Zatrzymuje wzrok na wspaniałym rozłożystym dębie. Umocowuje strzelbę, i wspiąwszy się do połowy drzewa-olbrzyma, staje na rozłożystym, mocnym konarze, opierając się plecami o szorstki pień dębu. To ci dopiero pozycja!

Jak wysokie złociste żyto pod podmuchem wiatru, faluje płomień, to ścieląc się dołem ognistemi pasmami, to jaskrawą wstęgą wzbijając się wzwyż, i wyrzucając potężne słupy dymu, jaskrawe wdole i czarne u góry.

Tymko nie odrywa oczu od tej dzikiej orgji ognia, pożerającego zabudowania i niszczącego plon ludzkiej pracy.

Szał pożaru znajduje żywy oddźwięk w Tymkowej duszy, co doznaje w tej chwili ekstazy radości na widok ruiny gniazda tych odwiecznych wrogów.

W miarę tego, jak szerzył się płomień, wijąc się i liżąc gorącemi językami sąsiednie drzewa i budynki, wyrywając ze strzech i ciskając wysoko w niebo olbrzymie snopy tlejącej słomy i miljony iskier, rosło upojenie Tymkowe. Z twarzy jego, oświetlonej purpurą ognia, nie

znika uśmiech, złowróżbny uśmiech zemsty człowieka, co stanął ponad ludzkiemi prawami.

Lecz nagle na twarzy Tymka odbija się zakłopotanie i niepewność. Coś obniża pełnię jego triumfu. Tymko niespokojnie kieruje wzrok na dumny pałac pański. Zalany blaskiem pożaru, sprawia wrażenie objętego ogniem. Ale gdy wiatr płomień odchyla, pałac stoi nietknięty, wysoko wznosząc dumną swą wieżę, i groźnie a pogardliwie patrzy na szalejące morze ognia

Czyżby Tymko chybił i spudłował w podpaleniu tego pańskiego bożyszcza? Tymko wpatruje się pilniej i zamiera na chwilę. Nagle z twarzy jego znika zakłopotanie i szał dzikiej radości bije mu z oczu: z wysokiej wieży pałacu, jak z olbrzymiego komina, szybko wzbił się ku górze białawy dym, coraz gęstszy i coraz ciemniejszy. Zapłonęły płomyczki w oknach pałacu. Ogień złotemi strumyczkami popłynął wgórę. Buchnął w okna gęsty, płomienisty dym. Nie, Tymko nie chybił! Tymko wykonał to, o czem marzył w ciągu długich lat swego nędznego życia.

Gotów był tańczyć i krzyczeć z radości! Oddać się całkowicie szaleństwu zemsty!

Wśród trzasku i huku padających belek i ścian słychać było rozpaczliwe okrzyki ludzi. Wszystko to zlewało się w jedną pełną grozy symfonję zniszczenia. A Tymko, jak czarodziej jakiś, stał wśród konarów dębu i pił pełnym puharem swój triumf.

Nagle, bystre jego ucho uchwyciło tętent kopyt końskich. Spojrzał Tymko w tę stronę... Drogą i polem od strony płonącego majątku pędzą, co koń wyskoczy, polscy ułani. Doskoczywszy do lasu, rozsypali się półkolem na skraju z jednej i drugiej strony drogi. Grupa jeźdź-

ców, w liczbie dwunastu, jechała osobno, zbitą kupą. Byli to przeważnie oficerowie. Grupa skierowała się w stronę dębu, na którym siedział Tymko.

— „Pewno będą otaczać las, by schwytać podpalaczy“—pomyślał Tymko.

— „A gdyby tak im posłać z tego dębu gościńca?“

Nie rozmyślając długo, Tymko dostał z za pasa granat i zajął odpowiednią pozycję, by cisnąć go w odpowiedniej chwili. Jedną ręką uczepił się konaru dębu, a drugą wykonał szeroki ruch rzutu i cisnął granat wysoko zgóry pod nogi zbliżającej się grupy jeźdźców.

Z zamierającem sercem, ukryty za pniem olbrzyma-dębu, czeka Tymko i liczy:

— Raz... dwa... trzy...

Wzdrygnął się olbrzym-dąb.

Z gwizdem i śpiewem rozprysnęły się odłamki granatu. Szarpnęły się przestraszone konie, naskoczyły jedne na drugie. Jeden zachwiał się i niedołężnie runął wraz z jeźdźcem. Jak oszalałe pomknęły rumaki, jedne—bez jeźdźców, inne—włócząc ich głową po polu.

Teraz dopiero opamiętał się Tymko i odczuł całą nierozważność swego postępku. A może i dopomogło mu to...

W czasie zamieszania i popłochu zsunął się wdół, rzucił się w las i pobiegł w gąszcz, zaczepiając karabinem o konary i gałęzie.

*

Wasyl Busyga i jego przyjaciele, nie zdążywszy ani należycie się namartwić spowodu biedy, co ich tak nieoczekiwanie spotkała (było to dopiero ubiegłej nocy), ani

przedsiębrać odpowiednich kroków ku znalezieniu niewiadomo przez kogo uprowadzonych zwierząt, również patrzyli na łunę pożaru i ponuro pochylili głowy. W łunie tej widzieli przestrogę dla siebie i własny swój wyrok.

Była to groźna, straszna noc, która wywołała panikę wśród panów i zaniepokoiła polskie sztaby wojenne.

Dowiodła ona namacalnie, że ruch partyzancki głęboko zapuścił korzenie wśród ludności okupowanych ziem, że prowadzony jest uporczywie, szeroko, zorganizowanie i twardo. Wiele wojskowych oddziałów, przeznaczónych do wzmocnienia frontu, zostały zatrzymane. Z partyzanką trzeba było się liczyć i liczyć się poważnie.

Wojna zaś, w której brały udział regularne armje z obu stron, nie ucichała. Polacy rozwijali z powodzeniem swe natarcie w kierunku Kijowa, zagarniając ośrodkiem swych sił część Polesia na linji Mozyrz-Rzeczyca.

By osłabić uderzenie polaków na Kijów, oddziały Armji Czerwonej na Polesiu przeszły do kontrataku. W skład tej armji wchodził również bataljon towarzysza Szalochina. Dziad Tałasz ze swymi partyzantami utrzymywał łączność z tym oddziałem. Lecz z chwilą natarcia polaków i cofnięcia się czerwonych łączność została przerwana.

Dziad Tałasz ze swymi partyzantami znalazł się na głębokich tyłach frontu polskiego i prowadził swe operacje bojowe samodzielnie, lub wedle wskazówek nielegalnych organizacyj bolszewickich.

Teraz wojsko jego liczyło coś ze dwie setki ludzi, uzbrojonych w karabiny wojskowe i posiadających kilka karabinów maszynowych. Na prawo, w tym samym re-

jcnie, działała również grupa partyzancka Marka Bałuka, licząca dobrą setkę bojowników.

Poleska, czy też tak zwana oficjalnie, mozyrska grupa Armji Czerwonej wybrała odcinek do kontrataku na linji Krzywce-Wysokie i ściągnęła tam wojsko i działa. Koło dwudziestego kwietnia, o świcie donośnie zagrały czerwone baterje, koncentrując ogień na polskich pozycjach. W ciągu kilku godzin grzmiały nasze armaty i echo ich huku daleko rozpływało się wewnątrz puszcz i bagien Polesia. Dolatywało również i na drugi brzeg Prypeci, do okupowanej części Polesia, niosąc wieść o natarciu Armji Czerwonej.

Po krótkiem lecz wytężonem przygotowaniu artyleryjskiem, jak rwący potok, rzuciły się do ataku oddziały czerwonej piechoty. Zawrzała uparta bitwa spotkaniowa. Polacy wytężyli wszystkie siły, by odparować natarcie i utrzymać swe pozycje. Bojowe ich oddziały, jak fale szły jedne za drugiemi, koszone ogniem karabinów maszynowych i dział. Siły ich zostały nadszarpnięte, uporczywość—złamana. Zachwiali się, drgnęli i potoczyli się spowrotem, porzucając broń, zabitych i rannych i oddając się do niewoli.

Nie dawano im się opamiętać i gnano ku Prypeci. Zadanie pierwszego stadjum kontrmanewru Armji Czerwonej polegało na tem, by nagłem uderzeniem odrzucić polaków za Prypeć i na ich karkach przejść ją, zabezpieczając przeprawę i teren na zachodnim brzegu Prypeci, celem rozwinięcia swych sił do dalszego natarcia.

Rozgromione i zmięte oddziały wojska polskiego nie usiłowały już powstrzymać rozpędu nasiadających pułków Armji Czerwonej. Myśleli tylko o tem, by wyrwać

się ze ściskających ich kleszczy i szczęśliwie wycofać się za Prypeć.

Wieść o natarciu Armji Czerwonej doleciała również do partyzantów. Naczelnicy ich natychmiast omówili ważną sprawę okazania pomocy Armji Czerwonej i całkowitego rozbicia cofających się białopolaków. Stary Tałasz wyruszył ze swem wojskiem przyśpieszonym marszem na Prypeć, by opanować przeprawę i przeszkodzić polakom umocnić swe pozycje na jej prawym brzegu. Bałuk otrzymał polecenie pilnowania komunikacji polskiego tyłu i opóźniania polskich odwodów, by nie mogły w porę przyjść swoim z pomocą.

Przed wieczorem, dziad Tałasz na czele półtorej setki partyzantów był już w okolicy Wysokiej Rudni, gdzie spodziewano się przeprawy białych przez Prypeć, i zajął skrzydłową pozycję na wysokim prawym brzegu Prypeci. Pozycja ta zagradzała polakom jedyną dogodną na tym obszarze drogę odwrotu na Stawek-Karnacze. Ich straże przednie wyszły już na prawy brzeg o półtora kilometra od miejsca, gdzie były pozycje partyzantów. Przeprawiali się i na pontonach i przez most. Za nimi z lewego brzegu grały nasze działa, pociski padały do Prypeci po jednej i po drugiej stronie przeprawy, wyrzucając całe fontanny wody, przelatywały na prawy brzeg, wywołując popłoch w cofających się szeregach. Biali zbitą kolumną parli na most i pontony, zrywali się i padali w głębokie wody Prypeci. Przeprawiwszy działa śpiesznie ustawiali je na pozycji, na wysokim brzegu, gdzie zalegli w zasadzie partyzanci.

Pozwoliwszy im zbliżyć się na odpowiednią odległość, dziad Tałasz wydał rozkaz, przyczem ze wzruszenia za-

pomniał, jak się wydaje rozkazy wojskowe, i krzyknął poprostu:

— Wal w nich, chłopcy!

Huknęła potężna zgodna salwa, zatrzeszczały karabiny maszynowe. Polacy nie spodziewali się uderzenia wroga z tej strony i nie mieli pojęcia o jego siłach. Rzucili się więc spowrotem, pozostawiając armaty. Biegli, padali i już się nie podnosili.

Skoczyli partyzanci do armat, zagarnęli je wraz z wózkami i uprzężą. Znaleźli się starzy żołnierze-artylerzyści. Zwrócono paszcze armat w stronę uciekających i zaczęto bić w nich z bliskiej odległości. Polacy porzucili broń i bezładnym tłumem, nie słuchając rozkazów swych dowódców, uciekali jak kto mógł do lasu. Ten oddział wojska polskiego—jako zorganizowana jednostka wojskowa—przestał istnieć.

Niespodziewane kontruderzenie Armji Czerwonej, dokonane z taką siłą i powodzeniem, piorunem rozniosło się na tyłach wojsk polskich i zaniepokoiło polski sztab wojenny. Ale wyższe dowództwo sił polskich nie straciło głowy. Szybko i energicznie zlikwidowano wyrwę na froncie, rzuciwszy tam wszystko, co dało się rzucić z odwodów i oddziałów, przeznaczonych na inne odcinki frontu.

Już na drugi dzień oddziały Armji Czerwonej spotkały silny opór polaków. Posiłki polskie szły ze wszystkich stron, biorąc w kleszcze nasze nacierające oddziały. Gorące bitwy wrzały po lasach, bagnach, w okolicy i na ulicach wiosek.

Oddziały armji Czerwonej, kilkakroć ustępujące li-

czebnie siłom przeciwnika, zmuszone były do odwrotu, przyczem łączność z niektóremi oddziałami została przerwana. Niektóre bataljony i kompanje walczyły samodzielnie, bez ogólnego kierownictwa operacyjnego.

W szczególnie ciężkie położenie trafił bataljon Szalochina, zagnany przez polaków w widły między Prypecią, a przylegającym do niej jeziorem o bagnistych brzegach. Zmęczony nieustanną walką i marszami w ciągu kilku dni, bez żywności i amunicji, bataljon dzielnie walczył do ostatniego naboju, odbijając ataki wroga bagnetami.

Była głęboka noc. Przez gałęzie drzew skąpo przeświecał mały blask księżyca. Znużeni wojownicy, okopawszy się na półwyspie, z niepokojem oczekiwali poranku dnia jutrzejszego. Większość ich spała pod drzewami, oparłszy głowę o korzenie. Pod rozłożystym dębem zgromadziło się dowództwo bataljonu: Szalochin, trzech dowódców kompanji i naczelnik oddziału fizyljerów. Znużeni i wyczerpani do ostatka, milczą ponuro, wymieniając zrzadka kilka słów.

— Marne perspektywy!—mówi naczelnik fizyljerów.

— Powiedziałbyś, coś nowego,—ponuro rzuca jeden z kompanijnych.

— Mojem zdaniem, należy spróbować przebić się,—radzi inny.

— Gdyby do tego wystarczyło pięści, to możebyśmy się przebili,—odzywa się któryś z nich.

— Dokąd i kędy?—pyta inny.

— Więc, podług ciebie, mamy się poddać, czy co?—oburza się na niego Szalochin.

I Szalochin wichrzy mocno czuprynę, rzucając kilka mocnych słów pod adresem polaków.

Dowódca pierwszej kompanji nuci, ni w pięć ni w dziewięć, starą, modną niegdyś w carskich koszarach, piosenkę:

„Bywały dni, wesołe dni,
Hulałem—młody zuch".

— I dohulałeś się!..—ironicznie mówi fizyljer.

Szalochin myśli i nic wymyśleć nie może. Gryzie nerwowo usta. W takim paskudnym worku nie był jeszcze nigdy. Przykro mu, wstyd wobec całego bataljonu, wstyd wobec szeregowców, co mu powierzyli swój żołnierski honor i sławę.

— Choćby raz się zaciągnąć, pal ich sześć!—słychać czyjś głos, a potem odpowiedź:

— „Dożyli polacy, ni chleba ni pracy".

Nużąca cisza zapanowała wśród nich. Zmęczony Szalochin śpi. Nie śpią dowódcy. Niewesołe myśli błądzą po głowie, lecz nikt ich nie wypowiada: nie do twarzy to żołnierzowi. Gdzieś w głębi mózgu kryje się promyk nadziei... A nuż jakieś wyjście się znajdzie.

Nagle Szalochin budzi się i kładzie dłoń na głowni naganu. Wsłuchuje się... Czy to halucynacja? Czyjeś ostrożne kroki, ktoś się skrada. Podnosi głowę dowódca pierwszej kompanji, chłop wysoki i suchy, o głęboko osadzonych oczach. Wpatrują się obaj w nieprzebity mrok nocy. Przysadzista ciemna postać wynurza się z mroku.

— Towarzyszu Szalochin!—cicho lecz wyraźnie woła nieznajomy.

Dowódca bataljonu unosi się nieco.

— Kto mnie woła?

— To ja, Tałasz!—odpowiada ciemna, przysadzista postać.

Szalochin zrywa się i rzuca się do dziada Tałasza.

— Ojcze! To wy?!

I mocno ściska dłonie starego.

— Nie martwcie się, towarzysze. Wyratujemy was.

— Chcesz być naszym bolszewickim aniołem-stróżem?—żartobliwie i radośnie odzywa się czyjś wzruszony głos.

— Zwołujcie naczelników i szeregowców zbierajcie. Ruszajmy!

— Dokąd?

— Tss!..—hamuje Tałasz głośny okrzyk fizyljera.— Za mną, na Prypeć. Moja flota i moi majtkowie oczekują was, towarzysze.

Głos starego atamana brzmi nawpół uroczyście, nawpół żartobliwie.

Chwila, i bataljon jest w pogotowiu. Bezgłośnie, jak cienie, posuwają się ku Prypeci. Nieskończenie długi korowód czółen i łódek wpiera się w brzeg ostremi dziobami.

Załadowano karabiny maszynowe. Powsiadali czerwoni żołnierze.

Surowi i milczący przewoźnicy, z karabinami i granatami u boku, odbijają bez szmeru i czas jakiś płyną wzdłuż brzegu wśród wysokich trzcin wodnych. Potem zawracają wpoprzek Prypeci i przybijają na przeciwległym jej brzegu.

XXXV

Odnowiła się, ożyła ziemia.

Wielogłosy, różnorodny potok życia zalewa każdy zakątek, wypełnia lasy, pole i bagniste obszary i niemilknącym rozgwarem kołysze przezroczyste powietrze.

Przyodziały się drzewa świeżą zielenią i taką głęboką, pełną swoistej treści rozmowę prowadzi drzewo z drzewem, listek z listkiem, trawka z trawką.

A wśród nich nawołują się ptaszęta i owady. Głosy ich zlewają się w zgodną symfonję cudnej muzyki życia.

Niewysoki, szczupły człowiek wsłuchuje się w te dźwięki, śpiewy i szmery, co mu towarzyszą w drodze skrajem lasu, idąc z nim wszędy, gdzie nogą stąpi. Cała ta symfonja, jeśli się wsłuchać w nią głębiej i przyjrzeć się jej zbliska, jest oddźwiękiem ukrytej, czasami zaś nawet jawnej, walki o byt.

Niewysoki, szczupły człowiek, siewca burzy i walki, wie o tem dobrze, bo otwarta jest przed nim prawda życia i jego ukryte sprężyny. Oto dlaczego tak spokojnie i śmiało chodzi ukrytemi drogami po ziemiach okupowanego Polesia i pełną garścią sieje nasiona burzy i walki, nasiona nienawiści do wrogów klasowych, orząc głęboko glebę świadomości uciemiężonych, zagnanych w te zakątki. Wierzy on głęboko w konieczność tej siejby. Widzi bogate runie swego siewu, i plon złoty już gdzieniegdzie zbiera. To też wesół jest i w dobrym nastroju.

Życie jego pełne jest niebezpieczeństw. Dzień każdy, każda godzina, kryją w sobie podstęp i zdradę. Wiele już przeżył Niewidny naprężonych momentów, gdy wolność jego i życie wisiały na włosku. Mógłby opowiedzieć

wiele ciekawych przejść z praktyki swych tajemniczych wędrówek i nielegalnego życia w drapieżnej paszczy okupantów. Zastawiają nań sieci zręczni szpicle polskiej policji. Ale pomaga mu biedota. Kocha go ona, wierzy mu, jak swemu człowiekowi. Ona go też broni, uprzedza, ukrywa, wyrywa z rąk takich szpiegów-ochotników, jak Busyga, co widzą swą zgubę w robocie Niewidnego.

Niewidny wie, co go czeka, jeśli złowi go pańska agentura. Ale on wie o co walczy—i ta świadomość daje mu pełnię życia, wkłada treść w jego życie i daje pewność w walce o słuszną sprawę. Chodzi więc zdradliwą wąziutką ścieżką nad brzegiem bezdennej przepaści, ryzykując runąć w nią w każdej chwili.

Wszystko to zmusza go do ostrożności, do bacznego wytężenia oczu i uszu. Interesuje go przecież, jaki plon wyda ten siew walki i nienawiści klasowej, w którym jest tyle ziaren jego dłonią rzuconych. Ciekawie wogóle jest żyć i walczyć o nowe życie i widzieć, kiedy skończy się walka i jak się będzie budować to nowe życie, jakiego świat nie widział.

Niewidny przypomina sobie wiec partyzantów na bezludnej polanie wśród lasów, gdzie przypadkiem spotkał się z Tałaszem. Stoją mu przed oczami bajecznie kolorowe postacie starego atamana i jego pomocnika Marcina Ryla z karabinem i rogiem pastuszym. Wszystko to mówi o wielu rzeczach, a przedewszystkiem świadczy o tem, jakie głębokie korzenie wśród mas pracujących puściła partja komunistyczna. Wszystko to cieszy towarzysza Niewidnego i żywi jego wiarę w zwycięstwo.

Niewidny myśli, że pożary pańskich majątków, to

oddźwięk ruchu partyzanckiego. Pożary te w ostatecznym wyniku sprzyjają rozszerzeniu się i pogłębieniu partyzanki. Fakt odwrotu Armji Czerwonej, pod naciskiem polskich legjonów, uzbrojonych na koszt Antanty, ani na chwilę nie zachwiał jego pewności w zwycięstwo komunizmu. Historja wojny domowej i interwencyj przeciwko Republice Rad świadczy o tem, że bolszewizm i tym razem zwycięży.

Idzie Niewidny, a wraz z nim, obok niego i nad nim szumi wielogłosy potok życia, zgodny i harmonijny napozór—sprzeczny i przesiąknięty duchem walki, jeśli spojrzeć nań uważniej i głębiej.

Niewidny uśmiecha się w duchu. Wie dobrze, kto jest głosicielem tej harmonji życia, nietylko w przyrodzie, lecz i w ludzkiem społeczeństwie, komu i poco jest to potrzebne.

Uśmiecha się siewca burzy i nienawiści w imię nowego człowieka i nowego układu społecznego, bo tylko drogą burzy i walki obalony zostanie świat stary i zaświta nowa epoka.

Rozmyślania te unoszą Niewidnego daleko poza dzień dzisiejszy i usypiają jego czujność. Zapomina, że chodzi nad skrajem otchłani, że wróg śledzi go wszędzie. Jak we mgle widzi przez chwilę postać ludzką, która wnet znika i z jego oczu i ze świadomości.

Droga wije się przez las, potem zagłębia się w dolinkę i wychodzi na wzgórze. Niewidny idzie dalej. Przed nim otwiera się zaokrąglona polana, a na niej siedziba ludzka: chutor czy niewielki folwarczek.

Niewidny chce zboczyć z drogi, by go nie zauważono z folwarku. Ale jakoś znagła wysuwa się naprzeciwko

niego trzech mężczyzn. Z odzieży—to miejscowi włościanie. Niewidny zawahał się chwilę. W ich wyglądzie i w spojrzeniu, którem go obrzucili uważnie, jest coś niezwykłego. Ale zawracać do lasu już zapóźno. Niewidny idzie na ich spotkanie, starając się niczem nie zdradzić swego niepokoju.

— Paniczku, czy nie macie ognia?—z obleśną grzecznością pyta go jeden z nich, o twarzy ospą zoranej.

I dla większej prawdy, pokazuje mu skręconą z gazety „kozią nóżkę". Zatrzymują się wszyscy troje, przy czem dwaj z nich stają z obu stron obok Niewidnego.

— „Szpicle!"—błyskawicznie przemknęło mu przez głowę.

— Ogień być powinien,—z beztroskim spokojem odpowiada Niewidny i szukając w kieszeni, zatrzymuje prawą rękę na rękojeści brauninga.

Ci co stali po obu stronach porozumieli się wzrokiem.

— Bierz go!

I raptem rzucili się na Niewidnego. W mgnieniu oka Niewidny wyszarpnął brauning i wystrzelił nie mierząc w tego, co był na lewo. Szpicel upadł. Lecz był to tylko fortel. Kula przeszła mimo, zaczepiwszy tylko za odzież. Drugi zaś momentalnie schwycił Niewidnego za rękę poniżej łokcia: przytrzymał go mocno. Ospowaty rzucił się do ucieczki. Lecz ten co upadł, zerwał się błyskawicznie i tak silnie ścisnął rękę Niewidnego z brauningiem, że palce jego zesztywniały i broń upadła na ziemię. Zaczęła się między nimi straszliwa walka. Niewidny wyrywał się z całych sił, by uwolnić ręce. Lecz ci trzymali go mocno, starając się zwalić na ziemię.

— A, przeklęty bolszewik! Nic nie pomoże!—charczał

wśród walki szpicel. Któryś z nich szarpnął Niewidnego za nogi i Niewidny upadł.

Teraz nadbiegł i ospowaty. Z lasu wybiegło jeszcze dwuch wojskowych. Walka była nierówna... Niewidnego deptano nogami i bito, ale tak, by pozostał przy życiu.

Skatowany, skrwawiony Niewidny leżał nieruchomo. Przestano go bić, obszukano kieszenie i włożono kajdanki. Z folwarku przyjechała furmanka. Niewidnego wrzucono na wóz i powieziono pod eskortą trzech agentów.

Dopiero w drodze, po pewnym czasie, Niewidny ocknął się, ale nie okazał tego agentom.

Ci, jednak, nie obawiali się o życie Niewidnego. Byli specjalistami i umieli bić tak, by pogruchotać kości, lecz zachować życie swej ofiary dla dalszych katowań na badaniu w polskich więzieniach. Jechali z triumfem i starannie pilnowali jeńca.

Niewidny, starając się zapanować nad bólem, przypominał, co z dokumentów trafiło w ręce jego katów. Dokumentów, pociągających za sobą aresztowanie innych osób, Niewidny nie miał zwyczaju nosić przy sobie. Miał kilka broszur wydziału agitacji i propagandy, skierowanych przeciwko okupacji białopolskiej, odezwy do biedoty chłopskiej, wzywające do walki z wrogiem klasowym drogą partyzanki i organizowania komitetów rewolucyjnych. Same przez się dokumenty te nic nie dawały agenturze polskiej. To uspokoiło Niewidnego. Męczyło go pragnienie, lecz milczał. Agenci próbowali z nim rozmawiać, lecz Niewidny, nie ukrywając pogardy i wstrętu, milczał uparcie.

O aresztowaniu niebezpiecznego „złoczyńcy“ zostały

natychmiast powiadomione wyższe organy odpowiednich wydziałów. Stamtąd przyszedł rozkaz odesłania Niewidnego wgłąb okupowanego terenu, do bardziej pewnego więzienia. Kilka dni trwała podróż Niewidnego z więzienia do więzienia pod silną eskortą piechotą, końmi i nareszcie pociągiem.

Więzienie, zbudowane jeszcze za cara, ciemne było i ponure. Niewidnego wprowadzono do biura więziennego, oddano go podług dokumentów, w których wypisany był charakter „przestępstwa": nielegalna robota, skierowana przeciwko rządowi polskiemu, organizacja „rozbojów" i rozpalanie nienawiści do klasy panującej. Jeszcze raz go zrewidowano i tym razem już straż więzienna poprowadziła go do pojedyńczej celi, znajdującej się w suterynie wieży więziennej.

Setki aresztowanych za udział w ruchu rewolucyjnym zapełniały więzienie. Ich blade zmęczone twarze ukazywały się w zakratowanych oknach wszystkich pięter więzienia. Rozległy się męskie i kobiece głosy:

— Skąd, towarzyszu?

— Za co?

— Z Polesia!

— To wzbronione! Tego nie wolno! — krzyknął czarny cerber więzienny i trącił Niewidnego w ramię, a warta, stojąca na dziedzińcu więziennym, zaczęła więźniom wygrażać karabinami i ze specyficznie-więziennem wymyślaniem odpędzała ich od okien.

Z rdzawem zgrzytaniem otworzyły się żelazne wrota więzienia. Ciemnym korytarzem podziemnym, gdzie mdło świeciły płomyki latarni, poprowadzono Niewidnego do wieży narożnej. Minęli korytarz, skręcili w ciasną szcze-

linę, w wąskie przejście między grubemi murami, przeszli jeszcze jedne drzwi, i Niewidny znalazł się w okrągłej maleńkiej celi. Było tu pusto, zimno i wilgotno. Na cementowej podłodze stał drewniany tapczan, a wysoko u góry świecił mały zakratowany otwór, przez który sączyło się skąpe światło.

Stróże więzienni wyszli. Zgrzytnął klucz w zamku, drzwi zatrzasnęły się ciężko, i Niewidny pozostał sam, odcięty od świata i ludzi. Przysiadł na gołym tapczanie i rozejrzał się... Dalej wyjścia niema!.. Koniec.

Niewidny nie miał żadnych złudzeń. Śmiertelne znużenie i pustka go ogarnęły. Sam. Ani żywej duszy. Straszliwa cisza. W ciszy tej płynęły jakieś dalekie dźwięki i ginęły tutaj...

Tam, w Homelskiem, została stara matka. Nigdy w życiu nie było mu jej tak strasznie żal, jak w tej chwili! Ona tak drżała o niego, tak starała się go ustrzec. Dwaj synowie polegli podczas wojny imperjalistycznej. Dwie córki wyszły zamąż i umarły. Teraz kolej na niego, a matka zostaje sama na świecie, przeżywszy dzieci i męża—wyrobnika. Nie zaznała w życiu radości i nie wie, że on, jej syn ostatni, jej szczęście i jedyne co ją wiąże z życiem, siedzi zamknięty w tym grobie... Liczone dni, a może i godziny dzielą go od straszliwego swą pustką i milczeniem niebytu.

Oparł głowę na dłoni. Potok ostrego bólu, cichej męki, porwał go i pogrążył w mętnych swych falach...

Precz, precz ze słabością! Precz z małodusznością!

Niewidny energicznie zrywa się z tapczana. Twarz jego staje się zacięta i surowa. Twardym krokiem cho-

dzi po celi. Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Cela jest ciasna. Trzy kroki tam i spowrotem.

Ruch uspokoił nerwy, opanował się trochę. Myśli teraz o tem, co dzieje się tam, na Polesiu. Myśli w jakim stopniu odejście jego odbije się na robocie. Robota nie stanie! Na jego miejsce przyjdą dziesiątki, setki, tysiące nowych bojowników, zrodzonych w ogniu wojny i rewolucji, tysiące nowych siewców burzy i walki.

Długo chodził i myślał. Wreszcie znużony wszystkiem, co przeżył w ostatnich dniach, przykucnął na nagim tapczanie i zasnął. Spał ciężkim snem człowieka zmęczonego moralnie i fizycznie.

Zgrzyt klucza w zamku rozbudził Niewidnego. Więzień odrazu uświadomił sobie groźną rzeczywistość. Do celi weszli trzej dozorcy.

— A no, wstawaj! — ordynarnie potrącił go jeden z nich.

Poprowadzono go na badanie. Niewidny z zainteresowaniem spojrzał na śledczych. Ohydni. Chciwe pająki... Będą wysysać jego mózg i nerwy. Było ich dwuch. Jeden przygotował się do zapisywania. Drugi będzie badał. Niewidny spojrzał na pisarza i pomyślał: „Niewiele napiszesz!"

— Ktoś ty i jak się nazywasz?—zabrzmiało pytanie.

— Jestem rewolucjonistą. Nazwiska nie mam.

— Niewidny—to twój pseudonim?—spytał śledczy.

— Tak nazywam siebie ja sam.

— Nazwiska powiedzieć nie chcesz?

— Uważam to za zbyteczne.

— O tem, co jest potrzebne, a co zbyteczne, nie ty będziesz sądził.

— Myślałem, że w „demokratycznej“ pańskiej Polsce prawo sądzenia dane jest wszystkim,—ironicznie oświadczył Niewidny.

— Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie,— również spokojnie odpowiedział śledczy.

— Świetne przysłowie „demokratyczne“,—roześmiał się Niewidny.

Śledczy zaczynał się irytować.

— Mamy o tobie dużo informacyj,—zaczął.—Przestępstwa twe doskonale są nam znane i zapierać się ich niema sensu. Wiemy, że na terytorjum Polski, na terytorjum zdobytem przez armję polską, prowadziłeś niszczycielską robotę, zbrodniczą anarcho-bolszewicką robotę, skierowaną ku obaleniu władzy polskiej, organizującą bandy chłopskie dla zbrojnych wystąpień, podburzającą do podpalania majątków właścicieli ziemskich i do teroru przeciwko nim, a także przeciwko osobom urzędowym, a tem samem przeciwko państwu polskiemu. Tę zbrodniczą działalność prowadziłeś na terenie, gdzie ogłoszony jest stan wojenny. Ciężar kary za te wszystkie zbrodnie może być zmniejszony, jeśli wymienisz nam swych wspólników.

— To chcecie wiedzieć?

Niewidny podkreślił wyraz „to“.

— Tak, to właśnie.

— Wspólników mam dużo. Gdybym wam nazwał tych, których znam osobiście, byłaby to jakaś jedna miljonowa część ich. Wspólnicy moi—to lud, co powstał przeciwko społecznej krzywdzie, przeciwko odwiecznemu uciskowi i eksploatacji! To wielomiljonowe masy ro-

botnicze i chłopskie. Moi wspólnicy—to miljony uciemiężonych w Polsce...

— To nie wiec bolszewicki!—przerwał Niewidnemu śledczy.—Coś zadużo masz wspólników. Nas interesują właśnie, których znasz osobiście, wspólnicy twej niszczycielskiej działalności.

— Powiem krótko i stanowczo. Nie zdradzę ich i nie wymienię ich nazwisk.

Oczy śledczego błysnęły.

— Posiadamy jeszcze inne sposoby, oprócz słów, zmuszające do wyznań.

— Słyszałem i znam te „sposoby".

— A jednak pomyśl. Dajemy ci dziesięć minut do namysłu.

Niewidnego wyprowadzono na korytarz. Po dziesięciu minutach wprowadzono go znowu.

Na zapytanie śledczego, jaki jest rezultat jego rozmyślań, niewysoki szczupły człowiek, spokojny i zawzięty siewca burzy i walki, powiedział:

— Przystępujcie do waszych „innych sposobów"—to jedyne, co wam mogę powiedzieć.

Niewidny dotrzymał słowa. Milczał gdy go bito, powalonego na brudną podłogę więzienną, i deptano okutemi buciskami żandarmskiemi; milczał gdy wciskano jego ręce między deski, specjalnie przystosowane do tych mąk, gdy szarpano mu ciało, rozciągano żyły i kości. Był trupem niemal, stracił przytomność i zdolność odczuwania. Wówczas oblewano go wodą i męczono znowu. Oprawcy jego robili to umiejętnie. Zgrzytał tylko zaciśniętemi zębami, lecz nie powiedział ani jednego artykułowanego dźwięku. Oprawcy jego, ludzie, którzy stra-

cili już pozory człowieczeństwa, czuli się jak obite psy. Przed świtem na trzeci dzień więźniowie starej carskiej turmy posłyszeli ruch w narożnej celi. Dziesiątki bladych twarzy przylgnęły do zakratowanych okien, śledząc oczyma ciemną grupę ludzkich sylwetek, wyprowadzających za więzienne wrota szczupłego niewysokiego człowieka na ostatni etap jego golgoty.

Niewidny zauważył blade cienie za kratami. Znalazł w sobie tyle jeszcze sił, by zawołać głośno:

— Żegnajcie, towarzysze! Niech żyją Sowiety!

XXXVI

Gdy oddziały Armji Czerwonej przeszły Prypeć i już się zbliżały do wiosek Prymaki—Wiepry, Wasyl Busyga i jego przyjaciele przeżywali dni ciężkie, pełne niepokoju. Chwiejność frontu, coraz szersza skala partyzanckich operacyj, żywiołowe wzmaganie się ruchu partyzanckiego—wszystko to zmuszało wójta i jego stronników z zakłopotaniem drapać się w głowę i rozmyślać, co im przyniesie spółka z panami. A co będzie, jeśli panowie przegrają?

W miarę wahania się frontu, wahał się również ich nastrój. Przygnębienie ich mijało, gdy brali górę polacy, szczególnie humor im się poprawił, gdy oddziały Armji Czerwonej zmuszone zostały cofnąć się za Prypeć i gdy przyszła wieść, że polacy wzięli Kijów. Jeszcze bardziej poweseleli Bruj i Birka, gdy wójt przyszedł z dobrą nowiną, że przeciwko partyzantom Tałasza polacy wysyłają wojsko, a na czele staje sam komisarz powiatu, pan Królewski. Pan Królewski jest oficerem. Zna dobrze okolicę, a jego majątek również w ową straszną

noc oświetlał ciemne niebo. Stąd wynika, że pan Królewski dołoży wszelkich starań, by wszystko odbyło się jak należy.

Wieść o karnym bataljonie pana Królewskiego nie ominęła uszu dziada Tałasza i jego wojaków. Partyzanci mieli doskonałe informacje o tem, co się działo we wrogim obozie. Każdy polski najazd, ekspedycja karna czy egzekucja, wymuszanie z chłopów podatku i aprowizacji, zjawienie się gdziebądź polskiej policji, polskich żołnierzy—wszystko to bardzo szybko wiadome było partyzantom, którzy reagowali na to nagłem zjawieniem się tam, gdzie ich wcale nie oczekiwano.

W głuchej puszczy, otoczonej nieprzystępnemi bagnami, odbywała się narada partyzanckich atamanów oraz ich wybitniejszych pomocników. Przemawiał właśnie dziad Tałasz:

— Towarzysze gromada! Plaga na nas idzie. Polskie generały wojsko na nas ślą. Cały bataljon! A na dowódcę wybrali pana Królewskiego. Powiedzieli mu: „Rób co chcesz, ale wojsko ich zniszcz do ostatniego człowieka! Atamana zaś ich, starego Tałasza, oraz innych ich przywódców, żywcem nam daj!"

Oto, towarzysze gromada, z jakiemi zamiarami idzie na nas pan Królewski. Pasałem bydło u jego ojca, a synek chce, bym na starość wypasał pańskie wszy w turmie. Chcą nacieszyć się męką naszych dowódców-partyzantów i dopiero potem nas zgładzić.

— A niedoczekanie ich!—wyrwał się z partyzanckiej gromady głos pełen oburzenia i gniewu.

— Więc, jakże będzie, towarzysze gromada?—stary chce przekonać się o nastroju swego wojska.

— Wytłuc ich samych, jak wściekłe psy!

— A pana Królewskiego na osinę!—zahuczała gromada.

— Więc chcecie wojować z nimi, czy usuniemy się dalej w lasy?

— Wojować! Bić się do ostatniego tchu!

— Dobrze, dobrze, chłopaczki moje! Dziękuję wam, towarzysze gromada. Będziemy więc wojować. Mamy już pewne myśli, jak to zrobić. Ale tu wam o tem nie powiem. Czasem i choina ma uszy.

— Wierzymy, ojcze, tobie i naszym dowódcom.

Stary zdjął czapkę i błysnął łysiną.

— Więc postarajcież się, sokoły moje! Bystro się przyglądajcie, czujnie się przysłuchujcie, a róbcie to wszystko, co wam wasi bracia-dowódcy rozkażą.

— Będziemy słuchać i patrzeć i wykonywać rozkazy!—zgodnie huknęła gromada.

W wielkiej tajemnicy wyruszył w pochód pan Królewski na czele swego bataljonu przy czterech lekkich armatach z karabinami maszynowemi. Jechał dumnie, hardo—jak przystało wsławionemu wojakowi. Harcował pod nim gniady wierzchowiec, wyginając łabędzią szyję. Panu Królewskiemu zdawało się, że na niego patrzy teraz cały świat, i pysze jego końca nie było.

Nie dochodząc Wieprów, bataljon zatrzymał się. Bataljon liczył koło sześciuset żołnierzy. Pan Królewski zebrał panów oficerów i detalicznie zapoznał ich ze swym strategicznym planem. Wyznaczył pozycje, dał każdemu oddziałowi zadanie bojowe, określił punkt zbiórki bataljonu, rozdzielonego na trzy części, wydał rozkazy

poszczególnym dowódcom, nawiązał łączność, słowem nie zapomniał o niczem.

Wydając te rozkazy pan Królewski doszedł do przekonania, że jest nietylko doskonałym dowódcą bataljonu, lecz mógłby dowodzić dywizją. Byłby wówczas nawet lepszym dowódcą, bo miałby szersze pole działania.

Bataljon był w pogotowiu bojowem, choć przeciwnika jeszcze nie wykryto. Zadaniem bataljonu było otoczenie puszczy nad Prypecią, gdzie się ukrywali partyzanci, i nie wypuścić z niej ani jednego. W nocy bataljon obszedł Prymaki i Wiepry i ukrył się w lesie, rozstawiając wartę i gęste patrole, by w bojowym porządku stanąć na nocleg w lesie.

Sawko Milhun, ukrywający się w domu, dowiedział się o karnym bataljonie. Strach przed możliwością dostania się w pańskie ręce zmusił go do ukrywania się w lesie. Tejże nocy, wziąwszy do brzozowej kobiałki kawał chleba, wyruszył o północy w drogę.

Koło lasu zawołała nań warta, by się zatrzymał.

— Niema głupich!—pomyślał Sawko i tak siarczyście drapnął do lasu, że tylko wiatr gwizdał mu w uszach. Żołnierz wystrzelił. Sawko przysiadł ze strachu, ale jednocześnie pomyślał:

— Djabła ty trafisz!

I pomknął dalej.

O wschodzie słońca był już daleko od Prymaków i siedział w dziupli potężnego starego dębu. Podobało mu się to schronienie. Nagle uderzyła go straszna myśl: a nuż polacy podpalą ten las? Sawko, jak zwykle, nie miał określonego planu. Te lub inne wypadki zmuszały go do nagłych kombinacyj i planów, ułożonych na po-

czekaniu. Tak było i teraz. Sawko nie poszedłby do lasu i nie ukrywałby się w dziupli, gdyby nie ekspedycja karna pana Królewskiego.

Siedząc w dziupli zauważył maleńki otwór. Przebijało się przezeń blade światło wiosennego poranku. Był tu kiedyś sęk i zgnił widocznie. Sawko nożem rozszerzył otwór, przez który można było widzieć cośniecoś z tego, co się działo w lesie.

Pierwszy dzień działań bojowych bataljonu pana Królewskiego nie dał żadnych wyników. Oddział wywiadowczy, wysłany do lasu—nie wrócił. Czy zbłądził w lesie, czy też trafił na zasadzkę partyzantów, czy poprostu zbiegł—zostało niewyjaśnione.

Pan Królewski wydał rozkaz posunięcia się głębiej do lasu i zajęcia nowych pozycyj. Sam ze swym sztabem i oddziałem, którym dowodził osobiście i bezpośrednio, zajął środek. Jednej grupie rozkazał rozsypać się w tyraljerkę, oskrzydlając jedną część puszczy, i przejść ją, kierując się ku środkowej pozycji. Obliczał, że łańcuch bojowy poruszy z miejsca partyzantów i zmusi ich do ucieczki w kierunku pozostałego skrzydła, gdzie spotka ich jego oddział.

— Tu dopiero sprawię im łaźnię!—myślał.

Coprawda, manewr ten więcej się nadawał do polowania na zające, niż do wojny z partyzantami.

Drugi dzień również nie przyniósł nic nowego. Partyzantów nie spotkano. Zdarzył się jednak wypadek, obiecujący bogate żniwo: wywiad zatrzymał w lesie oryginalnego żebraka, czy też głupkowatego włóczęgę. Siedział przy drodze pod drzewem i drżał ze strachu. Odziany w łachmany, obwieszony torbami, z długą gałęzią

ieszczyny w ręku, wyglądał na jakowegoś gnoma leśnego. Szczególnie dziwacznie wyglądała jego siwa bródka, pokudłaczona i zbita w kosmyki.

— Ktoś ty?—spytali żołnierze.

— Nikt. Człowiek.

— Skąd idziesz?

— Z Pietrykowa.

— A dokąd?

— Nigdzie.

— A czego się trzęsiesz?

— Nastraszono mnie.

— Kto cię nastraszył?

— Nie wiem. Może ludzie, a może biesy.

Przyprowadzono go do pana Królewskiego.

— Skąd jesteś?—spytał go po polsku Królewski.

— Hę?—nie zrozumiał dziad.

Przetłumaczono pytanie.

— Z lasu. Skądżebym był?—spokojnie odpowiedział stary i splunął kilkakroć.

Spuścił głowę i widocznie myślał o czemś.

— A mówiłeś, że z Pietrykowa?

— No, tak, z Pietrykowa,—skinął dziad głową.

— A teraz mówisz, że idziesz z lasu?

— Pewno, że z lasu.

— A kto cię nastraszył?

— Nastraszyli, oj nastraszyli,—ożywił się dziad i znowu splunął.

— Kto nastraszył?

— No, któżby? Oni—djabli—z bagna powyłazili. A bagno tam olbrzymie, głębokie. Ludzie po niem nie

chodzą. Stąpisz, już nie wyleziesz. Pochłonie. Nie, nie! Człowiek tam stąpić nie może.

— Opowiedz nam o nich. Nie widzieliśmy ich nigdy.

— Daj spokój, panoczku! Nie pytaj! Śnić się potem będą, pohańce.

Ale namówiono dziada, by opowiedział.

— Idę ci ja idę, panoczki miłe,—zaczął stary,—patrzę—wychodzi jeden, taki straszny, czarny! A na piersiach cały naszyjnik z ładunków ponawieszany. Z wyglądu—do człowieka podobny, ale skądżeby tam człowiek mógł być? Takie bagno, puszcza, ciemność. Nieba przez gałęzie nie widać, a zboku bagno—a takie grząskie, że tam im tylko i raj. Strach mnie ogarnął. Stoję, przyglądam mu się. A ci, jak poczną wyskakiwać z błota, jak zarechoczą, zobaczywszy mnie. Skóra ścierpła na mnie. Rzuciłem się do ucieczki, chcę się schować. Gdzież tam! Oni za mną.—Stój!—krzyczą. Dopędzili, otoczyli mnie. A mnie oczy tumanem zaszły. „Ktoś ty? Dokąd idziesz? Kto tu ciebie podesłał?“ I domagają się ode mnie prawdy, pocom w to ich piekło przyszedł... Trzęsę się i milczę. Puścili mnie... A potem—„Idź,—powiadają,—i nie wracaj. A nie mów nikomu, żeś nas tu widział. Powiesz—utopimy cię w bagnie!“ Dopierom sobie przypomniał, żem chrzczony człowiek, dalejże ich krzyżem żegnać, a pacierze szeptać. Przepadli w bagnie, bodaj ich piekło pochłonęło...

— Łżesz, chamie!—wrzasnął nagle pan Królewski, i szarpnął starego za brodę.

Zbita w kosmyki broda w pańskiej ręce została.

— Cóż teraz nam zaśpiewasz?—I pan Królewski cis-

nął w twarz domniemanego dziada kosmyki mchu świerkowego.

Przebrany partyzant milczał.

— Przyszedłeś nas śledzić? Przyznaj się, łajdaku.

— Panoczku, przyznaję się,—rzucił się do nóg pana Królewskiego zdemaskowany partyzant.—Posłali mnie na zwiady. A ja myślę sobie: pójdę i nie wrócę. Ucieknę do domu i rzucę to wszystko. Czyż my, proste chłopy nieuczone, możemy wojować z takiem wojskiem, jak polskie? A gdyśmy posłyszeli, że idzie przeciwko nam pułkownik, sam pan Królewski, strach nas zdjął, i zaczęli się nasi rozbiegać. No i ja chciałem uciec. A reszta pozaszywała się w takie haszcze i bagna, że prędzej oni tam z głodu zdechną, niż ktokolwiek ich tam odnajdzie.

— A psia mać! Teraz tylko po rozum do głowyście poszli!—krzyczał pan Królewski.

Zmiękł jednak znacznie, słysząc takie zdanie o wojsku polskiem i o swem pułkownictwie. Był tylko w randze kapitana.

— A czemuż to za żebraka się przebrałeś?

— Myślałem, panoczku, że żebraka nikt nie zatrzyma. Teraz dużo żebraków się włóczy.

— Nie wierzę ci, psiakrew!

— Panoczku! Prawdę mówię. Jak na świętej spowiedzi! Bodajbym godziny nie przeżył, bodajbym dzieci nie oglądał, jeśli łżę. Obrzydło mi to wszystko!

— Pokażesz nam miejsce, gdzie się ukrywają zbóje!

— Boję się, panoczku: zabiją mnie oni, gdy się dowiedzą. Opowiem lepiej, jak tam trafić.

— Nie! Sam musisz pokazać swe gniazdo! Nie pójdziesz—na gałąź z tobą. Tuż, przy mnie!

Zdemaskowanego partyzanta wzięto pod straż. Nic nie pomogły prośby i zaklęcia. Zmuszony był pokazać miejsce schronienia partyzantów.

W związku z tem pan Królewski ułożył nowy plan. Dwie kompanje otrzymały rozkaz obsadzenia wszystkich przejść, sam zaś ruszył z głównemi siłami ku grzęzawisku, gdzie się ukrywali partyzanci. Posuwano się powoli. Wzięty pod straż partyzant sumiennie wskazywał drogę. Niedowierzając mu, pan Królewski wysłał zwiady, by rozpoznać drogę i teren.

Uszedłszy koło pięciu wiorst wywiadowcy zameldowali, że w lesie znaleziono świeże ślady ogniska i wydeptane miejsce dokoła z resztkami żywności. Walały się tu skórki chleba i obierzyny od kartofli.

Pan Królewski sam obejrzał to wszystko. Przewodnik potwierdził, że to ognisko partyzantów i że wpobliżu jest jeszcze kilka takich miejsc. Wszystkie jego wskazówki sprawdzono i okazało się, że zbieg miał słuszność. Marsz stał się jeszcze powolniejszy i partyzant zawiadomił, że główne schronisko jest już niedaleko.

A las stawał się coraz bardziej gęsty i ponury. Coraz częściej trafiały się grzęzawiska, bagniste dolinki, zawalone gnijącemi drzewami i pniami. Tak maszerowano jeszcze pół godziny. Wreszcie przewodnik dał znak.

Oddział zatrzymał się.

— Tam!—cicho szepnął, wskazując ręką na leśną polankę.

Pan Królewski zatrzymał czoło kolumny i rozkazał

ściągać wojsko. Oficerowie otoczyli swego dowódcę i czekali ostatecznych rozkazów. Pan Królewski zwrócił się do kompanijnych.

Nagle gęsta salwa styłu, a potem od prawego skrzydła przerwała wydawanie rozkazów. Kilkudziesięciu żołnierzy upadło. Grad kul ze zgrzytem zagwizdał nad głowami oficerów, wyrywając z ich szeregu odrazu trzech.

Żołnierze poszli w rozsypkę. Niektórzy gromadzili się do kupy, inni kładli się na ziemi i kryli się za pnie drzew. Plutony i kompanje pomieszały się bezładnie. Trzej żołnierze, pilnujący przewodnika, również rzucili się do ucieczki. W zamieszaniu tem żebrak-partyzant, Marko Bałuk, szczęśliwie przyłączył się do swoich.

Pan Królewski rzucał się w różne strony i, schyliwszy głowę, coś krzyczał, czego nikt nie słuchał.

Jeden tylko porucznik Żygałkowski nie stracił głowy. Skoczył do swego plutonu, wydając rozkaz: „Padnij!" i rozsypał żołnierzy w tyraljerę. Ale w tejże chwili celna kula partyzancka trafiła go, i padł. Pluton zaś jego został pochłonięty ogólnym potokiem zamieszania i popłochu.

Pod nieustannym ogniem bezładnie zajmowali polacy pozycje, z których wybijał ich niewidzialny wróg, nie dając im czasu umocnić się. W jednem tylko miejscu grupa żołnierzy z oficerami stawiała zacięty opór i otworzyła gwałtowny ogień, ścinając karabinem maszynowym ludzi i pnie drzew.

— Wziąć kulomioty! za mną!—krzyknął Marcin Ryl. Poskoczył naprzód, a za nim ze trzydziestu partyzantów rzuciło się na kulomioty. Ze dwadzieścia kroków dzieliło Marcina od celu. Polski oficer, strzelający osobiście

z kulomiotu, prowadził ogień do ostatniej chwili. Kilka kul utkwiło w szerokiej piersi Marcina. W gorączce ataku ominęli go partyzanci, pozostawiając na placu boju ściętych kulomiotem towarzyszy. Dobiegli, bagnetami i kolbami wybili oddział fizyljerów, kładąc trupem zawziętego oficera.

Z drugiej strony lawina partyzancka runęła na skrzydło polaków. Nie wytrzymali polscy żołnierze, rzucili się do ucieczki, ale drogę przecięło im grząskie bagno. Niektórzy, w trwodze i gorączce ucieczki, skoczyli w grzęzawisko i zapadli w bagno z głowami. A partyzanci coraz uporczywiej i groźniej zwężali pierścień. Żołnierze porzucali karabiny, podnieśli ręce do góry. Pan Królewski, przerażony i blady, stał sam na uboczu, nie składając oręża i nie podnosząc rąk.

— A no, synkowie, wychodźcie na polanę!—zwrócił się dziad Tałasz do polskich żołnierzy.

Stał i patrzył, jak hardy jastrząb poleskich puszcz. Na szerokiej piersi dziada błyszczały dwie taśmy nabojów, opasując ją szeroką wstęgą. W ręku trzymał „prawdziwą“ strzelbę—karabin wojskowy, opierając kolbę o mchami pokryty pień. Obok, również opasany taśmą nabojów, stał młody jego syn, Panas, i wszyscy wodzowie partyzantów. Brakowało wśród nich tylko Marcina Ryla.

— A ty, panie, czemuż broni nie składasz?—zwrócił się Tałasz do pana Królewskiego.

Ten w milczeniu odpiął szablę i rewolwer i oddał je partyzantom.

— No, czyjżeś ty teraz poddany?—zadał mu dziad

Tałasz to samo pytanie, które sam kiedyś posłyszał od niego.

Pan Królewski milczał.

— Prowadźcie ich tam!—I stary ataman wielkim palcem lewej ręki wskazał na las.—I jego prowadźcie!— dodał, skinąwszy w stronę pana Królewskiego.

Pana Królewskiego poprowadzono osobno. Z oficerów pozostał on jeden. Wszyscy inni polegli w boju.

Na maleńkim pagórku, szeroko rozrzuciwszy ręce, leżał ociężały człowiek. Śmierć zaskoczyła go wówczas, gdy z małego dołku wybiegał na ten wzgórek. Na lewej ręce poniżej łokcia leżał jego nierozłączny towarzysz, zagraniczny karabin. Blada twarz bohatera-partyzanta, zwrócona ku niebu, wyglądającemu pomiędzy wierzchołkami drzew, spokojna była i uroczysta. Surowe zmarszczki na czole wygładziły się, lecz twardy był wyraz jego zamkniętych ust pod czarnym wąsem.

Martwą grupą leżeli dalej zabici partyzanci.

Dziad Tałasz powiódł po nich staremi smutnemi oczami. Zatrzymał się przy trupie swego wiernego towarzysza broni i ciężko pochylił nad nim siwą głowę. Nie patrząc na nikogo, mówił stary Tałasz słowa ostatniego pożegnania nad trupem przyjaciela i towarzyszy.

— Nie wstaniecie już nigdy, sokoły moje, na odgłos naszej trąbki wojennej! Marcinie, gołębiu mój! Wyrwałeś się z pańskiej niewoli, i karabin ten, co padł na twą martwą rękę, sam zdobyłeś w obronie wolności. Otwórzże oczy, gołębiu mój! Oto wróg nasz tu stoi ze spuszczonemi oczami. Nie udało mu się schwytać nas żywcem... Spoczywajcież, sokoły moje, i nie troszczcie się...

Nie zginie nasza sprawa! Będziemy stać bacznie na jej straży i dzieci waszych nie porzucim.

Dziad Tałasz umilkł i nisko pochylił głowę.

— Kopcie, towarzysze gromada, mogiłę. Pochowamy ich.

Dziad podniósł głowę i spojrzał na polskich żołnierzy.

— A wy, synkowie, cóżto? Panowie jesteście, czy sługusy pańskie, żeście przyszli pozbawiać swobody nas, biedotę pracującą?

Z tłumu jeńców wystąpił żołnierz.

— Ojcze-dowódco! Zwróć mi wolność i broń! Będę ramię przy ramieniu z wami wojować.

Jeszcze jeden z jeńców przystąpił do Panasa.

— Poznajeszże ty mnie, chłopcze?—I głęboko spojrzał w oczy Panasa.

Panas uśmiechnął się radośnie.

— Ojcze! To ten żołnierz, co mnie z więzienia wypuścił!

Spojrzał tedy dziad Tałasz na pana Królewskiego.

— Widzisz, panie! Żołnierze twoi na naszą stronę przechodzą. I przejdą wszyscy, gdy prawdę poznają!

W lesie samotnie stał jeszcze jeden człowiek, przyglądając się tej scenie. Chciał się zbliżyć, coś rzec, lecz nie odważył się. Człowiekiem tym był Sawko Milhun.

*

Ostrodziobe czółno mknie wpoprzek Prypeci. W czółnie siedzi dwuch ludzi. Jeden młody, o zadartym nosie, ze zwichrzoną czupryną, zwolna rytmicznie porusza wiosłem.

Drugi siedzi poważnie na przedniej części czółna.

Pod pachą ma portfel. Lata zapisały zmarszczki na jego twarzy i w głębokich brózdach na czole. Wnikliwie patrzą gdzieś wgłąb, jakby w przeszłość, jego ciemne, bystre jeszcze oczy.

To dziad Tałasz—przewodniczący rady wiejskiej. Czółnem kieruje sekretarz jego, Samek z Wieprów.

Odpoczywa „prawdziwa" strzelba Tałasza. Lufa jej już ostygła po gorączce zawziętych walk w dzikich puszczach Polesia. Teraz dziad Tałasz ma inne kłopoty, inne myśli i robotę.

Ale ta Prypeć szeroka budzi w nim wspomnienia dni ubiegłych.

— A pamiętasz, Samku, jak zgrabnie wyrwaliśmy bataljon towarzysza Szalochina z białopolskich łap i przeprawiliśmy go na drugi brzeg Prypeci?

Samek podnosi na dziada wesołe szare oczy, w których iskrzy się śmiech.

— Pokazaliśmy im, co się nazywa, figę! No i dziwili się oni, dokąd znikli czerwonoarmiści!

Stary uśmiecha się pod wąsem.

— No, a jak sądzisz, gołębiu mój: dobrze pójdzie nasza gromadzka gospodarka?

— Co niema pójść? Ziemia jest, konie są, rąk roboczych dosyć... Pójdzie!—Głębokiem przekonaniem brzmi głos sekretarza.

— Aha! I ja myślę, że pójdzie.

Obaj jadą w sprawie gromadzkiej gospodarki do gminnego komitetu wykonawczego, by załatwić formalności. Rozwiązuje to cały szereg kłopotliwych spraw okazania pomocy rodzinom poległych partyzantów: Marcina Ryla, Konrada Busa i innych. Pod tę gospodarkę

idą ziemie Konrada Birki i Szymona Bruja. Proletarjacki sąd skazał ich na wygnanie. Wójta, Wasyla Busygę, jako zawziętego kontrrewolucjonistę, rozstrzelano. Jagna nie chciała zostać na gospodarce Wasyla i całe mienie oddała gromadzie, podając się o przyjęcie do „gromadzkiej" gospodarki. Omówiono podanie i przyjęto Jagnę, ze względu na jej zasługi i pomoc okazaną partyzantom.

*

Szumi szerokim rozgwarem Radzieckie Polesie. Nowe akordy słychać w tym gwarze.

Przypada wiatr gorącym oddechem do szerokich, zmartwiałych w odwiecznym zastoju bagien i szepce zielonym szorstkim trawom po kępach, że idzie tu nowy radziecki człowiek, by zbudzić je z martwoty, by przeistoczyć je w bogate łany i niwy.

Hula wicher nad rosochatemi wierzchołkami poleskich puszcz, kołysze gałęzie nad świeżemi kurhanami-mogiłami, rozrzuconemi na piaszczystych wyspach wśród mokradeł i śpiewa, wolny piewca, chwałę pochowanych w tych kurhanach bohaterów, i układa ludziom pieśni o siewcach burzy i walki.

Nad grząskiem bagniskiem wznosi się wzgórze. Na wzgórzu—kurhan. Wysoki i potężny słup, starannie ociosany partyzancką siekierą, stoi na warcie tej mogiły-kurhanu. Na dębowym słupie wyrzeźbione ręką domorosłego rzeźbiarza dwa słowa: „Marcin Ryl". Na mogile leży wianek świeżych kwiatów polnych.

Zrzadka, w dni wolne, przychodzą tu dwie kobiety: matka i córka. Jagna powierzyła córce swą tajemnicę. Wyznała prawdę, kto był jej ojcem. Z głębokim smut-

kiem w oczach podnosi Olesia ciemną główkę i spogląda na potężny słup dębowy. To ona przynosi na mogiłę wieńce świeżych kwiatów.

Obie wracają w milczeniu. Jedna pogrążona w smutnych myślach o tem co było, druga z radosną świadomością, że jej ojciec był bohaterem-partyzantem.

Mijają lata.

Dziad Tałasz liczy sobie teraz lat osiemdziesiąt z ogonkiem. Trudno mu już jest zajmować się pracą gromadzką, ale bez roboty dziad żyć nie może.

To też jest wartownikiem na Prypeci. Obowiązkiem jego—zapalać latarnie w nocy.

Stary lubi wspominać czasy swej partyzanki i rezultatem tych jego wspomnień—jest powieść „Mokradla".

Kończąc ją, chcę powiedzieć czytelnikom o gorącem marzeniu starego Tałasza. Dziad Tałasz bardzo pragnie zobaczyć towarzyszy: Stalina, Woroszyłowa i Budzionnego.

I jeszcze jeden rys charakterystyczny... dla stworzenia całości postaci starego atamana partyzantów.

Gdy przy Tałaszu mówi się o wrogach Władzy Radzieckiej i wojnie przeciwko niej—stary wyprostowuje pochylone wiekiem barki i mówi:

— Oj! dosiadłbym jeszcze konia i pokazał czego wart jest stary Tałasz!

Redaktor odpowiedzialny *L. Kwapiński* Redaktor techniczny *I. Biełkin*
Korektor *F. Flior*

Oddano do drukarni 16/I—1936 r. Przekazano do druku 21/III—1936 r.
ark. druk. $8^3/_4$, zn. w arkuszu druk. 61.000. Papier $72 \times 105^1/_{32}$.
Nakład 2.685 egz. Pełnomocnik Gławlitu № Б 1019. Zamówienie № 76.

Drukarnia im. Stalina. Mińsk, Engelsa 2.

CENA 2 rb 70 k.

Oprawa 30 k.

ЦАНА 2 р. 70 к.

Пераплёт 30 к.

НА ПОЛЬСКАЙ МОВЕ

Якуб Колас

ДРЫГВА

Дзяржаўнае
Выдавецтва Беларусі

Менск—1936

★

НА ПОЛЬСКОМ ЯЗЫКЕ

Якуб Колас

ТРЯСИНА

Государственное Издательство
Белоруссии

Минск—1936